STRAJK KOBIET
Gdzie się podziała energia protestów

CO DA SYNOD
Ostatnia próba Franciszka

HONGKONG
Sztuka przetrwania w mieście Orwella

JAN MŁYNARSKI
Dancing, salon, ulica, przebój

WIEŚCI ZE STRYCHU
Jak nietoperze kościół uratowały

Kraków 24 października 2021 nr 43 (3772) cena 9 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Polska u siebie

DARIUSZ ROSIAK i ANDRZEJ CHWALBA
o historii naszych histerii

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

XXX FESTIWAL
ARS CAMERALIS

KOSMOS

5–26.11.2021

ARSCAMERALISFESTIWAL.PL

ORGANIZATORZY
Województwo Śląskie
Ars Cameralis Silesiae Superioris
PARTNERZY
Ministerstwo Kultury Dziedzictwa Narodowego i Sportu
PATRONAT MEDIALNY
Polskie Radio Katowice
BILETY
ticketmaster

KS. ADAM

Boniecki: *Synod jak sobór*

Właśnie przeczytałem „Vademecum Synodu o synodalności” – „oficjalny podręcznik słuchania i rozeznawania w Kościołach lokalnych” napisany na potrzeby pierwszego etapu (do kwietnia 2022 r.) rozpoczętego właśnie Synodu Biskupów. Trudno nie zauważyć dobrych stron tego wydarzenia. Choćby intrygująca deklaracja, że celem Synodu nie jest tworzenie dokumentów, ale to, by „się zrodziły marzenia, powstały proroctwa i wizje, by rozkwitły nadzieje...”. No i wstępna zapowiedź-konstatacja, że „w obliczu aktualnych znaków czasu konieczna jest zmiana mentalności i struktur kościelnych”.

Podstawę doktrynalną Synod znajduje w dokumentach Soboru Watykańskiego II, który głosił, że „Ogół wiernych, mających namaszczenie od Świętego, nie może zbłądzić w wierze i tę szczególną swoją właściwość ujawnia przez nadprzyrodzony zmysł wiary całego ludu, gdy poczynając od biskupów aż po ostatniego z wiernych świeckich ujawnia on swą powszechną zgodność w sprawach wiary i obyczajów”.

Koncepcja Synodu opiera się na doktrynie o „nadprzyrodzonym zmyśle wiary całego ludu”, a „proces synodalny nie jest już tylko zgromadzeniem biskupów”. Głos zostaje udzielony Ludowi Bożemu, bowiem „wszyscy ochrzczeni (...) są powołani do aktywnego uczestnictwa w zbawczej misji Kościoła”, a „decyzje duszpasterskie (...) mają być zakorzenione w żywym głosie Ludu Bożego”, zwłaszcza głosie tych, którzy znajdują się na marginesie, osób, które mogą być wykluczone, jak kobiety, osoby niepełnosprawne, uchodźcy migranci, osoby starsze, osoby żyjące w ubóstwie. Należy też wysłuchać głosu katolików rzadko lub nigdy niepraktykujących swojej wiary, a także wyznawców innych tradycji wiary, ludzi niereligijnych, szczególnie tych, którzy zmuszają nas do rozważenia nowych punktów widzenia wiodących do ewentualnej zmiany sposobu myślenia. „Celem procesu synodalnego nie jest więc jedynie seria ćwiczeń, które zaczynają się i kończą, ale raczej podążanie drogą autentycznego wzrastania ku komunii i misji, do życia którymi Bóg wzywa Kościół w trzecim tysiącleciu”. Synodalność musi się wyrażać w zwyczajnym sposobie życia i pracy Kościoła.

Ten Synod ma doprowadzić do zmiany mentalności i struktur Kościoła, który przez stulecia doskonalił swoje struktury hierarchiczne, by nie powiedzieć – autorytarne. Wkrótce po ogłoszeniu dogmatu o nieomylności papieża na przerwanym Soborze Watykańskim I (1869-1870) mówiono o synodalności jako o niespełnionym dopełnieniu tego dogmatu.

Podjęta przez Franciszka inicjatywa wysłuchania i zebrania głosów wszystkich ochrzczonych (i nie tylko ochrzczonych) przekracza ludzkie możliwości. Przyjmując realistycznie, że w tym dialogu wezmą udział ludzie w sprawy Kościoła zaangażowani (pozytywnie lub negatywnie), materiał będzie gigantyczny. Na kolejnych szczeblach kościelnej administracji (parafie, diecezje, konferencje Episkopatów itd.) materiały te będą syntetyzowane, a watykański Sekretariat Synodu na podstawie przekazanej mu syntezy syntez sporządzi dwa dokumenty robocze (*Instrumentum Laboris*). Wymowne jest zalecenie, by syntezy były rzetelne i prawdziwie odzwierciedlające „spektrum wszystkich odpowiedzi – od poglądów krytycznych do pełnych uznania, w tym poglądy mniejszości wśród uczestników”.

Rozmach papieskiej inicjatywy jest na miarę soboru, choć bez jego zwoływania. Niewątpliwie papież Franciszek, jak i Sekretariat Synodu zdają sobie sprawę z ograniczonych możliwości. Ale dla papieża Franciszka czas jest ważniejszy niż przestrzeń. W adhortacji apostolskiej „Evangelii gaudium” (2013) napisał: „Przyznanie prymatu przestrzeni prowadzi do szaleństwa, by wszystko rozwiązać natychmiast (...). Przyznanie prymatu czasowi oznacza zajęcie się bardziej rozpoczęciem procesów niż posiadaniem przestrzeni”. ©℗

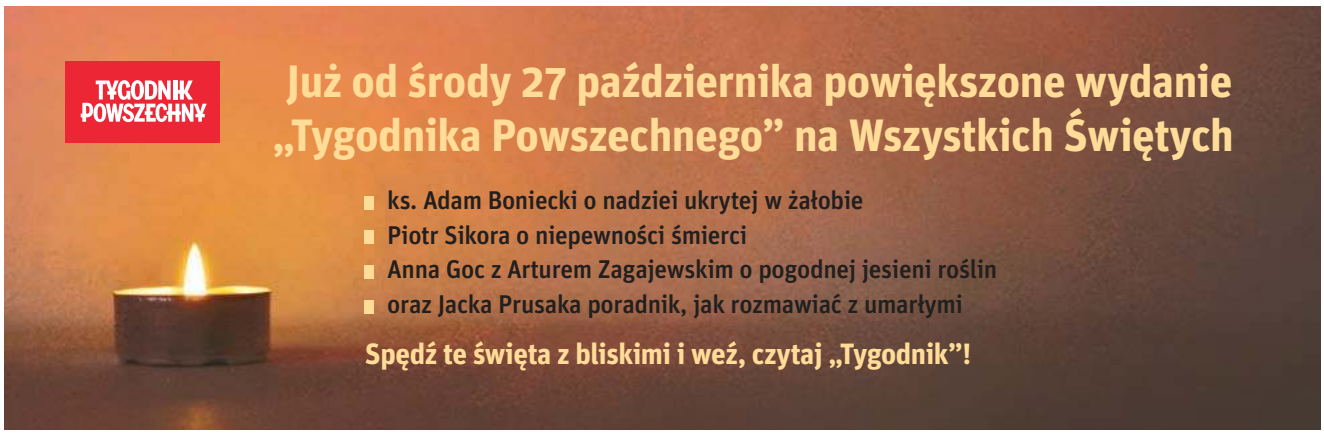

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

22 Krajobraz po bitwie
WITOLD GŁOWACKI
Czy energia, którą kipiał ruch kobiecy pod koniec zeszłego roku, właśnie się wypaliła, roztrwoniona przez osobiste ambicje, środowiskowe konflikty i błędy popełnione na etapie prób instytucjonalizacji protestów?

36 Niejeden Kościół upadł
ROZMOWA Z PROF. ANDREĄ RICCARDIM, ZAŁOŻYCIELEM WSPÓLNOTY SANT'EGIDIO:
Tylko Ewangelia może nas, katolików, uratować z kryzysu – postawienie w centrum ludzi najbiedniejszych, a nie problemów wewnątrzkościelnych.

46 Miasto Orwella
PIOTR BERNARDYN Z TOKIO
Niewiele pozostało dziś ze swobód obywatelskich w Hongkongu – miejscu, do którego kiedyś ciągnęli dysydenci z całej Azji.

62 Podmiot rogaty
MARTA ALICJA TRZECIAK
Ludzka cywilizacja i technologia wyrządziły wiele szkód zwierzętom. Ale coraz częściej tworzy się rozwiązania i urządzenia, które stawiają ich dobrostan na pierwszym miejscu.

78 Dancing, salon, ulica, przebój
ROZMOWA Z JANEM MŁYNARSKIM, MUZYKIEM:
Dopiero w Stanach nabrałem odwagi: zobaczyłem oryginalnych ludzi, których nikt za to nie gnoi. Przeciwnie, są doceniani. A u nas, szczególnie w szkole, jak jesteś twórczy, to...

94 Jest życie na strychu
ADAM ROBIŃSKI
Pamietam podchmielonego górala, z którym czekałem na autobus. Zaczęliśmy rozmawiać i on mówi: panie, my mamy nietoperze, które nam kościół uratowały!

JACEK TARAN // STEFANO SPAZIANI /MONDADORI PORTFOLIO / GETTY IMAGES // PAULA BRONSTEIN / GETTY IMAGES // RAFAŁ SZKUDLAREK / ARCHIWUM PRYWATNE // MARCIN OBARA / PAP // LAM YIK / REUTERS / FORUM

6 Zapora: tajne przez poufne
MAREK KĘSKRAWIEC

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / MAŁGORZATA KORDOWICZ / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

KRAJ

22 Krajobraz po bitwie
WITOLD GŁOWACKI

27 Paczkoman
MAREK RABIJ: *Rafał Brzoska i siła InPostu*

30 Kilo wspólnoty poproszę
ROZMOWA Z PIOTREM CZYŻEM, ARCHITEKTEM, DZIAŁACZEM MIEJSKIM: *Polskie miasta nie umieją wykorzystać targowisk*

WIARA

36 Niejeden Kościół upadł
ROZMOWA Z PROF. ANDREĄ RICCARDIM

40 Nauka słuchania
PIOTR SIKORA: *Mówi się, że synod ma „odwrócić piramidę Kościoła". A może by zapomnieć o piramidzie?*

42 Twarzą w twarz
KAROL WILCZYŃSKI: *Kościół na granicy z Białorusią*

ŚWIAT

46 Miasto Orwella
PIOTR BERNARDYN Z TOKIO

50 Czeska zmiana
PATRYCJA BUKALSKA: *Scena polityczna w Pradze doświadcza wstrząsów*

51 Widziane znad Olzy
ANDRZEJ OTCZYK Z POGRANICZA POLSKO-CZESKIEGO: *Jak wygląda dziś Zaolzie? Jak czują się tamtejsi Polacy?*

TEMAT TYGODNIKA

PIOTR JAXA / FORUM

12 Polska u siebie
DARIUSZ ROSIAK
Dwie siły chcą zawłaszczyć dumę z bycia Polakiem. Obie traktują Unię Europejską jak obcego sąsiada. Dla jednych lepszego od nas, którego warto słuchać, dla innych takiego, który po prostu czasem się przydaje.

16 Historia naszych histerii
ROZMOWA Z PROF. ANDRZEJEM CHWALBĄ
Dzisiaj obserwujemy zwalczające się idee: fascynacji Zachodem i obawy przed Zachodem. Ta druga podbita jest polskim lękiem przed utratą suwerenności.

DODATEK SPECJALNY

69 SZTUCZNA INTELIGENCJA. PODRÓŻ W NIEZNANE

FELIETONY

33 DOROTA MASŁOWSKA **45** ZUZANNA RADZIK **92** JAN KLATA **93** PAWEŁ BRAVO **98** STANISŁAW MANCEWICZ **98** BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA: ANDRZEJ WIETESZKA
Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

54 W ślepym zaułku
WOJCIECH JAGIELSKI *o nowej premier Tunezji – pierwszej w świecie arabskim kobiecie na takim stanowisku*

56 Szczep się lub płać
ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK Z CYPRU: *Wyspa, która żyje z turystyki, panicznie boi się nowej fali epidemii*

HISTORIA

58 Tomek z „Krakowiaka"
PIOTR SAUTER-ZAWADZKI *o chłopaku ze sztetla, marynarzu na słynnym niszczycielu*

NAUKA

62 Podmiot rogaty
MARTA ALICJA TRZECIAK

KULTURA

78 Dancing, salon, ulica, przebój
ROZMOWA Z JANEM MŁYNARSKIM, MUZYKIEM

82 Miejsce, które gdzieś zaginęło
JAN BŁASZCZAK: *Co gra Hiob Dylan uzbrojony w banjo?*

84 Historie Diuny
PIOTR TARCZYŃSKI *o imponującym wprowadzeniu do sagi, która zachwyciła miliony*

88 Pikiety i piwnice
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Hiacynt" Piotra Domalewskiego*

90 Tygodnik Czytelników

92 Odmieńcy
LEKTOR *o książce „Historia zapisana na drzwiach i dwie inne opowieści" Christine Lavant*

ZMYSŁY

94 Jest życie na strychu
ADAM ROBIŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Strona świata
Z Iranu, Turcji i Tadżykistanu napływają wieści o rosnącej z każdym tygodniem liczbie Afgańczyków uciekających z kraju – o zbliżającej się katastrofie humanitarnej pisze
WOJCIECH JAGIELSKI tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

#DOM [Podkast Powszechny]
Zamiast tworzyć lepsze procedury, dyskutować o systemie relokacji i otwarciu legalnych kanałów migracji, my nadal spieramy się o to, kto jest uchodźcą i jakie zdjęcia miał w telefonie – opowiada reporter
BARTOSZ RUMIEŃCZYK powszech.net/podkast

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

ZAPORA: TAJNE PRZEZ POUFNE

Będą niezwłoczne wywłaszczenia, nie będzie przetargów i protestów. Rząd przerażony perspektywą tłumów forsujących granicę zaczyna budowę stalowego ogrodzenia najeżonego elektroniką.

MAREK KĘSKRAWIEC

Pomimo siłowego usuwania z terytorium Polski nawet kobiet z małymi dziećmi, na Białoruś wciąż przybywają kolejni migranci z Azji i Afryki. I będzie ich jeszcze więcej, gdyż w niedzielę Mińsk zniósł wizy dla obywateli Egiptu, Iranu, Jordanii, Pakistanu i RPA (natomiast przywrócił je dla Amerykanów). Trudno uznać to za coś innego niż rzucenie rękawicy Zachodowi. Dlatego nasz rząd w dwa dni przeforsował w Sejmie ustawę o budowie wartej 1,6 mld zł zapory na granicy.

Inwestycja jest osobliwością. Nie będzie jej obowiązywać prawo budowlane, prawo wodne oraz ustawa o ochronie przyrody. Widać wyraźnie, że rząd robi wszystko, by – nawet kosztem obchodzenia ustaw – opanować choć trochę sytuację na granicy z Białorusią. Dziś wciąż jeszcze możemy liczyć na wsparcie Unii Europejskiej, ale jeśli będzie dochodziło do kolejnych zgonów w przygranicznych lasach, a w świat popłyną kolejne filmy pokazujące zmarznięte kobiety i dzieci, sytuacja może się zmienić pod wpływem opinii publicznej na Zachodzie. Słowem, Polska znalazła się w tak trudnej sytuacji, że na poważnie rozpatruje się scenariusze siłowego przekraczania granicy przez tłumy uchodźców, co

Imigranci z Iraku w wojskowej ciężarówce na granicy polsko-białoruskiej. Hajnówka, 14 października 2021 r.

postawi pograniczników przed dramatycznymi wyborami moralnymi. Nie mówi się o tym głośno, ale być może znajdujemy się u progu najtrudniejszego dylematu w historii III RP, z którego nie ma dobrego wyjścia.

Dziennie Straż Graniczna notuje już ponad 500 prób wtargnięcia na terytorium Polski, ale nikt nie wie, ile przypadków jest poza statystyką. Przemytem ludzi zajmują się także międzynarodowe grupy przestępcze, które uczą migrantów, jak forsować ogrodzenia z drutu żyletkowego, a potem odbierają ich busami poza przygraniczną strefą stanu wyjątkowego i wywożą do Niemiec. Rząd ma zamiar zatkać tę lukę, choć nie wiadomo, czy zdąży. Nie jest też jasne, jak będzie wyglądała sama zapora, bo ustawodawca zapowiada utajnienie szczegółów konstrukcji. Obowiązywać ma też zakaz zbliżania się do terenu budowy na odległość 200 metrów. Z naszych informacji wynika, że zaporę stanowić ma wysokie, stalowe ogrodzenie z drutem żyletkowym na szczycie, wspomagane przez elektronikę: kamery, czujniki sejsmiczne, detektory ruchu i sygnalizację alarmową. Bariera ma też uniemożliwiać robienie podkopów.

W ustawie wyraźnie zaznaczono, że dojdzie do wywłaszczeń. A że takie procedury trwają długo, szef Straży Granicznej otrzyma w szczególnych sytuacjach prawo do niezwłocznej (w wyniku pośpiechu napisano: „niewłócznej") realizacji inwestycji na danej nieruchomości, jednak jej właściciel będzie miał prawo do rekompensaty o wartości 50 proc. wyższej niż wartość utraconego mienia. Straż Graniczna nie będzie musiała przeprowadzać procedury przetargowej, a o uczciwość kontraktów na budowę poszczególnych odcinków ma zadbać CBA. Fakt ten może bulwersować w kontekście głośnych afer z zakupami sprzętu medycznego podczas pandemii.

Nie do końca wiadomo, jak będą wyglądały malownicze tereny nad Bugiem. Co prawda Jarosław Kaczyński zapowiedział dwa tygodnie temu, że bariery przy rzece nie będzie, ale z ustawy to nie wynika. Wynika z niej natomiast, że władze zamierzają przystąpić do budowy natychmiast, co oznacza, że już niedługo nasze pogranicze zmieni się nie do poznania. ©℗

KACPER PEMPEL / REUTERS / FORUM

Szkolny wyścig: szczury kontra stachanowcy

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Albo dyrektor nie potrafi ułożyć planu, albo jest dużo zajęć dodatkowych" – tak wiceminister edukacji Dariusz Piontkowski odpowiedział w zeszłym tygodniu na pytanie Roberta Mazurka (RMF FM) o przeciążenie uczniów. Wyposażony w plan lekcji własnego dziecka dziennikarz mówił o dziewięciu godzinach dziennie w klasie 8, uzbrojony zaś w przepisy minister kontrował: maksymalna liczba zajęć w tygodniu to od dwudziestu dla najmłodszych do trzydziestu kilku dla klas 7-8.

Zgadnijcie Państwo, co lepiej przystaje do rzeczywistości – wykute na pamięć przez wiceministra paragrafy czy harmonogram ósmoklasisty? Do zapisanej faktycznie w przepisach puli zajęć dochodzą (owszem, nieobowiązkowe, ale bardzo trudne do „upchnięcia" na początku albo pod koniec dnia) religia, wychowanie do życia w rodzinie lub ważne zwłaszcza po lockdownie i nauczaniu zdalnym zajęcia dydaktyczno-wyrównawcze (często trzy razy 45 minut w tygodniu).

A to daje nam już w sumie blisko 40 godzin w klasach 7-8 (i niewiele mniej w młodszych). A gdzie prywatne lekcje z angielskiego – pokłosie polskiej normy, w której oświata publiczna nie jest w stanie nauczyć dziecka języka? Gdzie odbywane masowo korepetycje z matematyki czy fizyki? Gdzie plaga główna polskiej edukacji, zadania domowe – efekt upychania treści w podstawach programowych tak, że nauczyciele nie są w stanie jej zrealizować nawet w ciągu owych 40 godzin? Polski uczeń to pracujący bezpłatnie, za to na półtora etatu stereotypowy „korpoludek" – jego tygodniowy harmonogram to świadectwo patologii tyleż ciężkiej, co uznanej od dawna za oczywistość. Niestety, nie tylko przez wiceministra.

A za moment do wyścigu na wyrabianie stachanowskich norm dołączą nauczyciele. Zwykle już ciężko pracujący: Instytut Badań Edukacyjnych ustalił dekadę temu, że polski pedagog poświęca pracy średnio 46 godzin i 40 minut tygodniowo. Teraz, zgodnie z wolą ministra Przemysława Czarnka, mogą mu dojść kolejne 4 godziny przy tablicy w ramach zwiększonego pensum. W ten sposób nauczyciel ma zapracować na wyższe pobory, co urzędnicy nazywają podwyżką.

Doktryna polskiej szkoły od lat brzmi: jak najwięcej pracy, jak najmniej pytań o jej sens. Ambitny duet Piontkowski-Czarnek doprowadza ją właśnie do mistrzostwa. ©℗

Kto się przejedzie na polexicie

MIESIĄC NIE MINĄŁ, odkąd Donald Tusk ogłosił, że PiS chce nas wyprowadzić z Unii Europejskiej („Ja to wiem, mnie się to nie wydaje"), a już Jarosław Kaczyński zdołał dostarczyć mu skrzynkę z amunicją. Orzeczenie TK, któremu zielone światło dała Nowogrodzka, nie tylko wypchnęło na ulice niemal takie tłumy, jak te po zeszłorocznym wyroku w sprawie aborcji, ale stało się też jaskrawym dowodem na prawdziwość tezy Tuska. Ów to wykorzystał i na placu Zamkowym zbił kapitał polityczny.

Czyżby zatem prezes PiS-u stał się dla Tuska pożytecznym idiotą? Niekoniecznie. Wytyczenie osi sporu wokół członkostwa Polski w UE może być dla rządzących nawet korzystne. Choćby dlatego, że większość społeczeństwa uważa naszą obecność we Wspólnocie za niewzruszoną. Stąd opowieści o wyjściu skwitują wzruszeniem ramion, zwłaszcza jeśli obozowi władzy uda się w końcu odblokować pieniądze z Krajowego Planu Odbudowy. Opozycja wyjdzie wówczas na sygnalistę, który bez powodu bije na trwogę. Poza tym fiksacja na tym temacie może przysłonić opozycji sprawy, którymi żyje dziś przeciętny Polak, jak ceny żywności, usług, prądu, gazu i paliwa. A PiS – jak to PiS – zamiast rozwiązywać problemy, wziął się za propagandę i znalazł winnych w Brukseli. Odtąd będzie sączył wyborcom narrację o złych eurokratach, którzy nie dość, że uzurpują sobie władzę, to jeszcze zakazują nam palić węglem.

Tym samym zrzuci odpowiedzialność z siebie i będzie rozbudzał niechęć do Wspólnoty, piekąc dwie pieczenie na jednym ogniu. Ta taktyka była widoczna w sejmowym przemówieniu premiera, który najpierw starał się łagodzić lęki elektoratu opozycji, mówiąc, że PO walczy z polexitem jak Don Kichot z wiatrakami, by zaraz potem obsłużyć swoich wiernych wyborców („W Polsce suwerenem jest naród, a nie urzędnik unijny"). © KAROLINA LEWICKA

Autorka jest dziennikarką radia Tok FM.

MAGDA MILERT, ARCHITEKTKA

Domy na łatwiznę

KRZYSZTOF STORY: Sejmowe komisje odrzuciły weto Senatu dla nowego prawa budowlanego. Prawdopodobnie już od przyszłego roku domy do 70 m² będziemy budować bez pozwolenia, kierownika budowy i pełnej dokumentacji. To dobry pomysł?

ARCHIWUM PRYWATNE

MAGDA MILERT: Od lat każdy rząd wymienia suburbanizację jako problem o ogromnych konsekwencjach. A teraz dostajemy projekt, który na nią nie tylko pozwala, ale też ją wspiera, reklamuje, mówi: „tego właśnie potrzebujemy".

Dlaczego?
Bo w ten sposób można zyskać dużo głosów w kraju, który zmaga się z kryzysem mieszkaniowym, gdzie 30 procent nowych mieszkań jest sprzedawanych jako inwestycje, a nie miejsce do życia. To jest pójście na łatwiznę.

Jakie mogą być konsekwencje?
Powstaną kolejne dysfunkcyjne obszary bez dostępu do usług: komunikacji, szkół, szpitali, gdzie nie da się żyć bez samochodu. A my wszyscy dopłacimy do zbudowania tam drogi czy kanalizacji. Pogłębi się też chaos przestrzenny.

Sposobem na to mają być modelowe projekty domów, które państwo zaoferuje za symboliczną złotówkę.
Tylko że taki projekt musi być dostosowany do warunków na konkretnej działce, a nowa ustawa pozwala budować nawet bez kierownika budowy. Oczywiście już dzisiaj kierowniczy nadzór odbywa się często jedynie na papierze, ale powinno się z tym walczyć, a nie legalizować.

Domy na zgłoszenie powstaną tylko tam, gdzie jest miejscowy plan zagospodarowania przestrzennego. Takie plany to rzadkość.
Gminy zaraz zaczną masowo uchwalać kolejne, żeby zarobić na nieruchomościach. Oczywiście ustawa wprowadza ograniczenia – maksymalnie dwa piętra, minimalną powierzchnię działki. Niestety na każde ograniczenie znajdzie się sposób, a nowe przepisy to jeden wielki kruczek prawny, który pogłębi to, co w polskiej urbanistyce najgorsze. ©℗

KRAJ W SKRÓCIE

AS WYWIADU
W tym tygodniu Jarosław Kaczyński udzielił wywiadu „Sieciom", „Gazecie Polskiej" i radiu RMF. Zapowiedział m.in. własne odejście z rządu i likwidację Izby Dyscyplinarnej SN, a pytany o tzw. Polski Ład powiedział, że „tylko ci, którzy żyją z cwaniactwa, mogą rzeczywiście stracić" na jego wprowadzeniu.

AS PORADNICTWA
Wzięty prawnik, a prywatnie ojciec wziętego rapera Marcin Matczak wywołał kolejną inbę: krytykując na łamach „Polityki" młodą lewicę, stwierdził, że wątpi, by „tacy ludzie byli gotowi pracować po 16 godzin na dobę, żeby osiągnąć sukces", zapominając najwyraźniej, że polskie prawo nie zezwala na pracę w takim wymiarze.

AS POŚREDNICTWA
Nie ma tygodnia bez publikacji domniemanych maili ze skrzynki min. Michała Dworczyka. Ostatnio zapoznaliśmy się np. z korespondencją na temat rozpaczliwych poszukiwań kandydata na wiceministra rolnictwa i życiorysem szukającego pracy w TVP dziennikarza TV Trwam, dziękującego za „przekazanie go dalej".

AS PRZETARGÓW
Wojsko nie kupi jednak 300 mobilnych ołtarzy polowych: po fali krytyki w internecie szef MON Mariusz Błaszczak zapowiedział, że z pieniędzy na ten cel sfinansuje zakup kamer nasobnych dla żołnierzy ochraniających granicę z Białorusią.

JAKUB KAMIŃSKI / EAST NEWS

Stan wskazujący na obojętność

W CIĄGU trzech ostatnich lat ponad dwukrotnie zwiększył się odsetek nietrzeźwych kierowców wśród wszystkich, których policja zatrzymywała do kontroli. W tym okresie wykryto ok. 420 tysięcy takich przypadków, a aż 26 tysięcy miało już na koncie podobne przestępstwo w przeszłości. Najwyższa Izba Kontroli ogłosiła niedawno raport oceniający działania instytucji dla poprawy bezpieczeństwa na drogach. Specjalny narodowy program zakładał, że w 2020 r. będzie w wypadkach ginąć „tylko" 2 tysiące osób. Nawet tego horrendalnego limitu nie udało się zapewnić. Raport wskazuje na niską skuteczność zaostrzenia kar oraz niesprawne procedury np. obowiązkowych badań (pod kątem chociażby uzależnień) i kursów reedukacyjnych. Ale poza zasięgiem kontrolerów pozostaje chyba najbardziej ewidentne, przy tej skali problemu, zjawisko coraz większej akceptacji dla zachowania, które powinno być na czele powodów do środowiskowego i rodzinnego ostracyzmu.

©℗ PAWEŁ BRAVO

Niechciany „Obywatel Jones"

W PIERWSZEJ CHWILI mogło się zdawać, że to atak terrorystyczny. „Wszyscy na ziemię!" – z takim okrzykiem kilkudziesięciu zamaskowanych mężczyzn wtargnęło do sali, w której Stowarzyszenie Memoriał i Instytut Polski w Moskwie zorganizowały pokaz filmu „Obywatel Jones". Obraz wyreżyserowany przez Agnieszkę Holland opowiada historię młodego dziennikarza Garetha Jonesa, który w latach 30. potajemnie objechał sowiecką Ukrainę i jako pierwszy opisał tamtejszy Wielki Głód (wywołany przez władze, zabił on kilka milionów ludzi).

Napastnicy weszli na scenę i przerwali pokaz, krzycząc do zgromadzonych: „Faszyści!", „Wynocha z Rosji!", „Nie ma miejsca dla zagranicznych agentów!". To ostatnie nawiązywało do faktu, iż władze Rosji wpisały Memoriał – zajmujący się upamiętnieniem ofiar komunizmu – na listę tzw. zagranicznych agentów. Zajście filmowała ekipa prokremlowskiej telewizji NTV. Gdy na miejsce przybyli policjanci, zatrzymali wprawdzie paru napastników, ale zaraz ich zwolnili, natomiast skrupulatnie spisali osoby obecne na pokazie. Po czym założyli kajdanki na drzwi wejściowe do Memoriału, co przewodniczący organizacji Jan Raczyński nazwał „świetną ilustracją czasów, w jakich żyjemy". Szef Instytutu Polskiego Piotr Skwieciński powiedział PAP, że Instytut „będzie robić swoje".

Pokaz filmu dokończono.

©℗ WP / PAP, FAZ, FB

O napaści pisze też Anna Łabuszewska na swoim blogu.

HUSSEIN MALLA / AP / EAST NEWS

TO JUŻ WOJNA DOMOWA? – pytali mieszkańcy Bejrutu, gdy 14 października na ulicach wybuchły walki między milicją chrześcijańską a islamskim Hezbollahem; w użyciu była broń maszynowa i granatniki. Zaczęło się, gdy ktoś ostrzelał demonstrację Hezbollahu. Jej uczestnicy żądali dymisji sędziego, który kieruje śledztwem w sprawie eksplozji w bejruckim porcie w sierpniu 2020 r. (zginęło wtedy 215 ludzi) i ostatnio bada tutaj trop Hezbollahu – ruchu polityczno-zbrojnego, który jest „państwem w państwie". Walki ustały (ich bilans: 6 zabitych i kilkudziesięciu rannych), ale wobec narastającego kryzysu politycznego i gospodarczego Libańczycy boją się nowej wojny domowej (trwała tam w latach 1975-90). Na zdjęciu: żołnierze armii rządowej chronią nauczycielki uciekające z ostrzelanej szkoły. ©℗ WP

Irak: wyborczy sukces frakcji antyirańskiej

MUKTADA AS-SADR, islamski kaznodzieja pozujący na trybuna ludowego i dawny wróg Amerykanów – m.in. to jego milicje walczyły z polskimi żołnierzami w Karbali – znów zwyciężył w wyborach parlamentarnych w Iraku i ponownie będzie musiał dzielić się władzą z rywalami.

Odkąd w 2003 r. USA najechały na Irak, obaliły dyktatora Husajna i zaprowadziły ułomną, ale demokrację, we wszystkich tamtejszych wyborach wygrywają szyici (stanowią dwie trzecie ludności) i przewodzący im mułłowie, których Stany zawsze podejrzewały o sprzyjanie wrogim im ajatollahom z Iranu. Aby temu zaradzić – i utrzymać stabilność w kraju podzielonym religijnie oraz etnicznie – wprowadzono zwyczaj, że premierem będzie szyita, ale przewodniczącym parlamentu – sunnita, prezydentem zaś – Kurd.

Dobiegający pięćdziesiątki As-Sadr nie jest – w przeciwieństwie do szyickich rywali – klientem Iranu. Odwołuje się do irackiego nacjonalizmu i sprzeciwia temu, by ktokolwiek – czy odległe USA, czy sąsiedni Iran – wtrącał się w sprawy kraju.

Proirańskie stronnictwa szyickie w Iraku urosły w siłę, gdy ich milicje (zwane Pospolitym Ruszeniem) rozgromiły w 2017 r. tutejsze Państwo Islamskie. Wasalna podległość Iranowi, a także brutalność, z jaką Pospolite Ruszenie rozpędzało antyrządowe protesty z lat 2019-20 (ponad 600 zabitych), zraziły jednak do nich Irakijczyków i w nowym parlamencie ich frakcja stopnieje z 48 posłów do niewiele ponad tuzina. As-Sadr, który miał dotąd 54 posłów, teraz będzie mieć ich ponad 70.

Do wyboru premiera potrzeba jednak co najmniej 165 głosów. Rywale As-Sadra do przywództwa nad szyitami już skrzyknęli się w nową koalicję i twierdzą, że razem mają co najmniej tylu posłów co on. Wybór nowego rządu poprzedzą targi, które po poprzednich wyborach zajęły osiem miesięcy. Do tego czasu rządzić będzie Mustafa al-Kadhimi: urzędujący od 2020 r. kompromisowy premier, który okazał się sprawnym zarządcą (czym zjednał rodaków) i jeszcze zręczniejszym dyplomatą (czym zyskał sympatię za granicą).

©℗ WOJCIECH JAGIELSKI

Więcej w serwisie Strona Świata na stronie internetowej „TP".

Długa droga do Unii

WOJCIECH KONOŃCZUK

Coroczny szczyt UE-Ukraina stał się okazją do podsumowania stanu dwustronnych relacji i zarysowania ich perspektywy.

W odróżnieniu od wielu poprzednich takich spotkań, tym razem było dość konkretnie. Podpisano umowy o wspólnej przestrzeni powietrznej, która liberalizuje zasady połączeń lotniczych, oraz o dołączeniu Ukrainy do unijnych programów naukowo-badawczych. Bruksela zgodziła się też na rozpoczęcie procesu rewizji umowy o pogłębionej strefie wolnego handlu, o co Kijów zabiegał od dawna, licząc na większe otwarcie rynku unijnego na swój eksport. Z pewnością będzie to proces żmudny, który wywoła opory części państw unijnych. Bruksela uznała też „widoczny postęp w regulacyjnym zbliżeniu [Ukrainy] do prawa Unii". Nie oznacza to, iż wdrożono już podpisaną w 2014 r. umowę stowarzyszeniową, dokument o charakterze fundamentalnym – Kijów ma tu wciąż wiele do zrobienia.

Dla władz ukraińskich ta polityka małych kroków na drodze do Unii jest za mało ambitna. Stąd wciąż ponawiane wezwania (często w mało dyplomatyczny sposób) o nadanie Ukrainie perspektywy członkostwa. Większość krajów unijnych jest jednak temu przeciwna, a narracja o „przedwczesności" ma w gruncie rzeczy maskować brak strategicznej wizji.

Tymczasem, mimo oporu polityków, badania kijowskiego Centrum Nowej Europy pokazują, że w unijnych społeczeństwach stopniowo rośnie poparcie dla członkostwa Ukrainy i obecnie wynosi od 42 proc. we Francji czy 47 proc. w Niemczech do 61 proc. we Włoszech i 70 proc. w Polsce. To ważne, nawet jeśli nie przekłada się automatycznie na decyzje polityczne.

Miejsce, w jakim są dziś stosunki ukraińsko-unijne, zaskakująco szczerze określiła jakiś czas temu Kersti Kaljulaid, ówczesna prezydent Estonii, a więc państwa wspierającego aspiracje Kijowa. Według niej Ukraina nie spełnia obecnie kryteriów niezbędnych do członkostwa, a żeby to zmienić, potrzebuje jeszcze 20 lat. Nawet jeśli jest to pogląd zbyt pesymistyczny, dobrze oddaje sposób myślenia znacznej części elit unijnych. ©

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

SYNOD

Biskupi zaprosili wszystkich ochrzczonych i bierzmowanych do udziału w diecezjalnym etapie synodu o synodalności, który rozpoczął się 17 października. „Nim zabierzemy się za jakiekolwiek reformy, potrzebny jest nam rachunek sumienia z tego, jak ze sobą rozmawiamy, jak nawzajem się słuchamy i jak rozeznajemy wolę Bożą" – napisali. Niektóre diecezje uruchomiły strony z niezbędnymi informacjami.

TELEFON

Po ogłoszeniu raportu na temat przestępstw dominikanina Pawła M. przez 12 dni pięcioro psychoterapeutów w ciągu ponad 36 godzin odebrało 27 telefonów od 26 osób – wynika z podsumowania działalności infolinii zorganizowanej w ramach Inicjatywy „Zranieni w Kościele". Dwie z osób dzwoniących miały w przeszłości kontakt z Pawłem M. Kilka zgłoszeń dotyczyło nadużyć, do których doszło podczas egzorcyzmów.

ZNACZEK

Adam Piekarski – 42-letni Polak, który jeszcze do niedawna był rzymskim bezdomnym – jest autorem obrazów przedstawiających Świętą Rodzinę i Trzech Króli reprodukowanych w tym roku w bożonarodzeniowej serii znaczków watykańskich. Piekarskiemu pomógł jeden z polskich duchownych, zamawiając u niego obraz. Od kwietnia tego roku Polak maluje w pracowni na poddaszu Palazzo Migliore, zaoferowanej mu przez kard. Konrada Krajewskiego.

VATICAN MEDIA

Polska przestaje być bastionem Kościoła

ARTUR SPORNIAK

Liczba kandydatów do kapłaństwa maleje od dłuższego czasu, ale dotychczas był to spadek wynoszący kilka procent rocznie. Owszem, w dłuższej perspektywie nie napawał on optymizmem. Wygląda jednak na to, że w tym roku mamy do czynienia z tąpnięciem – do seminariów diecezjalnych i zakonnych zgłosiło się o 20 proc. mniej kandydatów niż w roku ubiegłym (356, a w 2020 r. 441; w 2019 r. było 498 kandydatów, a jeszcze w 2012 r. aż 828). Do furt czterech diecezjalnych seminariów – w Bydgoszczy, Drohiczynie, Elblągu i Łowiczu – nie zapukał nikt. Formacji nie rozpoczął ani jeden kandydat także w 19 seminariach zakonnych. W dotychczasowym „zagłębiu powołaniowym", czyli w diecezji tarnowskiej, liczba kandydatów spadła prawie o połowę (z 26 do 14), a w Krakowie trzykrotnie (z 13 do 4).

Wygląda na to, że pada ostatni powołaniowy bastion w Europie i dołączamy do katolickich krajów coraz mocniej borykających się z brakiem księży (w Irlandii do 26 seminariów przyjęto tylko 4 kandydatów, we Włoszech w ciągu ostatnich trzydziestu lat liczba księży zmniejszyła się o 27 proc.).

„Pan Bóg na pewno nie przestał przemawiać do serc młodych ludzi", tylko trudniej jest im ten głos usłyszeć, ze względu na „tendencje indywidualistyczne" i „negatywny obraz Kościoła i kapłaństwa", wzmocniony przez kryzys związany z nadużyciami seksualnymi – uważa ks. Piotr Kot, przewodniczący Konferencji Rektorów Wyższych Seminariów Duchownych.

A może jednak Bóg chce, byśmy na nowo przemyśleli funkcjonowanie kapłaństwa w Kościele? ©℗

Błogosławione preludium

CUD ZA PRZYCZYNĄ Albina Lucianiego, czyli Jana Pawła I, zatwierdzony w ubiegłą środę przez papieża Franciszka, to ostatni brakujący element do zakończenia procesu beatyfikacyjnego „uśmiechniętego papieża".

Watykańska komisja lekarska uznała za niewytłumaczalne z medycznego punktu widzenia nagłe uzdrowienie 11-letniej brazylijskiej dziewczynki z ciężkiego, pozapalnego uszkodzenia mózgu, z kolei komisja teologów stwierdziła, że występuje związek między uleczeniem dziecka a modlitwami jego bliskich za wstawiennictwem Jana Pawła I.

Albino Luciani (1912-1978), wybrany na papieża podczas błyskawicznego konklawe, pierwszego po Soborze Watykańskim II, był zwolennikiem Kościoła ubogiego, pokornego, kolegialnego, przemawiającego zrozumiałym językiem, otwartego na dialog i doceniającego rolę świeckich. Jego 34-dniowy pontyfikat można uznać – na podstawie kilku „programowych" przemówień, które Jan Paweł I zdążył wygłosić – za preludium do stylu i reform obecnego papieża.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

Religie pod rygorem

PRAWNE OGRANICZENIA na religie nakłada 91 proc. państw świata – wynika z najnowszego, 12. raportu ośrodka Pew Research Center pt. „Global Religious Constraints", dotyczącego roku 2019. Badacze przyjrzeli się sytuacji w 198 państwach. W skali globalnej zmalała liczba aktów wrogości społecznej (ataków terrorystycznych, linczów czy zabójstw na tle religijnym), ale wzrósł poziom prawnych ograniczeń nakładanych na praktyki religijne.

Krajami o bardzo wysokim poziomie wrogości społecznej są m.in. Indie, Nigeria, Irak, Izrael, Pakistan, Sri Lanka, Libia i Syria. Z kolei w grupie państw o wysokim poziomie restrykcji prawnych znalazły się m.in. Turcja, Iran, Erytrea i Rosja (jako jedyny kraj z chrześcijańską większością). Badacze oceniali poziom restrykcji rządowych dotyczących kultu w skali od 1 do 10. Światowa średnia wyniosła 2,9. Na tym tle niekorzystnie wyróżnił się rejon Bliskiego Wschodu ze wskaźnikiem 6 oraz region Azji i Pacyfiku ze wskaźnikiem 4,1.

Najbardziej prześladowaną grupą religijną na świecie są chrześcijanie: w co najmniej 153 krajach są ofiarami dyskryminacji ze strony państwa lub innych grup religijnych (w 2007 r., kiedy ukazał się pierwszy tego typu raport, było ich 107). Muzułmanie są prześladowani w 147 krajach, Żydzi w 89.

©℗ MACIEJ MÜLLER

KULTURA W SKRÓCIE

WEEKEND NAGRÓD

Literacką Nagrodę Europy Środkowej Angelus otrzymała ukraińska pisarka Kateryna Babkina, autorka przełożonej na język polski przez Bohdana Zadurę książki „Nikt tak nie tańczył, jak mój dziadek". Laureatami Poetyckiej Nagrody Silesius w kategoriach książka i debiut roku zostali Kamila Janiak i Aleksander Trojanowski, a jury Nagrody Fundacji im. Kościelskich wyróżniło w tym roku reporterkę Małgorzatę Rejmer oraz poetę Jana Barona.

WIECZÓR ZDZIWIEŃ

Choć Carmen Mola jest niezwykle popularną w Hiszpanii autorką thrillerów kryminalnych, jej tożsamości – poza wydawcą – nikt dotąd nie znał. Gdy otrzymała prestiżową nagrodę Planeta w wysokości miliona euro, po odbiór nieoczekiwanie zgłosiło się trzech mężczyzn, znanych pisarzy i scenarzystów: Agustín Martínez, Jorge Díaz i Antonio Santos Mercero. Wyróżniona „Bestia" to powieść historyczna, której akcja rozgrywa się w 1834 r. podczas epidemii cholery.

NOC KSIĘGARŃ

Już 22 października po zmroku na czytelniczki i czytelników w ich ulubionych księgarniach czekają spotkania autorskie, premiery, warsztaty, seanse filmowe, koncerty i dyskusje. Program wydarzeń dostępny jest na stronie nocksiegarn.pl.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

MAREK RABIJ porozmawia z Agnieszką Lichnerowicz o twórcy InPostu Rafale Brzosce (tekst na s. 27). Słuchaj Popołudnia Radia TOK FM w środę 20 października o godz. 16.00.
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

FB / OXIA PALUS

NIEBIESKI AKT. Chłodne barwy sprawiają, że wygląda na zziębniętą. Za chwilę ramionami obejmie uda, a czoło oprze na kolanie. Do odtworzenia nieznanego aktu Picassa, ukrytego przez prawie 120 lat pod „Śniadaniem ślepca", zatrudniono maszyny. Po dokładnym prześwietleniu płótna obraz dostała do obróbki sztuczna inteligencja, którą przeszkolono, w jaki sposób pędzlem posługiwał się hiszpański artysta. Zrekonstruowany akt wydrukowany w technologii 3D można było oglądać w ub. tygodniu na targach Deep AI Art Fair w Londynie – i nie wszystkim przypadł do gustu. Podobnie, gdy niedawno na jednym z obrazów Vermeera nieoczekiwanie odsłonięto kupidyna. Domyślającym się dotąd, jakiego rodzaju korespondencję otrzymała „Dziewczyna czytająca list przy otwartym oknie", nie pozostawiono złudzeń. ©℗ MOC

Pochodzenie SARS-CoV-2 nadal niepewne

BARTOSZ KABAŁA

Za najbardziej prawdopodobny scenariusz uznaje się ten, w którym wirus SARS-CoV-2 dokonał przeskoku między nietoperzem bądź łuskowcem a człowiekiem, ale żadna z możliwych teorii o genezie choroby nie jest potwierdzona lub wykluczona. Raport z marca, w którym grupa naukowców powołana przez Światową Organizację Zdrowia (WHO) badała źródła wirusa, również wskazywał na odzwierzęce pochodzenie. Wywołał jednak sporo kontrowersji, a jego wiarygodność w związku z utrudnianiem przez Chiny dostępu do pełnych danych była podważana.

W ubiegłym tygodniu WHO ogłosiła powstanie nowego zespołu złożonego z 26 naukowców z 26 państw, który będzie badał źródła koronawirusa i innych nowych patogenów w przyszłości. Ponownie rozpatrzone mają być wszystkie scenariusze. W „Science" szef WHO Tedros Ghebreyesus stwierdził, że również „wyciek laboratoryjny nie może być wykluczony, dopóki nie ma wystarczających dowodów", a dane z początków pandemii nie zostaną udostępnione. Na razie jednak chińskie władze nie są skore do współpracy z niezależnymi ekspertami, twierdząc, że przyczyn pojawienia się wirusa należy poszukiwać w innych krajach.

Tymczasem najnowsze doniesienia dowodzą, że tak groźny wirus mógł powstać w naturze. Badacze z Instytutu Pasteura w pracy, która czeka jeszcze na publikację w specjalistycznym czasopiśmie, piszą o podobnych do SARS-CoV-2 koronawirusach odkrytych u nietoperzy żyjących w jaskiniach i lasach północnego Laosu. Trzy opisane wirusy posiadają na powierzchni białko bardzo przypominające to, jakim dysponuje SARS-CoV-2, i tak jak on, choć w warunkach laboratoryjnych, potrafią łączyć się z ludzkimi komórkami za pomocą receptora ACE2. Podobnych wirusów jest więcej, ale te odkryte są pod względem genetycznym najbliższe patogenu z Wuhan – podobieństwo wynosi ponad 96 proc. Nie ma jednak dowodów na bezpośredni związek znalezionych wirusów z pandemią. ©

TEMAT TYGODNIKA

POLSKA U SIEBIE

Dwie siły chcą zawłaszczyć dumę z bycia Polakiem. Obie traktują Unię Europejską jak obcego sąsiada. Dla jednych lepszego od nas, którego warto słuchać, dla innych takiego, który po prostu czasem się przydaje.

DARIUSZ ROSIAK

PIOTR JAXA / FORUM

Parada Schumana w Warszawie, maj 2019 r.

Znów jest jak zwykle. Jarosław Kaczyński podejmuje decyzję – jakąkolwiek – i dwa plemiona zaczynają polski taniec z toporami. Gdzieś na marginesie, poza główną sceną, odzywają się głosy, które próbują porządkować, wyławiać sensy albo bezsensy, ale giną one w zgiełku i emocjach. Symbolem sprawy, od której potencjalnie zależy przyszłość Polski, staje się publiczna awantura między byłym członkiem ONR i byłą uczestniczką powstania warszawskiego. Reszta się słabo przebija.

A chodzi przecież o przyszłość Polski w Unii Europejskiej. Granice publicznej debaty o niej wyznaczają dwa kompleksy, które na pierwszy rzut oka wyglądają na skrajnie różne, ale w istocie sięgają tego samego źródła – poczucia słabości i podrzędności prowincji wobec centrum.

Sfera obca

Pierwszy, wyrastający z tęsknoty za zachodnim ideałem, przejawia strona progresywno-liberalna. Według niej zadaniem Polski od zawsze było doszlusowywać do lepszych, a do Unii weszliśmy po to, aby dokonać skoku mentalno-cywilizacyjnego. Wysokość, na jakiej ustawiona jest poprzeczka, wyznaczają inni, my zaś – wiecznie aspirujący – mamy tylko skakać wyżej i wyżej. Jesteśmy gorszą częścią Europy i z tej gorszości możemy się wyrwać jedynie poprzez przyobleczenie się w „zachodniość".

Od lat 90. XX w. to marzenie o dorównaniu lepszym dominowało w mediach i dyskursie publicznym. Dodajmy: przy niemal powszechnej akceptacji Polaków. Uznaliśmy, że w naszym interesie jest wchłonięcie przez Zachód, ponieważ tylko wtedy będziemy w stanie wykorzystać własny, ukryty potencjał.

Drugi skrajny kompleks – narodowo-prawicowy – głosi, że Polska była jedną z głównych sił tworzących współczesną Europę, to my nauczyliśmy Francuzów jeść nożem i widelcem, stworzyliśmy pierwszą demokratyczną konstytucję, odkryliśmy, że Ziemia kręci się wokół Słońca i obroniliśmy kontynent przed komunizmem. Za to przez wieki spotykała nas niewdzięczność. Teraz Unia ma szansę dokonać ekspiacji poprzez upodobnienie się do Polski. Unii nie zawdzięczamy nic nie tylko w sferze prawnej czy cywilizacyjnej, ale – co wyliczył Patryk Jaki, a zatwierdził prezes NBP – w gospodarce. Bez Unii poradzilibyśmy sobie świetnie, zapewne nawet lepiej niż z nią.

Oba polskie kompleksy dominują w życiu publicznym, bo grając na nich ↦

najłatwiej uprawia się politykę. W dodatku oba znalazły silne, upostaciowione symbole: Jarosława Kaczyńskiego i Donalda Tuska. Sferę polskiej debaty publicznej zdominowali ludzie, którzy posługują się skrajnymi argumentami, przez co nie da się sensownie rozmawiać na temat tego, czym jest Unia Europejska i jak powinna się w niej zachowywać Polska. Unia jest dla Polski strefą obcą – to nie jest nasz dom, tylko świat, do którego aspirujemy, albo z którego chcemy się wyrwać.

Brexitu w Polsce nie będzie

Tak zresztą było od początku. Gdy wstępowaliśmy do Unii, nie odbyła się właściwie poważna debata na temat tego, do jakiej instytucji wchodzimy, jaki Polska ma w tym interes i jak go realizować. Przeważał przekaz: radujmy się, bo oto dołączamy tam, gdzie zawsze było nasze miejsce. Europa ucywilizuje Polskę, a poza tym będziemy mieć wszędzie drogi rowerowe. Pytania, wątpliwości i zachęty do liczenia kosztów, które w tamtym czasie zgłaszał Andrzej Lepper, traktowano jako przejaw barbarzyństwa i ciemniactwa.

Dziś dominuje partia, która od sześciu lat prowadzi narodowo-kościelną krucjatę w celu uchronienia Polski przed wpływami postmodernistycznego zeświecczonego Zachodu. Jednocześnie jej sukces – zwłaszcza w gospodarce – wynika w dużym stopniu z integracji Polski z rynkami Unii. Obecny chaos w stosunkach Warszawy z Brukselą jest najlepszą ilustracją tej sprzeczności: PiS modernizuje Polskę w dużym stopniu dzięki pieniądzom z Unii, której instytucji serdecznie nienawidzi. I być może warto spojrzeć na ostatni werdykt Trybunału Konstytucyjnego właśnie jako na wynik splotu sprzeczności, w którym tkwi Jarosław Kaczyński, heroicznie próbując go rozsupłać.

Można oczywiście poprzestać na wzmożeniu moralno-patriotycznym i straszeniu polexitem. Nie wydaje mi się on w tej chwili celem rządu, co nie znaczy, że w dalszej przyszłości jest on wykluczony. W każdym razie porównania sytuacji Polski z brexitem są nieporozumieniem. W Polsce istnieje trwała i zdecydowana większość za obecnością we Wspólnocie, co w przypadku brytyjskim nigdy nie miało miejsca.

W 1973 r. Brytyjczycy wstępowali do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, a nie Unii Europejskiej. Kierunki i skala integracji nie były przesądzone, a Brytyjczycy przez cały okres swojego członkostwa – z krótką przerwą w czasie rządów Tony'ego Blaira – sabotowali ścisłe polityczne i instytucjonalne zbliżenie kontynentu. Z pozytywnym skutkiem, przynajmniej dla siebie. Przez 47 lat Wielka Brytania była członkiem Wspólnoty tylko w dziedzinach, w których chciała. Nie należała do strefy Schengen, nie przyjęła euro ani Karty praw podstawowych UE, wybierała co chciała z unijnej polityki sprawiedliwości i bezpieczeństwa. Integrowała się tylko w tych sferach, w których europejskie regulacje były na korzyść Brytyjczyków. Nie przeszkadzało jej to odgrywać ważnej, a w niektórych dziedzinach kluczowej roli w Unii.

> Brytyjczycy z odrazą patrzyli na Unię coraz bardziej regulującą gospodarkę. Konserwatywni Polacy boją się, że zacznie im wchodzić do kościołów, szkół i łóżek.

W 2016 r., kiedy Brytyjczycy zagłosowali powtórnie, mieli już jasność, że Unia to sojusz polityczny, którego celem jest ciągle postępująca integracja Europy. Owszem, bezpośrednią przyczyną brexitu była błędna kalkulacja polityczna Davida Camerona, ale nie jest prawdą, że wychodząc z Unii Brytyjczycy nie wiedzieli, co robią, bo zostali oszukani przez cynicznych polityków albo zmanipulowani przez Cambridge Analytica. Brytyjczycy wyszli z Unii, ponieważ większość narodu nie chciała podlegać regulacjom Brukseli – co zresztą potwierdziły wyniki wyborów 2019 r., wygranych bezapelacyjnie przez Borisa Johnsona.

Napięcie krzepi władzę

Sytuacja Polski jest diametralnie różna, ponieważ zdecydowana większość Polaków zawsze była za członkostwem. Opozycja pod wodzą Donalda Tuska chwyta się polexitu jak ostatniej deski ratunku – jednak jak dotąd straszenie PiS-em nie działa i nic nie wskazuje na to, by mogło zadziałać – chyba że udałoby się Tuskowi przekonać wyborców, że Polsce naprawdę grozi wyprowadzenie przez PiS z Unii Europejskiej. Jarosław Kaczyński doskonale wie, jaka jest opinia w tej sprawie zdecydowanej większości Polaków, również w jego elektoracie. Po co zatem sterowany przez niego Trybunał Konstytucyjny wchodzi na kurs kolizyjny z instytucjami Unii?

Wydanie akurat teraz decyzji Trybunału o wyższości Konstytucji nad prawem unijnym wynika prawdopodobnie z przekonania prezesa PiS-u, że wzmocni to pozycję jego partii. Jak widać po sondażach, ma rację. Jednak jeśli Unia naprawdę wstrzyma wypłaty, uzależniając je od spełnienia tzw. zasad praworządności, cała idea Polskiego Ładu legnie w gruzach, ponieważ rząd nie poradzi sobie z wprowadzeniem programu bez pieniędzy z Unii. Opozycja ma prawo sądzić, że właśnie wtedy nastąpi sądny dzień dla PiS-u, bo prounijne społeczeństwo odrzuci fanatyków, którzy chcą nas odłączyć od źródła naszej stabilności i dobrobytu.

Może tak się stać, ale znacznie bardziej prawdopodobny jest scenariusz kompromisu – Brukseli nie zależy na pogłębianiu sporu z Polską i dla obu stron wygodnie byłoby znaleźć formę, która pozwoliłaby Komisji Europejskiej potwierdzić prymat prawa europejskiego nad polskimi ustawami, a PiS-owi odtrąbić triumf w sporze z Brukselą.

To jednak nie zmienia istoty napięcia między Polską a Unia Europejską. Kaczyński będzie wracał do budowania tego napięcia, bo potęgowanie konfliktu z Unią wzmacnia tę część jego elektoratu, która czuje się zagrożona ewolucją Unii od sojuszu gospodarczo-handlowego w kierunku coraz ściślejszej integracji nie tylko w sferze polityki, ale też wartości i praw człowieka. Brytyjczycy z odrazą patrzyli na Europę regulującą coraz więcej sfer gospodarki; konserwatywni Polacy boją się, że Bruksela zacznie im wchodzić do kościołów, szkół, rodzin i łóżek.

Unia mniej nasza

To nie są bezpodstawne obawy. Do tej pory Bruksela nie ingerowała np. w krajowe ustalenia dotyczące małżeństw jednopłciowych, ponieważ nie należy to do jej kompetencji. Trudno sobie wyobrazić renegocjację traktatów w celu rozszerzenia kompetencji instytucji unijnych, żaden europejski kraj nie ma na to ochoty. Bruksela próbuje więc rozszerzać

zakres kompetencji Unii innymi metodami: presją na Komisję i Radę Europejską ze strony Parlamentu Europejskiego, retoryką polityków podchwytywaną przez liberalne media, a przede wszystkim orzeczeniami Trybunału Sprawiedliwości UE, którego działania krytykowane są nie tylko w Polsce i Węgrzech. Zauważają to dziś choćby Éric Zemmour czy Michel Barnier we Francji, której kształt po wyborach w kwietniu 2022 r. może się okazać bardzo zaskakujący.

Obywatele nie studiują traktatów – słuchają polityków, czytają gazety i teksty w internecie. Unia może im się jawić jako wspólnota podzielona na lepszych i gorszych, niezdolna do stawiania czoła prawdziwym wyzwaniom, jakimi są wzrastająca potęga Chin, zagrożenie ze strony Rosji czy wycofywanie się Stanów Zjednoczonych z Europy.

W krajach tzw. starej Europy odzywają się resentymenty wynikające z przekonania, że dopuszczenie państw ze wschodu kontynentu było od początku chybionym pomysłem. Te poglądy nie narodziły się dzisiaj – wystarczy wspomnieć postawę prezydenta Mitterranda wobec zjednoczenia Niemiec czy Chiraca ganiącego Polaków i Czechów za poparcie interwencji w Iraku. Na Zachodzie ciągle silne jest przekonanie, że wschodni Europejczycy muszą udowodnić, iż nadają się do Unii (to samo przekonanie obecne jest zresztą w polskich liberalnych elitach), mimo że Polska, Czechy czy Węgry są w Unii od 17 lat.

Nikt nie zadaje podobnego pytania np. w odniesieniu do obecnych w Unii tak samo długo Cypru i Malty, choć pierwszy z nich jest pralnią rosyjskich pieniędzy, a w drugiej uprawianie dziennikarstwa śledczego może skończyć się śmiercią. Nikt nie podważa legitymacji Niemiec do sprawowania kluczowej roli w Unii, mimo że budową Nord Stream 2 przyczyniają się one do osłabienia sojuszu i poddają go wpływom rosyjskim. Tak jak nikt nie nawoływał do umniejszenia roli Francji za odrzucenie w 2005 r. traktatu konstytucyjnego Unii albo regularne łamanie kryteriów z Maastricht.

Słabsi i mocniejsi

Antyunijna retoryka, podważanie kompetencji Brukseli, krytyka ścisłej integracji europejskiej czy postanowień Trybunału Sprawiedliwości UE nie są jedynie domeną Polski i Węgier. Pojawiają się regularnie w krajach europejskich w czasach kryzysów społecznych i gospodarczych, zwłaszcza przed wyborami, co widać w tej chwili we wspomnianej już Francji. Wielu w Europie Zachodniej nie przyjęło do wiadomości, że rozszerzenie Unii oznacza zasadniczą zmianę tej instytucji i tylko biorąc pod uwagę interesy wszystkich jej członków może ona się stabilnie rozwijać. Próby wymuszenia zmian w sposobie funkcjonowania poszczególnych krajów przy pomocy Trybunału Sprawiedliwości UE, presji wywieranej na kraje „słabsze" przez Parlament Europejski albo parlamenty narodowe, tak jak ostatnio próbował to robić parlament Holandii wobec Polski, prowadzą jedynie do wzmocnienia wrogości wobec Unii.

> Unia to najlepsza instytucja, jaką wymyślono w celu pomnażania dobrobytu, a także ułomny sojusz państw, w którym o interesy narodowe należy walczyć.

Jeśli pozostawanie w kontrze do unijnych instytucji zapewni Kaczyńskiemu sukces wyborczy, przez kolejne lata rządów jego partii nie zmieni się jej polityka. Kaczyński widzi, że sprzeczność między jego antyunijną retoryką i działaniami a wsparciem Unii przez jego elektorat nie przekłada się na spadek poparcia. Tradycyjny polski elektorat najwyraźniej potrzebuje zarówno unijnych pieniędzy, jak i lidera, który uśmierzy jego obawy o kierunek, w jakim zmierza Unia. Ta zaś wielu Polakom jawi się dziś jako instytucja, której głównym zadaniem jest obrona praw mniejszości i wartości, które mogą się wydawać coraz mniej zrozumiałe dla większości. Elektorat PiS-u chce, by Jarosław Kaczyński zagrał na nosie Brukseli – i w tym tkwi istota zagrożenia związanego z potencjalnym polexitem. W którymś momencie wydarzenia mogą się wymknąć spod kontroli polityków – w każdym razie tych, którzy wykluczają wystąpienie Polski z Unii.

Żaden kraj ani Komisja Europejska nas z Unii nie wyrzuci – nie mają takich kompetencji. Żadna polska partia polityczna nie wyprowadzi Polski z Unii przy tak zdecydowanej większości, która się temu sprzeciwia. Jednak połączenie nieodpowiedzialnej polityki PiS-u z wprowadzaniem przez Unię tylnymi drzwiami zmian, które nie są do zaakceptowania dla większości Polaków, może zmienić nastroje.

Szło nam dobrze

Unia Europejska to najlepsza instytucja, jaką wymyślono w celu pomnażania dobrobytu ludzi, a także ułomny sojusz państw, w którym interesy narodowe nie rozkładają się równo i należy o nie walczyć. Obejmuje on także sferę dobra wspólnego, o którą muszą dbać wszyscy. Unia nie jest grą o sumie zerowej, o czym najlepiej świadczy fakt, że zarówno Polska, jak i Zachód skorzystały z rozszerzenia w spektakularny sposób.

Niemożność spotkania się dwóch polskich wersji Unii Europejskiej i roli Polski w tej instytucji wynika głównie z tego, że w naszej polityce dominują skrajne postawy. Nie potrafimy określić, po co jesteśmy w Unii i jak osiągnąć cele. O co warto walczyć, gdzie można odpuścić. Dziś dwie zwalczające się siły chcą zawłaszczyć dla siebie dumę z bycia Polakiem i wyłączne rozumienie, czym jest interes Polski. Obie traktują też Unię nie jako wspólny dom, ale obcego – dla jednych bogatszego, mądrzejszego i ogólnie lepszego od nas sąsiada, którego warto się słuchać dla własnego dobra, dla drugich sąsiada, który co prawda zatruwa nam życie, ale czasem się przydaje, bo popilnuje kota i pożyczy soli. A poza tym nigdy się nie wyprowadzi, więc warto się z nim dogadać, ale na naszych warunkach.

Wzajemne oskarżanie się Polaków o zdradę narodową powtarza się w każdym pokoleniu, nie wymyślamy niczego nowego. Nowe są co najwyżej metody komunikacji – media społecznościowe – i związana z nimi ogromna skala nienawiści do inaczej myślących rodaków. Biada politykom, którzy na tej nienawiści grają. Nadzieję można czerpać z faktu, że Polska i Polacy nie pierwszy raz stają wobec własnych słabości i zewnętrznych zagrożeń. Być może najbardziej zaskakujące jest to, jak dobrze nam idzie przez ostatnie 30 lat.

I niech tak zostanie.

© DARIUSZ ROSIAK

Historia naszych histerii

PROF. ANDRZEJ CHWALBA, HISTORYK:

Do dziś obserwujemy zwalczające się idee: fascynacji Zachodem i obawy przed Zachodem. Ta druga podbita jest polskim lękiem przed utratą suwerenności.

MACIEJ MÜLLER: Czy my, Polacy, jesteśmy w Europie, na jej skraju, czy na zewnątrz?

PROF. ANDRZEJ CHWALBA: Na wschód od Zachodu i na zachód od Wschodu, jak pisał Mrożek. Pojęcie Zachodu ukształtowało się w średniowieczu, w opozycji wobec świata bizantyjskiego. Za centrum świata chciało uchodzić cesarstwo niemieckie. To był zachód przez małe „z", bo tak wskazywała geografia, ale stał się Zachodem przez duże „Z", napełniając się treściami politycznymi, kulturowymi i ideologicznymi. Na dworze Mieszka I odbyła się pewnie niejedna dyskusja o tym, czy postępować w ślad za dziedzictwem Cyryla i Metodego i przyjąć opcję grecko-bizantyjską czy też łacińską. Być może ze względu na bliskość Gniezna w stosunku do Pragi i Ratyzbony wybrano tę drugą. Tak Polska znalazła się na peryferiach świata zachodniego.

Czym się wyróżniał ten świat?

W pierwszych stuleciach naszej państwowości Europa, po upadku państwa Karola Wielkiego, próbuje się na nowo zdefiniować. Na niemieckim dworze Ottona I pojawia się marzenie o powrocie do uniwersum. Bo wśród elit europejskich mocno zakorzeniona była tęsknota do Imperium Romanum. Ottonowie chcą stworzyć nowe imperium. W Ewangeliarzu Ottona III znalazła się słynna miniatura, która inspirowała ikonograficznie malunki w wielu kościołach Europy. Oto w pochodzie za cesarzem niemieckim idą cztery monarchie: Germania, Italia, Galia i Sclavinia. Ta ostatnia część to Słowiańszczyzna pod przywództwem Bolesława Chrobrego. Tak byliśmy wtedy postrzegani: jako część wielkiej Europy, nowego Imperium.

Ówczesna Europa jest silnie powiązana więzami kulturowymi, ma wspólny język – łacinę, wspólną filozofię – św. Augustyna, potem św. Tomasza. Europejczyków łączą podróże na uniwersytety włoskie czy na Sorbonę. Ale kontynent spaja przede wszystkim wiara – to epoka Christianitas. Europejczyków jednoczą organizowane przez papiestwo krucjaty. Rycerstwo wyrusza pod wspólnymi sztandarami walczyć o powrót do Palestyny, kolebki świata chrześcijańskiego, praźródła Europy.

Dzisiaj często porównujemy się do Zachodu, czyli widzimy własną odrębność. Czy dawniej też tak myślano?

W pierwszych wiekach państwowości polskiej taki problem nie występował. Byliśmy częścią Zachodu, który kończył się na granicach państwa polskiego, gdzie zaczynał się świat prawosławia. Zanim pojawiło się zagrożenie ze strony Turków osmańskich, Europę utożsamiono wyłącznie z Zachodem – mimo że samo pojęcie Europy powstało przecież w Grecji. Śmiertelne niebezpieczeństwo, które zawisło nad Bizancjum, wywołało w XIV i XV w. reakcję krajów katolickiej Europy, sprawiło, że papiestwo zaangażowało się w obronę Konstantynopola. We Francji, Italii, Hiszpanii, Polsce czy na Węgrzech zaczęto mówić, że Bizancjum również jest częścią Europy. W związku z tym Polska przestała być krajem peryferyjnym. Nowy porządek myślenia postawił ją bliżej centrum.

Jagiellońska unia z Litwą i ekspansja na wschód sprawiły jednak, że granica ze światem prawosławia zaczęła się zamazywać. Ta polityka znowu przesunęła nas na Wschód, i to nie tylko geograficznie, ale też kulturowo. Zetknięcie katolicyzmu i ruskiego prawosławia dało fenomen w postaci Rzeczypospolitej.

I przestaliśmy być częścią Zachodu?

Wtedy już trudno mówić o takim pojęciu, bo nie ma mowy o dawnej jednolitości. W XIV w. powstają monarchie stanowe, które zaczynają kwestionować tradycyjną pozycję cesarza i papieża. Monarchowie prowadzą politykę dynastyczną i nie ma już mowy o zjednoczeniu pod wspólnymi sztandarami. Europa jest podzielona, skłócona. Sytuację komplikują ruchy zwane heretyckimi: waldensi czy husyci kwestionują stary porządek. A w końcu przychodzi reformacja, która ostatecznie rozbija Christianitas.

W dobie renesansu Erazm z Rotterdamu, Jan Łaski czy Andrzej Frycz-Modrzewski pytają o możliwość odnalezienia wspólnych korzeni. Nie będzie to już chrześcijaństwo – renesans oznacza powrót do greckiego i rzymskiego antyku. Poprzez refleksję nad starożytnością Europa próbuje określić siebie na nowo. Polska szlachta w tym czasie zaczyna widzieć w sobie potomków najznakomitszych wodzów rzymskich.

Niemniej kiedy przyszło bronić Europy przed nawałą turecką, ani król Węgier w 1526 r. pod Mohaczem, ani król Polski w 1621 r. pod Chocimiem nie doczekali się pomocy. Państwa zachodnie były zajęte wojnami między sobą, nikt już nie myślał w kategoriach krucjat.

To czas, kiedy w poszczególnych państwach zwyciężają egoistyczne, a nie wspólnotowe interesy. Habsburgowie, Burbonowie, a wcześniej Walezjusze, Jagiellonowie – prowadzą politykę dynastyczną, nieraz sprzeczną z interesami własnych krajów. Nade wszystko liczyła się rodzina. To zjawisko jeszcze bardziej rozbiło Europę. Osmanowie stali się dla arcychrześcijańskiej Francji partnerami w rozgrywkach z innymi państwami chrześcijańskimi. Tamę Osmanom postawi kontrreformacja, ale za cenę pogłębienia konfliktu w Europie – czego jaskrawym przykładem jest kataklizm wojny trzydziestoletniej (1618-48). Zanika refleksja nad jednością Europy: taki wątek prawie nie występuje u myślicieli XVII w. Nie ma na nią zapotrzebowania.

„Jakże to opodal stoi Polska! Polska dopiero w wieku XV, cała Europa już wiek XVIII kończy" – pisał Stanisław Staszic. Europa jest

dla niego punktem odniesienia, ale też czymś osobnym względem Polski. Co się stało, że doszło do tego rozdwojenia?

Oświecenie przyniosło kolejny projekt uporządkowania kontynentu. Pojawiła się ideologia o zasięgu ogólnoeuropejskim – przenikająca zarówno państwa katolickie, jak i protestanckie – która zakwestionowała stare prawdy religijne i proponowała nową kulturę, laicką. Oświecenie podważyło dotychczasowy porządek, według którego życie doczesne jest mało istotne. Za tym poszedł rozwój nauki – bo skoro mamy rozkoszować się tym, co jest tutaj, musimy przedłużyć sobie życie. Diety warzywne, kuchnia śródziemnomorska – to wszystko pomysły z XVIII w. Przywódcami tej oświeconej Europy mają być filozofowie, twórcy nowej cywilizacji. Bo to wtedy pojawia się pojęcie cywilizacji europejskiej – to ona jest czymś, co łączy. Ale ówczesne jej rozumienie dzisiaj byśmy potępili jako niepoprawne politycznie. Cywilizację europejską opisywano bowiem jako najlepszą z możliwych, w związku z czym jej przedstawiciele byli zobowiązani nieść kaganek oświaty reszcie świata.

W XVIII w. wróciło więc pojęcie europejskości – poprzez dyskurs na temat wyższości cywilizacji europejskiej nad innymi. A Staszic był typowym reprezentantem kultury oświecenia w Polsce.

I uważał najwyraźniej, że Rzeczpospolita w ten system cywilizacyjny nie weszła.

Surowo oceniał własny kraj, podobnie jak tacy myśliciele – księża – jak Hugo Kołłątaj czy Kajetan Skrzetuski. Ten ostatni to pijar, autor jednej z najciekawszych osiemnastowiecznych idei zjednoczonej Europy. Jego pomysły przywodzą na myśl Ligę Narodów czy ONZ. Badacze, którzy zajmują się ideą europejskości, sięgają dziś do pism Skrzetuskiego.

Staszic ostro krytykował sarmatyzm jako ideologię, która, w jego opinii, skonfliktowała nas ze światem, aczkolwiek był właściwie jedynym polskim projektem kulturowym – pozostałe, jak renesans czy oświecenie, były importowane. W XVII w. był to prąd atrakcyjny, naśladowany na Węgrzech, w Mołdawii, Wołoszczyźnie, w Rosji, a nawet w Prusach Książęcych. Nasza szlachta była w związku z tym przekonana, iż stworzyła coś idealnego. Tymczasem na Zachodzie mężczyźni zaczynali nosić pończochy, zakładać peruki, rozmawiać wyłącznie po francusku. W Rzeczypospolitej uznano, że to przejaw zniewieścienia, coś nam kulturowo obcego.

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

PROF. ANDRZEJ CHWALBA jest historykiem i eseistą, emerytowanym profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Autor wielu książek, wydał m.in.: „Historię Polski 1795-1918", „Historię powszechną XIX w.", „Historię powszechną 1989--2011", „Samobójstwo Europy. Wielka Wojna 1914-1918".

Jednak synowie magnaccy jadący na Zachód przebierali się na Śląsku w europejskie stroje. Nie chcieli być passé.

Elity miały świadomość śmieszności kultury sarmackiej. Magnaci, udając się w delegacje zagraniczne, faktycznie zamieniali się w Europejczyków. W kraju występowali jednak jako obrońcy sarmatyzmu, bo pozwalało to skupić wokół siebie wianuszek klienteli szlacheckiej. A szlachta przyjęła za cel obronę swojskości przed agresją cudzoziemszczyzny. Za tym szła niechęć do reform ustroju politycznego, ulżenia chłopom, przywrócenia praw miastom. Postępowała idealizacja własnej przeszłości. Mniej podróżowano, swojskość stała się najwyższą wartością. Megalomania Sarmatów stała się przysłowiowa i budziła bardzo negatywne komentarze w Europie.

Zwłaszcza w zderzeniu z ideologią oświecenia.

Podróżnicy oświecenia, którzy jechali do Rzeczypospolitej z nową ofertą kulturową, napotykali, jak pisali, „Okopy Świętej Trójcy". Ale wspierali ich nieliczni sojusznicy, jak Staszic czy inne postacie epoki Stanisławowskiej, kiedy podjęto ostatnią próbę wydźwignięcia Rzeczypospolitej do samodzielności politycznej. Sarmaci tymczasem bali się oświecenia, podobnie jak monarszego absolutyzmu, czyli silnej władzy królewskiej. Uważali, że ludzie oświecenia chcą zniszczyć to, co w Rzeczypospolitej najcenniejsze.

W publicystyce europejskiej Polska pełni wtedy rolę przestrogi, dyżurnego dostarczyciela negatywnych przykładów na wszystko: pijaństwo, zbytek, anarchię, tytułomanię, nieumiejętność wynalezienia czegokolwiek samodzielnie.

W XVI w. Rzeczpospolita weszła na drogę gospodarki pańszczyźnianej. Kultura pańszczyźniana przez kolejne stulecia się nie zmieniała. Stale powielano to samo. Produkcję zwiększano jedynie poprzez kolejne obciążenia chłopów i przymus. Dlatego nie wymyślono u nas nowych technik uprawy, nie hodowano nowych roślin, nie wyhodowano nowych gatunków bydła. W tym czasie w Szkocji, Holandii czy Anglii zachodził proces odwrotny – intensyfikacja, tzw. rewolucja rolna, wprowadzająca m.in. płodozmian czy uprawę roślin przemysłowych.

W XVII i XVIII w. Rzeczpospolita „rozjechała" się z Zachodem. Nie mieliśmy światu niczego do zaoferowania poza samozadowoleniem. Dlatego w tekstach europejskich podróżników przyjeżdżających do Rzeczypospolitej trudno znaleźć pozytywne opinie. Jednak amerykański historyk Larry Wolff uważa, że te teksty miały charakter pamfletu – przekaz był celowo przyczerniony, żeby dla czytelnika było oczywiste, że nasz kraj musi zostać skolonizowany ideami oświeceniowymi. Najbardziej jednak na tej literaturze skorzystały mocarstwa rozbiorowe, bo potraktowały ją jako dowód, że Polska jest już w stanie rozkładu i trzeba jej ziemie ucywilizować.

Czyli nie dość, że nie przyjęliśmy oświecenia, to przyszedł na nas

↦

↦ **kataklizm polityczny – straciliśmy państwo. W XIX w. politycznie Polski nie ma.**

Kraj, który dla wielu był świadectwem pychy, zacofania i nierządu, zniknął. Publicyści pisali, że wycięto wrzód, który zagrażał Europie. Niewielu zauważyło wspaniałą pracę reformatorską Sejmu Wielkiego. A to oznaczało, że perspektywy tzw. sprawy polskiej są kiepskie. I rzeczywiście, żadne polskie powstanie nie uzyskało wsparcia zagranicznego.

Podział ziem polskich między trzy mocarstwa potwierdzono na kongresie wiedeńskim w 1815 r., który zabetonował Europę Środkową. Ustalono, że o losie kontynentu decyduje „koncert mocarstw" i podzielono go na strefy wpływów. Ład wymyślony w Wiedniu miał zapewnić stały pokój. Mocarstwa chciały się bogacić, budować imperia kolonialne, a ruchy narodowe miały nie przeszkadzać. Jeśli w 2003 r. Polska słyszy od prezydenta Francji, że „zmarnowała okazję, żeby siedzieć cicho", jest to dalekie echo „koncertu mocarstw".

W XIX w. jedni Polacy chwytają za szable i karabiny, inni zaś szukają takich rozwiązań, które by przyniosły niepodległość Polsce... w ramach zjednoczonej Europy. Idee paneuropejskie wzywają do utworzenia Ligi Europy, w ramach której Polska miałaby odzyskać swoją podmiotowość jako część większej wspólnoty. Ich promotorami byli m.in. najwybitniejszy polski mąż stanu, książę Adam Jerzy Czartoryski, czy Wojciech Jastrzębowski, autor „Traktatu o Wiecznym Przymierzu Między Narodami Ucywilizowanymi – Konstytucji dla Europy". Szereg ówczesnych pomysłów wykorzystano w XX w. podczas zakładania Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali, Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej i Unii Europejskiej.

Jak patrzyła Europa na Polskę po odzyskaniu przez nią niepodległości?

Już w latach 80. XIX w. Bismarck ostrzegał zwaśnione mocarstwa: nie idźcie drogą wojny. Bo kiedyś we wschodniej i środkowej Europie do głosu dojdą „Pigmeje", czyli niewielkie narody, wzajemnie skonfliktowane, które zniszczą wiedeńską architekturę polityczną kontynentu.

Rzeczywiście, w wyniku I wojny światowej część państw przeszła do historii, powstało natomiast kilkanaście nowych – z wyjątkiem Irlandii, wszystkie w Europie Środkowo-Wschodniej. Podczas konferencji wersalskiej uznano, że o losach Europy i państwowych granicach mają decydować Wielkie Mocarstwa – pisane dużymi literami.

Dawne polskie elity miały świadomość śmieszności kultury sarmackiej. Magnaci, udając się w delegacje zagraniczne, faktycznie zamieniali się w Europejczyków.

Bardzo im się nie podobały polskie walki o granice, wyprawa kijowska Piłsudskiego itd. Nowy porządek europejski był potem kwestionowany zarówno przez przegranych, jak Niemcy i Rosja, ale też w pewnym stopniu przez zwycięzców. Także Paryż i Londyn wolałyby mniejsze rozdrobnienie polityczne na wschodzie kontynentu. Karierę zrobiło ukute w Niemczech pojęcie sezonowości Europy Środkowej. Skutki roku 1918 pojmowano jako wybryk historii, po którym musi nastąpić nawrót na właściwe tory. Wkrótce Niemcy przystąpią do ponownego, tym razem brunatnego jednoczenia Europy – opartego na ideologii nazizmu i zbrodniach.

Po II wojnie światowej elementami systemu bezpieczeństwa stało się nie tylko NATO, ale i coraz ściślejsze wiązanie się polityczno-gospodarcze państw Europy Zachodniej.

Ojcowie jednoczącej się po wojnie Europy doszli do przekonania, że kontynent nie przeżyje trzeciej wojny światowej. Po pierwszej straciła przodownictwo w świecie, a druga ją zdegradowała. Stąd przekonanie, że tylko pokój gwarantuje wzajemne bezpieczeństwo i pozycje Europy na świecie. Dlatego trzeba wyeliminować stare błędy, zapomnieć o waśniach.

Na ten świat z zazdrością patrzyli zza żelaznej kurtyny Polacy. Ich marzenie ziściło się dopiero w 2004 r. Dzisiaj jednak daje się zaobserwować obcość po obu stronach, doświadczamy kryzysów i napięć związanych z polskim byciem w Europie.

Jesteśmy z jednej strony dziedzicami fascynacji bogatym Zachodem z czasów PRL. Z drugiej – mamy doświadczenie bycia przymusowym członkiem Układu Warszawskiego czy RWPG, półkolonią Moskwy. Tymczasem suwerenność jest dla nas czymś niezwykle ważnym. Powstanie listopadowe wybuchło, ponieważ młodzi podchorążowie uznali, że nie mogą żyć w „półniepodległości". Podczas powstania styczniowego stronnictwo „czerwonych" nie zgadzało się na połowiczne reformy margrabiego Aleksandra Wielopolskiego, żądając pełnej niepodległości. W XIX w. wykształciła się szczególna wrażliwość na kwestię własnej państwowości. Nie dziwi, że w każdym pokoleniu dochodziło do powstania. Tę romantyczną tradycję zakończyło dopiero powstanie warszawskie.

Dzisiaj obserwujemy dwie zwalczające się idee: fascynacji Zachodem i obawy przed Zachodem. Bruksela w tym drugim ujęciu jawi się jako nowy wariant Moskwy. Związek Sowiecki chciał „jednoczyć proletariuszy wszystkich krajów", a dzisiaj Bruksela powtarza to samo w duchu lewicowo-liberalnym.

A w tle naszych lęków przed utratą suwerenności jest powracająca wśród brukselskich urzędników myśl o mocniejszym związaniu się państw europejskich. Wskazuje się na jego konieczność wobec rosnącej roli Chin, Rosji czy Indii, wobec potrzeby współdziałania w kwestiach ekologicznych (smog nie zna granic), bezpieczeństwa cyfrowego, walki z międzynarodową przestępczością. Poza tym wszędzie na świecie państwa się jednoczą – w Ameryce Południowej, Afryce, na Pacyfiku, w Azji Środkowej i Wschodniej. To odpowiedź na postępującą globalizację. Nie ma miejsca na państwa działające w pojedynkę, o ile nie mają potencjału USA.

Wraca więc wizja Joschki Fischera federalizacji Europy. Pojawia się myśl o budowie Stanów Zjednoczonych Europy. A kto już kiedyś przedstawił podobny projekt? Polscy myśliciele XIX w. Zresztą tak właśnie go nazwali.

©℗ Rozmawiał MACIEJ MÜLLER

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ **www.TygodnikPowszechny.pl**

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Marta Bogucka, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Klata, Andrzej Stasiuk, Jacek Podsiadło, Dorota Masłowska, Zuzanna Radzik, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Żona Noego

Wpatruję się w pierwsze trzy biblijne genealogie – w czwartym, piątym i dziesiątym rozdziale Księgi Rodzaju – i próbuję znaleźć tam wymienioną z imienia kobietę. Siurpryza: w owych dwóch rozdziałach z okładem są tylko trzy panie, w dodatku mieszkające pod jednym dachem – macocha, matka i córka. Ada i Cila to żony Lemecha, którego poetyckie wojownicze przechwałki, zawierające przedbiblijne formy językowe, stanowią gratkę dla hebraisty. Jak zaświadcza Pismo, obie panie mają po dwójce dzieci: Ada – chłopców (Jawala i Juwala), Cila – chłopca i dziewczynkę. „A Cylla, ona również urodziła Tubal-Kaina, który wykuwał wszelakie narzędzia rolnicze z miedzi i żelaza. Siostrą zaś Tubal-Kaina była Naama" (4, 22; Cylkow).

Wprawnemu oku komentatora nie umknęło owo „również". Lemech poślubił Cilę dla jej walorów cielesnych – ma o tym świadczyć imię kobiety, oznaczające „jej cień". Mąż chciał się tylko wylegiwać w jej cieniu i według jego planu miała ona nie rodzić dzieci. Tymczasem – snuje swoją teorię średniowieczny komentator – nie zadziałały starożytne środki antykoncepcyjne. Niektórzy twierdzą, że dziecko Cili Naama – córki były wszak nagminnie pomijane – pojawia się w tekście tylko dlatego, by podkreślić, że Tuwal-Kain nie miał z tej samej matki brata, jak jego przyrodni Jawal i Juwal, lecz siostrę.

Tuwal-Kain – ciekawe dwuczłonowe imię. Tuwal mógłby oznaczać „przyprawiony", a przyprawy polepszają smak. Kain zamordował, a Tuwal-Kain dostarczył broń mordercom. Na szczęście ostre narzędzia służą też dobrym celom. Tak czy inaczej w tym pokoleniu – siódmym od stworzenia, a siódemka oznacza pełnię – najwyraźniej dokonał się znaczący skok cywilizacyjny: zamieszkiwanie w namiotach, hodowla bydła (Jawal), muzyka instrumentalna (Juwal), narzędzia miedziane i żelazne (Tuwal-Kain). A Naama?

Imię Juwal można powiązać z rogiem, trąbą. Idąc tym tropem (*ne'ima* znaczy m.in. melodia), skojarzymy Naamę ze śpiewem. Zidentyfikowaliśmy matkę muzyki wokalnej? To sugeruje nam Targum Jonatana – aramejski przekład Biblii. Rdzeń *nun-ajin-mem* ma też inne, bardziej rozpowszechnione znaczenie: „być miłym, przyjemnym". Takie właśnie było postępowanie Naamy – twierdzą jedni rabini w midraszu, a inni oponują – grała na bębenku, by zachęcić ludzi do bałwochwalstwa.

Skoro została wymieniona z imienia – rozumują rabini – musiała być postacią znaczącą: czyżby żona Noego? Tak się zazwyczaj przyjmuje, ale męskie projekcje idą w dwóch kierunkach i znajdujemy Naamę również w panteonie demonów. Ba – to sama matka Asmodeusza, a skoro tak, to i teściowa Lilit! Chyba zapędziliśmy się w kozi róg: to może pozostańmy przy żonie Noego – matce popotopowej ludzkości. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Diabeł tkwi w szczegółach

Ktoś powiedział, że odróżnienie diabła od anioła, czarnego od białego, wcale nie jest proste, stąd małe i duże, czasami ogromne pomieszanie z poplątaniem. W rezultacie wielkie dobro okazuje się jeszcze większym złem i odwrotnie. Marek Ewangelista pisze, że kiedy Jezus z uczniami i sporym tłumem wychodził z Jerycha, siedzący „przy drodze niewidomy żebrak Bartymeusz (...) zaczął głośno krzyczeć: »Synu Dawida, Jezusie, zmiłuj się nade mną!«". Wielu dawaj go uciszać, lecz on jeszcze głośniej wykrzykiwał swoją prośbę. „Wtedy Jezus zatrzymał się i rzekł: »Zawołajcie go!«. I przywołali niewidomego, mówiąc mu: »Odwagi, wstań, woła cię!«. On zrzucił z siebie płaszcz, zerwał się i szedł do Jezusa. A Jezus zwrócił się do niego: »Co chcesz, abym ci uczynił?«. Niewidomy odpowiedział Mu: »Rabbuni, żebym przejrzał«. Odrzekł Jezus: »Idź, twoja wiara cię uzdrowiła«. Zaraz przejrzał i szedł drogą za Nim".

Co chcesz, żebym dla ciebie zrobił? Pyta Jezus niewidomego żebraka, jakby nie było oczywiste, czego ten od Niego oczekuje. Zakrawa to co najmniej na brak delikatności. Niewidomy potrzebuje przywrócenia wzroku, tego samego zdania są dodający mu otuchy. Skoro tak znany człowiek go zauważył, to znaczy, że pewnie spełni jego życzenie. Jezus jednak patrzy na Bartymeusza po swojemu, nie narzuca mu się, jako ten lepiej wiedzący, nie uszczęśliwia go na siłę, czeka aż ten Mu powie, odkryje przed Nim swoje pragnienia, marzenia. A to znaczy, że Chrystus szanuje jego wolność, jego prawo do decydowania, do życia według własnych przekonań, zgodnie z sumieniem i w zgodzie z tym, co człowiek uważa za życie dobre, szczęśliwe. Jezus, a więc Bóg, działa delikatnie, ale bywa, że traci cierpliwość. Jezus, gdy przebywał pośród cierpiących, zawsze był łagodny. Natomiast kiedy miał do czynienia z hipokrytami, bywało, że się bardzo sierdził. Jeśli więc mamy być jak Chrystus, to będących w nieszczęściu powinniśmy pytać: co mogę, co możemy dla was zrobić? Nie z żadnej łaski, ale ze zwykłej ludzkiej powinności.

Prymas Polski abp Wojciech Polak, w związku z tragiczną sytuacją przy granicy z Białorusią powiedział: „Jestem przekonany, że zachowując prawo i obowiązek obrony państwowych granic, jesteśmy w stanie nieść pomoc ludziom, którzy znajdują się w dramatycznej sytuacji. Nawet jeśli ludzie są wykorzystywani do politycznych manipulacji, dla nas są przede wszystkim bliźnimi, którym należy się elementarny szacunek dla ich niezbywalnej godności. Nie możemy się zgodzić na to, aby ludzie umierali na naszych oczach. Szczególnie trudno jest patrzeć na krzywdę dzieci. Jako biskup nie mogę o tym nie przypominać". ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Obezwładniona Ewangelia

Pytał kiedyś święty papież Paweł VI: co się stało, że obezwładniliśmy Ewangelię? No właśnie: jak to możliwe, żeby obezwładnić Ewangelię? Żeby uczynić ją bezsilną?

Myślę, że odpowiedź na to dramatyczne pytanie podał nam Pan Jezus (a więc zawczasu!) we fragmencie Ewangelii czytanym niedawno podczas Liturgii: „Biada wam, ponieważ budujecie grobowce (dosł. pomniki!) prorokom, a wasi ojcowie ich zamordowali... Biada wam, uczonym w Prawie, bo wzięliście klucze poznania; sami nie weszliście, a przeszkodziliście (dosł. zabroniliście!) tym, którzy wejść chcieli" (Łk 11, 45-52).

Z przytoczonych tu słów Jezusa można wyczytać przynajmniej trzy wymiary czynienia Ewangelii bezsilną: pierwszym jest redukcja pamięci o prorokach-męczennikach do „pomnika". Świadectwo krwi męczenników zostaje obezwładnione takim właśnie „pomnikowym" podejściem – „pomnikową" pamięcią. To pamięć, o której papież Franciszek mówi, że pełni rolę nie korzeni, lecz kotwicy: nie dostarcza życiodajnych soków uzdalniających do podejmowania nowych wyzwań, tylko zaspokaja się przeszłością w skamieniałej formie.

Drugą postawą prowadzącą do obezwładnienia Ewangelii jest redukcja rzeczywistości do wiedzy – do „poznania". A poznanie/wiedza jest według Jezusa jedynie kluczem, którym otwiera się rzeczywistość! Wiedza/poznanie staje się celem, a nie kluczem do celu. Boję się, że ta redukcja stanowi pokusę powszechną: od katechezy „szkolnej" po wszelkie elitarne wspólnoty „inteligencji" katolickiej – ze wszystkimi odcieniami tegoż procesu pomiędzy...

Mnożymy pojęcia, układamy teologiczne sylogizmy, dowodzimy i przeprowadzamy wywody. Uczymy np. rozmaitych definicji i klasyfikacji modlitwy, ale czy się modlimy? Czy innych wprowadzamy w to doświadczenie? Piszemy i czytamy setki książek o Biblii, ale czy sięgamy po nią samą – po to, by usłyszeć Słowo Boże, skierowane tu i teraz bezpośrednio do mnie?

I trzecia redukcja: redukcja Prawa do zakazu! Po co tłumaczyć? Po co pokazywać Prawo jako drogę – jako Boże narzędzie ku odkryciu wartości – jako wychowawcę do miłości? Zakaz jest prostszy; i wydaje się skuteczny – zwłaszcza w połączeniu z sankcją – naszą własną, a jeszcze „lepiej": państwową...

I jest jeszcze czwarty wymiar tego procesu obezwładniania Ewangelii – a mianowicie: nasza agresja wobec wszystkich, którzy mają odwagę i nadzieję uświadomić nam powyższe prawdy. Tak było i wtedy: „Gdy wyszedł stamtąd, uczeni w Piśmie i faryzeusze poczęli gwałtownie nastawać na Niego i wypytywać Go o wiele rzeczy. Czyhali przy tym, żeby Go pochwycić na jakimś słowie" (Łk 11, 53-54). ©

Widzieć krajobraz
taki, jaki jest,
kiedy mnie nie ma...

SIMONE WEIL

czego byłoby żal

ciszy między naszymi
twarzami
i słów, które nie zostały
wypowiedziane
bo to co boskie
między ludzkimi istotami
ciągle poszukuje
swojego wyrazu

TADEUSZ RÓŻEWICZ

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (24 – 31 X)

30. niedziela zwykła: Jr 31, 7-9; Ps 126; Hbr 5, 1-6; Mk 10, 46b-52;
Poniedziałek: Rz 8, 12-17; Ps 68; Łk 13, 10-17;
Wtorek: Rz 8, 18-25; Ps 126; Łk 13, 18-21;
Środa: Rz 8, 26-30; Ps 13; Łk 13, 22-30;
Czwartek: Ef 2, 19-22; Ps 19; Łk 6, 12-19;
Piątek: Rz 9, 1-5; Ps 147b; Łk 14, 1-6;
Sobota: Rz 11, 1-2a. 11-12. 25-29; Ps 94; Łk 14, 1. 7-11;
31. niedziela zwykła: 1 Krl 8, 22-23. 27-30; Ps 84; 1 Kor 3, 9b-11. 16-17; J 4, 19-24.

KRAJOBRAZ PO BITWIE

Czy energia, którą kipiał ruch kobiecy pod koniec zeszłego roku, właśnie się wypaliła, roztrwoniona przez osobiste ambicje, środowiskowe konflikty i błędy popełnione na etapie prób instytucjonalizacji protestów?

WITOLD GŁOWACKI

Gdy 22 października zeszłego roku Trybunał Konstytucyjny ogłosił wyrok w sprawie aborcji, sieć organizacji kobiecych wywodzących się z tradycji Czarnego Protestu okazała się zdyscyplinowaną, gotową do działania armią, która w szybkim tempie wyprowadziła na ulice dziesiątki tysięcy manifestantów. Miała też zdecydowane i charyzmatyczne liderki. Tak jak nagle wdarły się na polityczną scenę, żądając od ekipy Mateusza Morawieckiego dymisji w siedem dni, tak po pięciu miesiącach nagle znikły.

5 października tego roku mijała piąta rocznica Czarnego Protestu, czyli żywiołowego kobiecego ruchu kojarzonego do dziś z czarnymi parasolkami. Ogólnopolski Strajk Kobiet i inne ruchy uczciły to święto, organizując w wielu miastach zbiórki podpisów pod projektem ustawy „Legalna Aborcja. Bez Kompromisów". Choć akcja była sprawnie zorganizowana, to nie przerodziła się w wydarzenie o masowym charakterze. W porównaniu z Czarnym Protestem z 2016 r. wypadła dość blado. Czy to już efekt wypalenia?

– Oglądamy za dużo filmów – Marta Lempart, liderka Ogólnopolskiego Strajku Kobiet, nie zgadza się z krytyką. – W filmach jest zła władza i wielki tłum wściekłych obywateli zjednoczonych pod wspólnym sztandarem, a potem nagle jest już wszystko dobrze i pięknie. Nikt za to nie robi filmów o tym, jak było w Polsce w 1984 czy 1985 r., kiedy ten sztandar trzymało raptem ze 30 osób. OSK działa

od 2016 r. i to jest działanie w określonym społecznym cyklu. Teraz, po dziewięciu miesiącach od protestów trwających sto dni, wciąż jest czas na pracę innego rodzaju, a także odpoczynek i leczenie ran.

Lempart podkreśla, że OSK stworzył system psychologicznego wsparcia dla aktywistek, które ucierpiały w wyniku interwencji policji i spraw sądowych za udział w protestach.

– Szykujemy się na jesienne i zimowe protesty, które są nieuchronne – dodaje.

Polityczne ambicje i podziały

Lempart wystąpiła 10 października 2021 r. u boku Donalda Tuska na warszawskim wiecu po wyroku Trybunału Konstytucyjnego, odczytanym przez opozycję jako niemal jawna zapowiedź polexitu. A dzień po demonstracji, w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej", zgłaszała wręcz konkretne postulaty związane z trybem układania ewentualnych wspólnych list wyborczych opozycji – opowiadając się, razem z Pawłem Kasprzakiem i Obywatelami RP, za ideą prawyborów, które miałyby zadecydować o kształcie list.

– Jeszcze w zimie stało się dość wyraźnie widoczne, że część aktywistek Strajku Kobiet ma pewne ambicje polityczne, być może zmierzające do powołania regularnej „armii" w oparciu o OSK – mówi profesor Maria Wincławska, politolożka z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Ale trochę co innego mówi jedna z liderek OSK, Katarzyna Kotula, wybrana do Sejmu z list Wiosny. Kotula wywodzi się ze środowiska Kongresu Kobiet, była jedną z liderek Czarnego Protestu i zeszłorocznego Strajku Kobiet.

– To ja proponowałam utworzenie partii jeszcze w 2019 r. – mówi. – Wtedy ten pomysł nie zyskał akceptacji większości. A dziś trudno mi ocenić, czy któraś z liderek SK zdecyduje się na założenie ugrupowania.

Sam OSK wydaje się dziś działać na wolnych obrotach. Aktywistki prowadzą konta organizacji w serwisach społecznościowych, co daje wrażenie ciągłości. Ale już większość treści na stronie OSK nie była aktualizowana od lutego.

Część środowisk stanowiących zaplecze zeszłorocznego Strajku Kobiet jest w mniej lub bardziej otwartym konflikcie z OSK czy też z częścią jego liderek. Pytam jedną z uczestniczek tych sporów, czy ze Strajkiem jest tak, jak z tym żartem o polskich politykach. Wystarczy ich dwóch, by natychmiast powstały trzy zaciekle zwalczające się organizacje.

– Trochę tak – odpowiada Anna Maria Żukowska, posłanka Lewicy związana od lat z ruchami kobiecymi, a w okresie Czarnego Protestu współtworząca grupę Dziewuchy Dziewuchom, która jednak w ostatnim czasie ma nie po drodze z OSK. – W całym ruchu kobiecym jeszcze w czasach Czarnego Protestu toczyło się mnóstwo różnych sporów, czy też, by użyć częściej stosowanego w praktyce określenia, „inb". Prawie cała komunikacja odbywała się w sieci, a inby wybuchały praktycznie o wszystko. O to, kto ma prawa do nazwy, kto wymyślił hashtag, a kto czarny kolor. Skąd się wzięły parasolki. No i oczywiście najważniejsze, kto jest prawdziwą liderką.

Szczególna animozja, sięgająca jeszcze czasów Czarnego Protestu, dzieliła będące najbardziej wyrazistymi twarzami tamtego ruchu Martę Lempart i Agnieszkę Dziemianowicz-Bąk. Lempart w wewnętrznej korespondencji OSK na Messengerze nazwała Dziemianowicz-Bąk m.in. „śliczną i podłą kłamczuchą". ↦

JACEK TARAN

Strajk Kobiet w Krakowie. 29 stycznia 2021 r.

↦ Zarazem ten personalno-hierarchiczny konflikt przebiegał dokładnie po linii głównych politycznych podziałów wewnątrz ruchu kobiecego – tych między liberałkami, jak Lempart, a przedstawicielkami lewicy, jak Dziemianowicz-Bąk. Te podziały stały z reguły u podłoża poważniejszych spięć w przestrzeni publicznej.

Przykład? Żukowska wspomina, jak ścięła się z liderkami OSK pod koniec kwietnia, gdy próbowały nakłonić jej ugrupowanie do zmiany decyzji dotyczącej głosowania (razem z PiS) za przyjęciem w Sejmie Krajowego Planu Odbudowy. „W sprawie Lewicy ogłaszamy krótko: wóz albo przewóz. Doba na ogarnięcie się albo zaczynamy ogólnopolską akcję wybijania głupoty z głowy Lewicy" – taki wpis pojawił się wtedy na Twitterze OSK.

„Strajk Kobiet traktuje nas gorzej niż PiS, bo rządowi dał 7 dni ultimatum, a nam tylko dobę" – mówiła wtedy Onetowi Żukowska. Dziś między częścią środowisk lewicowych a liberalną grupą liderek OSK trwa rodzaj zimnej wojny. – Na szczęście nie uniemożliwia to współpracy w najważniejszych sprawach – podkreśla jednak Żukowska. Np. przy okazji projektu ustawy „Legalna Aborcja. Bez Kompromisów" i podczas zbiórek podpisów na jego rzecz.

Ulica poczuła się silna

Zeszłoroczny Strajk Kobiet był powszechnym ruchem protestu. Liczne demonstracje pod znakiem błyskawicy trwały przez ponad miesiąc. 30 października, w najliczniejszej manifestacji SK w Warszawie wzięło udział niemal 100 tys. osób. Tym samym była to jedna z kilku największych manifestacji w historii kraju po 1989 r., być może większa niż Czarny Protest i marsz KOD z 2016 r.

– Czarny Protest objął 150 miast. Protesty z 2020 r. miały miejsce w 430 – mówi Katarzyna Kotula.

– W 500 miastach – to z kolei szacunki Marty Lempart, której zdaniem jesienne protesty przyniosły konkretne sukcesy.

– Parlament Europejski uznał prawo do aborcji za prawo człowieka – mówi Lempart. – Platforma porzuciła obronę zakazu aborcji i opowiada się za liberalizacją ustawy. Numer Aborcji Bez Granic stał się trzecim najbardziej rozpoznawalnym numerem infolinii w Polsce. Bardzo trudno jest teraz prawicy kłamać, że zakaz powoduje, iż aborcja zanika. I bardzo trudno jest też prawicy twierdzić, że obowiązujące w Polsce prawo jest jakimkolwiek europejskim standardem, bo stało się wiedzą powszechną, że tylko my i Malta mamy jeszcze tak drakońską ustawę. I chyba najważniejsze: 60 proc. ludzi w Polsce opowiada się dziś za legalną aborcją.

ARCHIWUM PRYWATNE

PROF. MARIA WINCŁAWSKA:

Język protestów był jakoś naturalny, ale część potencjalnych sojuszników zwyczajnie odstraszył. Sfera publiczna rządzi się określonymi prawami, nie do końca jest w niej miejsce na wulgaryzmy.

Prof. Wincławska wymienia sześć powodów, dla których sposób, w jaki rozwijały się protesty po wyroku TK, miał wyjątkowy charakter. – Po pierwsze, masowa skala. Nie dość, że manifestacje osiągnęły niespotykane rozmiary, to jeszcze odbywały się w trakcie drugiej fali pandemii i w niesprzyjających jesienno-zimowych warunkach. Po drugie, niezwykły był też zasięg terytorialny protestów. Odbywały się one nie tylko w dużych ośrodkach, ale i w małych miasteczkach. Po trzecie, rozwijały się błyskawicznie i spontanicznie, a ich rozproszone zaplecze, składające się nie tylko z OSK, ale też ze środowisk wokół grupy Dziewuchy Dziewuchom, partii Razem, a nawet części KOD-u, okazało się sprawne organizacyjnie. Po czwarte, ogromną rolę odegrał w Strajku Kobiet internet.

– Część protestujących – tłumaczy Wincławska – brała aktywny i realny udział w całym ruchu, w ogóle nie wychodząc na ulice. Gdy nie możemy się trzymać za ręce na ulicy, to róbmy to przynajmniej w sieci – twierdził hiszpański socjolog Manuel Castells. I według prof. Wincławskiej to właśnie zobaczyliśmy.

– Po piąte, w Strajk Kobiet angażowały się osoby, które dotąd nie uczestniczyły w polityce i życiu publicznym, a przy tym byli to ludzie w różnym wieku. Przez to Strajk Kobiet odróżniał się od demonstracji KOD-u o wiele większym udziałem osób młodych i swoistą wielopokoleniowością uczestników. Po szóste, rzeczą dotąd niewidzianą była niezwykle twarda reakcja państwa, która zaogniła nastroje. Rząd bardzo mocno starał się te protesty stłumić, wykorzystując różne mechanizmy. Chodziło i o ogłaszanie, że uczestnicy protestów stanowią zagrożenie dla zdrowia, i o wezwania do obrony kościołów, które skutkowały mobilizacją agresywnych grup skrajnej prawicy i środowisk kibicowskich. W niektórych miejscach natarczywie lub brutalnie zachowywała się też policja. Dość szczególna była również rola MEN, które groziło konsekwencjami uczniom i nauczycielom uczestniczącym w manifestacjach – mówi prof. Wincławska.

Ciekawą interpretację sukcesu SK proponuje socjolożka kultury, prof. Małgorzata Jacyno z UW: – Na całym świecie protesty kobiet mają zawsze miejsce w warunkach kryzysu społecznego, ekonomicznego. A ten akurat był bardzo spóźniony. Ale nie chodzi mi o analogie z rokiem 1968, lecz o opóźniony o prawie trzy dekady protest zarówno w odniesieniu do tego, co nazwano kompromisem aborcyjnym, jak i w odniesieniu do transformacji. Bo przecież polska transformacja nie byłaby możliwa bez zaprowadzenia pewnego rodzaju nowej nierówności między kobietami i mężczyznami.

Zdaniem prof. Jacyno, przyjęty w okresie transformacji model rozwoju przyniósł konsekwencje dla kobiet, na co nakładał się również sposób narzucenia surowego na tle Europy prawa aborcyjnego. Źródeł buntu z 2016 i 2020 r. należałoby więc szukać w latach 90.

– Bo przecież państwo neoliberalne, jakim była i jest Polska, nie byłoby w stanie przetrwać bez subsydiów w postaci nieopłacanej pracy kobiet, i bez ich ni-

skoopłacanej pracy w sektorach publicznych. To, że decyzja TK zapadła akurat w trakcie kryzysu pandemicznego, ma swój szczególny wymiar. Po raz pierwszy od dawna mogliśmy w Polsce usłyszeć, że państwo jest nam jednak do czegoś bardzo potrzebne, bo dokonało wielkich transferów w ramach tarcz antykryzysowych. To, że wyrok Trybunału usłyszeliśmy właśnie wtedy, było ciosem od tego samego państwa. I to ciosem w czuły punkt – tłumaczy Jacyno.

Kryzysowe konteksty

Strajk Kobiet rozwijał się w określonym otoczeniu społecznym. Jego atmosferę, oprócz samej reakcji na wyrok TK, wyznaczały także warunki jesiennego lockdownu (młodzi ludzie chcieli wyrwać się z domów i dać wyraz swej frustracji), a także coraz ostrzejszy spór pokoleniowy. Kolejnym elementem był pogłębiający się w Polsce kryzys Kościoła. Został przez uczestniczki i uczestników protestów zidentyfikowany jako dość oczywisty wspólnik, jeśli nie inspirator obozu rządzącego w kwestii ograniczenia prawa do aborcji. I choć sprawy w swoje ręce próbował wziąć sam Jarosław Kaczyński, wzywający do „obrony kościołów", to jednak udało mu się zmobilizować jedynie skrajnych prawicowców, niekoniecznie głosujących na PiS.

– Mam ten komfort, że od początku ostrzegałem przed możliwymi konsekwencjami – twierdzi polityk PiS. – A jednak w partii zwyciężyło intuicyjne myślenie, że oto w środku drugiej fali pandemii zamknięci w domach, przygnębieni ludzie po prostu nie zwrócą większej uwagi na rozstrzygnięcie Trybunału. Nikt nie rozumiał, że ci sfrustrowani ludzie potrzebowali tylko iskry.

Samokrytyczna interpretacja polityka PiS i tak sugeruje korzystne dla rządzących wyjaśnienie skali, natury i całej żywiołowości protestów. W tym ujęciu to pandemia miałaby stać się głównym źródłem emocji. Trochę to zbyt życzeniowe i trywialne, by mogło być pełnym wyjaśnieniem. Niemniej tego typu spostrzeżenia mają i uczestniczki protestów.

Katarzyna Kotula: – Tak, pandemia miała wpływ na nastroje. To był obiektywnie zły czas, w którym społeczna frustracja tylko narastała. To z pewnością pomogło w mobilizacji.

Sukces SK ma jeszcze jedno źródło. Na wybuch, w którym po raz pierwszy

KRZYSZTOF SKŁODOWSKI / FORUM

PROF. MAŁGORZATA JACYNO:

Na świecie wszyscy się dziś spodziewają protestów kobiet. Do nich adresowanych jest coraz więcej oczekiwań związanych z jakimś przełomem, wielką zmianą.

w III RP (nie licząc krótkiej akcji przeciwko ACTA) to młodzież stanowiła najliczniejszą grupę uczestników, nałożył się ostry spór pokoleniowy. Czyli wojna cyfrowego „roszczeniowego gówniarstwa" z analogowymi „boomersami" i „dziadersami".

To spięcie dodało iskier buntowi kobiet przeciw zaostrzeniu prawa aborcyjnego, a tym samym przeciw PiS-owi i Kościołowi. To zaś mocno polaryzowało nastroje wokół Strajku Kobiet. Pokolenie 40+, choć wspólnie z młodzieżą demonstrowało przeciwko decyzji TK, w większości niechętnie odnosiło się do haseł „aborcji na życzenie". Byli też zszokowani słownictwem protestów.

Katarzyna Kotula: – To jest język młodzieży, język rebelii, język buntu, język rewolucji. To język praw kobiet.

– Zastosowanie tego języka niekoniecznie było funkcjonalnym posunięciem – zauważa z kolei prof. Wincławska. – Z jednej strony on był jakoś naturalny, zwłaszcza dla młodszych uczestników protestów, z drugiej część potencjalnych sojuszników zwyczajnie odstraszył, a nawet zgorszył. Sfera publiczna rządzi się określonymi prawami, nie do końca jest w niej miejsce na wulgaryzmy.

Zarazem jednak warto odnotować, że oprócz nurtu „wyp...lać" był jeszcze drugi kod językowy Strajku Kobiet. Ten z mikrotransparentów. „PiS myśli, że Mazurek Dąbrowskiego to ciasto", „Jesteście gorsi niż piosenki Dżemu", „Takiej patologii nie da się zrobić nawet w Simsach", „Ten rząd jest potrzebny jak alarm w Multipli". To było coś zupełnie innego niż ofensywne wulgaryzmy. Muzeum Gdańska utworzyło nawet kolekcję podobnych transparentów i banerów.

Złe emocje zatruły strajk

Po pierwszej fali ubiegłorocznych protestów rozpoczęły się intensywne próby ich instytucjonalizacji. Większość nie skończyła się niczym, co przyczyniłoby się do rozwoju ruchu kobiecego. Rozszerzały się listy postulatów, każde kolejne ultimatum stawiane rządowi ustępowało zaraz następnej, ostrzejszej wersji, wreszcie się okazało, że Strajk Kobiet nie jest już protestem przeciwko wyrokowi TK, tylko ruchem na rzecz radykalnej liberalizacji tego prawa oraz platformą wielu środowisk lewicowych. Aż 1 listopada została ogłoszona wstępna lista członków nowo powołanej Rady Konsultacyjnej OSK.

– Zobaczyłam rzędy ludzi w maskach z nastroszonymi brwiami. To wyglądało trochę jak konferencje ETA z lat 90. – twierdzi Anna Maria Żukowska. I przypomina, że właśnie w latach 90. słynna baskijska organizacja terrorystyczna oklapła i straciła zmysł społeczny.

Wokół składu Rady wybuchła burza – znaleźli się w niej m.in. związany z PO Michał Boni, Paweł Kasprzak (Obywatele RP) oraz kilka innych osób, których na co dzień nikt nie kojarzył z ponadprzeciętnym zaangażowaniem w ruch na rzecz kobiet i wrażliwością na ludzką krzywdę. Szybko też powołano 14 zespołów roboczych przy Radzie, co sprawiało wrażenie, jakby miał to być co najmniej gabinet cieni. Kiedy pod koniec zeszłego roku Rada Konsultacyjna ogłosiła pierwsze efekty prac tych 14 zespołów, nie było wśród nich np. kwestii legalnej aborcji.

– Dziś ta Rada chyba w ogóle nie działa – konstatuje prof. Wincławska.

– W pracach 14 zespołów Rady brało udział łącznie 800 osób. Wiem, że wielu zarzuca nam, iż zajmowaliśmy się dosłownie wszystkim, ale takie właśnie było ↦

↦ oczekiwanie uczestników protestów, pracowaliśmy wyłącznie nad postulatami, które oni zgłaszali – mówi Marta Lempart.

Równolegle z pracą w zespołach pojawiły się też konflikty. Sprzeczne emocje budziła oczywiście Lempart, a potem także pisarka Klementyna Suchanow. Ma opinię bardzo apodyktycznej i dominującej, przez aktywistki z różnych stron ruchu kobiecego bywa wskazywana jako inicjatorka działań na rzecz „nadmiernej radykalizacji protestów". Z nią właśnie wiąże się historia, która również miała dość istotny wpływ na postrzeganie Strajku Kobiet i na klimat w części współtworzących go środowisk.

Najlepiej zindeksowane w wynikach wyszukiwania artykuły o Suchanow nie pochodzą z lewicowych serwisów, ale niemal wyłącznie z prawicowych portali. Tę dość zawiłą historię z życia osobistego współliderki Strajku Kobiet prorządowe media, z TVP na czele, wykorzystały do bólu. W telegraficznym skrócie: słynna i budząca skrajne emocje Margot z Kolektywu Stop Bzdurom opisała w mediach społecznościowych okres, w którym była współlokatorką Suchanow, oraz oskarżyła ją o przemoc psychiczną, molestowanie i doprowadzenie do bezbronności, a także – pośrednio – o transfobię. Suchanow nigdy nie ustosunkowała się do tych oskarżeń publicznie – i miała rację, bo podgrzałoby to tylko dyskusję, a publiczny spór z Margot trwałby pewnie do dziś. Nikt zresztą nigdy całej tej historii nie zweryfikował.

Aferę eksploatowały media prawicowe, ale dużo większą rolę odegrała ona w środowisku warszawskiej lewicy, przyczyniając się zresztą do kolejnych podziałów w ruchu kobiecym. Rozpętała się tam polska wersja sporu o tzw. TERF-y, który zaczął się w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych, by po kilku latach trafić w końcu do Polski. Pod skrótowcem TERF skrywa się rozwinięcie terminu *trans-exclusionary radical feminism* (czyli „wykluczający osoby trans feminizm radykalny") – chodzi tu o te działaczki feminizmu, którym inne działaczki feminizmu zarzucają, że nie chcą traktować transkobiet na równi z kobietami biologicznymi – a przynajmniej nie w każdym aspekcie. Ten problem jest dziś jednym z głównych punktów zapalnych na mapie feminizmu. I zarazem jest traktowany przez część społeczeństwa jako przykład oderwania działaczek od realnych problemów kobiet w Polsce.

> Po pierwszej fali protestów rozpoczęły się próby ich instytucjonalizacji. Większość nie skończyła się niczym, co przyczyniłoby się **do rozwoju ruchu kobiecego.**

Z tej panoramy wyłania się obraz ruchu, który utkwił w rozmaitych didaskaliach i wydaje się skazany na dryf bez wyraźnego celu. Tymczasem na horyzoncie widać sporo okazji, które mogą dać mu znowu wiatr w żagle.

Niezałatwione sprawy

Prof. Jacyno przypomina, że kobiety mają do wyrównania społeczno-ekonomiczne rachunki o znacznym bilansie: – Nie przypadkiem anglosaskie badaczki zaraz po kryzysie 2008 r. zainteresowały się takimi kwestiami, jak kapitał emocjonalny. Czyli tym wszystkim, co sprawia, że oficjalna ekonomia oparta na kapitale finansowym w ogóle może funkcjonować. Chodzi o tę część pracy, która będąc cały czas nieopłacana, musi być wykonana – bo bez tego nie zdarzy się nic innego. To jest iluzja, że mamy i ekonomię, i społeczeństwo. Ekonomia jest częścią społeczeństwa. Ktoś musi ubrać dzieci, ktoś musi je pocieszać, ktoś musi je karmić i motywować do nauki. To jest dług, który neoliberalne państwo zaciąga u społeczeństwa. A właściwie u kobiet. I o to mniej więcej chodzi, gdy szukamy społecznego i emocjonalnego podłoża protestów, źródeł ich energii.

Maria Wincławska dodaje, że istnieją solidne przesłanki do tego, by ruch spod znaku błyskawicy mógł w odpowiednim momencie zapłonąć na nowo i sypnąć niejednym piorunem: – Energia społeczna na pewno została rozbudzona, do tego narasta poczucie solidarności i sprawczości. To wszystko jest bardzo ważne, bo jeśli tylko pojawi się kwestia odpowiednio istotna dla opinii publicznej, ten cały potencjał będzie można rozbudzić na nowo. Organizacje kobiece mają już do tego odpowiednie doświadczenie, organizacyjne *know-how*.

Prof. Jacyno dorzuca do tego perspektywę globalną: – W dyskursie akademickim na świecie wszyscy się dziś spodziewają protestów kobiet. Do kobiet adresowanych jest coraz więcej oczekiwań związanych z jakimś przełomem, wielką zmianą. Sądzę, że tym, co mogą wnieść kobiety, jest możliwość wyobrażania sobie całkowicie innego porządku społecznego. Kiedy śpiewam dziecku kołysankę, z punktu widzenia ekonomisty rynkowego inwestuję w rozwój tego dziecka, przekazuję mu kapitał emocjonalny. Ale z punktu widzenia kobiety ja to dziecko po prostu usypiam, pocieszam, śpiewam mu.

I zwraca uwagę na wyzwania cywilizacyjne, które dotkną mocniej kobiety: – Nadchodzący kryzys klimatyczny sprawi, że będą jego pierwszymi ofiarami. Będzie bowiem jeszcze więcej tej pracy, którą kobiety wykonują już dzisiaj, związanej z ekonomią nieoficjalną, z dbaniem o więzi społeczne, z opieką. Czy poradzimy sobie wtedy bez ułożenia na nowo kwestii społecznych praw kobiet?

© WITOLD GŁOWACKI

POŻEGNANIE

Pogrzeb naszej Siostry

Ś.†P.

Joanny Turowicz-Piaseckiej

zmarłej 14 stycznia 2021 r. w Lund
odbędzie się w piątek 22 października w Luborzycy.
Msza św. zostanie odprawiona o godz. 15.00 w miejscowym kościele,
a następnie urna z prochami Joanny zostanie złożona w grobie rodzinnym.

Elżbieta i Magdalena z rodzinami

Paczkoman

MAREK RABIJ

Pytanie, czy Polska bez Rafała Brzoski byłaby gorszą wersją samej siebie, jest zasadne nie tylko w kontekście sprawy „Pandora Papers", w której pojawia się nazwisko biznesmena. Chodzi o to, czy biznes da się jeszcze robić inaczej.

MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA GAZETA

Rafał Brzoska. Kraków, 2015 r.

Sądząc po ostrej reakcji na publikację „Gazety Wyborczej", która cypryjskie interesy jego firmy opisała jako próbę etycznie wątpliwej optymalizacji podatkowej, twórca sieci paczkomatów poczuł się dotknięty do żywego – i nie chodzi o błędy rzekomo popełnione przez dziennikarzy. W mediach społecznościowych Rafał Brzoska od tygodni zajmuje się udowadnianiem, że opisane interesy są legalną, wręcz nudną rutyną dużego biznesu, czego adwersarze, jak uważa przedsiębiorca, bądź nie rozumieją, bądź z premedytacją nie chcą przyjąć do wiadomości.

„Niestety zamiast skupiać się na rozwoju biznesu, nieść polską flagę na mapie Europy, udowadniać, że Polak potrafi nie tylko być pracownikiem najemnym w krajach UE, ale może tam tworzyć miejsca pracy – muszę spędzać swój czas na odpieraniu niezrozumiałego i taniego ataku" – napisał Brzoska tuż po publikacji. Zapowiedział też, że na każdą próbę łączenia jego nazwiska z unikaniem podatków będzie odpowiadać pozwem sądowym, bo wszystkie podatki osobiste od zawsze płaci w Polsce. Nie chce również dłużej mielić tego tematu w mediach. – Rafał naprawdę koncentruje się teraz na pracy we Francji – rzecznik grupy InPost Wojciech Kądziołka rozwiewa ostatnie nadzieje na rozmowę z twórcą sieci paczkomatów, dając przy okazji do zrozumienia, że Brzoska myślami już dawno jest przy inwestycji we francuską spółkę Mondial Relay, którą InPost przejął niedawno za 513 mln euro.

Śledząc internetową batalię prezesa z oponentami, trudno nie mieć wrażenia, że również Rafał Brzoska nie umie lub nie chce przyjąć czegoś do wiadomości: tego, że głównym kryterium oceny działalności przedsiębiorców od dawna nie są wyniki finansowe ich firm.

Z Nędzy do pieniędzy

W jednym z serwisów społecznościowych sam opisał się jako „wojownik oraz stuprocentowy Skorpion". Istotnie, zawodowy życiorys Brzoski obfituje w dowody na to, że nie unika ryzyka i konfrontacji. Bez wątpienia pasuje też do stereotypu self-made mana, bo kapitału początkowego ani nie odziedziczył po zaradnym ojcu, ani nie wycisnął z nie zawsze transparentnych operacji prywatyzacyjnych. W peletonie tzw. ludzi sukcesu, który sunie przez Polskę od 1989 r., 45-letni dziś Rafał Brzoska, pochodzący ze wsi Nędza koło Raciborza, należy do tych, którzy zawdzięczają najwięcej własnej pracy. Pierwszą firmę, kolportującą ulotki reklamowe, założył pod koniec lat 90. jeszcze jako student krakowskiej Akademii Ekonomicznej. Dwie dekady i dwie poważne biznesowe wpadki później, z majątkiem szacowanym na 5,7 mld zł, plasuje się w pierwszej dziesiątce najbogatszych Polaków, choć – jak żartuje – przeciętny Polak prędzej skojarzy go z obecną żoną, prezenterką telewizyjną Omeną Mensah, niż z codzienną ciężką biznesową orką. To oczywiście przerysowanie, ↦

↦ bo postać Rafała Brzoski kojarzy się dziś w Polsce głównie z siecią ponad 13 tys. paczkomatów.

Kiedy rozmawialiśmy o niej po raz pierwszy, spółka Rafała Brzoski tłoczyła się jeszcze w klaustrofobicznym biurowcu na krakowskim blokowisku. Był rok 2010, w kraju działało raptem 300 paczkomatów, z których korzystało około 180 tys. osób rocznie, a prezes przekonywał, że stać go – zarówno finansowo, jak i logistycznie – na dostawienie jeszcze 150 maszyn do końca roku. „Niech sobie pan wyobrazi, że wybrane produkty ze współpracujących z nami e-sklepów, np. książki czy filmy, będą stale dostępne w paczkomatach i klient po zakupie będzie mógł je natychmiast odebrać w najbliższej maszynie bez oczekiwania na przesyłkę" – Brzoska nie miał wątpliwości, że klienci błyskawicznie poznają się na jego pomyśle i zrozumieją, że zamiast czekać godzinami na kurierów, mogą szybciej odebrać paczkę samemu.

Wątpliwości mieli za to rywale. Bo czy w kraju z niemal 12-procentowym wówczas bezrobociem warto inwestować kapitał w maszyny i ich serwis? Czy konsumentom rzeczywiście będzie się chciało gnać do paczkomatu po przesyłkę, zamiast czekać w domu na kuriera? No i czy ktokolwiek o zdrowych zmysłach zamówi do takiej maszyny coś cenniejszego niż książka? Interesujący, lecz w gruncie rzeczy niszowy produkt, który może w najlepszym razie uzupełnić ofertę sieci kurierskich, zwłaszcza że fizyczna dostępność paczkomatów nigdy nie wyjdzie poza rogatki, a raczej centra największych miast – konkludowali konkurenci.

Wszystkie te uwagi Brzoska kwitował uśmiechem z trudem kryjącym znudzenie i prawdę mówiąc, sprawiał wrażenie młodego aroganta. Możliwe, że był nim faktycznie. Nikt nie mógł przecież wiedzieć, że dziesięć lat później pandemia podziała na jego biznes jak cukier na drożdże.

Rząd listy pisze

W styczniu br. stworzony przez Brzoskę InPost zadebiutował na giełdzie w Amsterdamie i od razu dał zarobić inwestorom. Wymyślona w innej epoce i przez lata kiełkująca sieć paczkomatów okazała się biznesem skrojonym na miarę pandemicznych realiów, w których handel przeniósł się niemal w całości do internetu.

Udany debiut na giełdzie nie tylko uczynił Brzoskę miliarderem. Przede wszystkim potwierdził jego powrót do biznesowej ekstraklasy, co prawda już w roli mniejszościowego akcjonariusza InPostu (większość skupił amerykański fundusz inwestycyjny Advent International), za to z zamożnym partnerem. A zaledwie pięć lat wcześniej, w 2016 r., logistyczny wehikuł Brzoski właściwie stacał się na skraj bankructwa.

Nic nie zapowiadało tej katastrofy, kiedy dwa lata wcześniej InPost wygrał przetarg na obsługę pocztową administracji publicznej. Rządowe Centrum Usług Wspólnych nie podpisało jednak umowy. Nie pomogły kolejne wygrane w sądzie. Przygotowana zawczasu do obsługi kontraktu firma Bezpieczny List, spółka-córka InPostu, stała się kosztownym obciążeniem i naraziła całą grupę na wielomilionowe straty. Tonący Brzoska chwycił się brzytwy i dwa dni przed wypłatą pensji dla blisko 1,2 tys. pracowników sprzedał Bezpieczny List bliżej nieznanej firmie Tenes One, która – jak wynikało z danych w Krajowym Rejestrze Sądowym – w ogóle nie zajmowała się doręczaniem przesyłek. Ta równie szybko pozbyła się niepotrzebnej jej spółki na rzecz innego podmiotu, tym razem zarejestrowanego na Cyprze.

„Bezpieczny list, czyli jak zredukować zatrudnienie z przytupem" – wyzłośliwiał się w tytule notki jeden z serwisów prawniczych. Pozostawieni na lodzie pracownicy ruszyli do sądów. Działacze partii Razem złożyli nawet do prokuratury zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa, a w internecie nawoływali do bojkotu kolejnych konferencji, na których prezes InPostu pojawiał się w roli guru biznesu. Guru zaś po prostu umył ręce.

Na sugestię, że mógłby jednak zapłacić listonoszom choćby ze względów wizerunkowych, odparł w rozmowie z portalem Natemat.pl: „Dziękuję za sugestię. Zapewniam, że mam jeszcze kilka pomysłów na poprawę wizerunku".

Głównym winowajcą zdaniem Brzoski było państwo, które nie wywiązało się z zawartej z nim umowy. Teraz, gdy sprzedaży Bezpiecznego Listu przyglądały się państwowe organy kontroli, to prezes uważał się za pokrzywdzonego. I choć w sprawie kontraktu dla administracji trudno było mu coś zarzucić, inwestorzy z warszawskiej giełdy zgadzali się, że ta porażka stała się dla Brzoski wygodnym usprawiedliwieniem błędów, za które odpowiadał już osobiście. Bo InPost znalazł się na skraju bankructwa także – jeśli nie przede wszystkim – wskutek przeszacowania rentowności paczkomatów, w które Brzoska nadal wierzył niezachwianie. Kolejne miliony lokowane w rozwój sieci szybko powiększały koszty działalności, ale przychody wciąż rosły zbyt wolno. Gdyby nie wsparcie ze strony funduszu Advent, który zmusił akcjonariuszy do wyprzedaży akcji niemal za bezcen, biznesowa kariera krakowskiego przedsiębiorcy dobiegłaby zapewne kresu.

Koszty, głupcze

„Jechałem za szybko, absolutnie. Ale żeby była jasność: wszyscy kupowali tę wizję, akcjonariusze, rada nadzorcza. Wszyscy" – tak z perspektywy czasu tłumaczył swoje decyzje Brzoska.

Miliarderzy rzadko przyznają się publicznie do błędów. Canossą prezesa InPostu okazała się wieś Chlebnia pod Grodziskiem Mazowieckim, do której trafiła ostatecznie ta część dokumentacji kadrowej spółki Bezpieczny List, która cudem przetrwała kolejne zmiany właścicielskie. Brzoska sięgnął po te kwity, kiedy udało mu się zażegnać ryzyko bankructwa, ale nadal ciążył mu wizerunek człowieka, który realizuje swe cele bez oglądania się na konsekwencje. Aby przebrać się w nowy biznesowy garnitur na miarę „rynku pracownika", który ku jego zaskoczeniu pojawił się w Polsce, prezes zaciągnął kredyt na zapłatę zaległych pensji pracownikom Bezpiecznego Listu.

„Nikt nie spłacił pracowniczych zobowiązań spółki, która nie była jego własnością, a ja to zrobiłem z prywatnej kieszeni i jeszcze wziąłem na to pożyczkę" – tłumaczył czyniąc cnotę z konieczności. Nawet w 2019 r., kiedy bezrobocie w Polsce spadło w pobliże 5 proc., większość kurierów InPostu pracowała na umowach śmieciowych lub kontraktach firma-firma. Choć zdaniem prezesa nie było w tym niczego dziwnego.

„Trzy tysiące osób jest naszymi podwykonawcami w zakresie świadczenia usługi kurierskiej. I te trzy tysiące pewnie jest zarządzane przez kilkadziesiąt spółek. To są firmy logistyczne. Specyfika usług logistycznych polega na tym,

że w łańcuchu dostaw do różnych zadań zatrudniani są podwykonawcy, którzy prowadzą działalność na własny rachunek i mogą pracować dla różnych firm. (...) Tak funkcjonuje branża logistyczna na całym świecie, jeżeli zaczniemy funkcjonować w innym modelu, to zamiast InPostu będzie DHL czy DPD".

Ten wybitnie wolnorynkowy sznyt towarzyszy Brzosce od początku działalności biznesowej. Wiele lat temu w jednym z wywiadów narzekał na pracowników, którzy przychodzą do pracy o ósmej rano, a „po szesnastej całkiem wypisują się z życia firmy (...). Natomiast człowiek, do którego mogę zadzwonić z pytaniem o 21-ej albo wysłać maila, a on odpisuje po pół godziny – to dla mnie wartościowy pracownik nowoczesnej organizacji".

Przepis Brzoski na „nowoczesną organizację" mogłem zresztą zobaczyć w działaniu w pamiętającym PRL pawilonie handlowym na jednym z krakowskich osiedli. Był początek 2014 r. i Poczta Polska właśnie utraciła prestiżowy kontrakt na obsługę korespondencji polskich sądów. Warte pół miliarda złotych rocznie zlecenie przejęła szerzej nieznana Polska Grupa Pocztowa, zarejestrowana na Cyprze i posiadająca placówki jedynie w 6,6 proc. z około 60 tys. polskich miejscowości. W udźwignięciu zamówienia miał jej pomóc Ruch oraz InPost, który wkrótce wchłonął zresztą PGP w całości.

Ówczesna sąsiadka, niedowidząca 80-letnia dama o nienagannych przedwojennych manierach, znalazłszy w skrzynce sądowe awizo wystawione przez InPost, poprosiła o podwózkę do najbliższego punktu Polskiej Grupy Pocztowej, którym okazał się salonik Ruchu skryty w bocznej alejce wspomnianego pawilonu. Dotarliśmy na miejsce, pani Ewa dobyła z portfela starannie złożone awizo i z nabożeństwem wręczyła mi wraz ze swoim dowodem osobistym.

– A niech pan sobie sam tego szuka – żachnęła się ekspedientka na widok dokumentów, po czym wskazała ręką na trzy plastikowe koszyki na podłodze, z których dosłownie wysypywała się korespondencja.

Zdumieni przycupnęliśmy w kącie sklepiku nad górą listów. Kioskarka całkowicie straciła nami zainteresowanie, włączyłem więc dyktafon w smartfonie i zacząłem na głos odczytywać z kopert informacje adresowe. Przesyłka do pani X z wydziału ksiąg wieczystych. Polecony do pana Y, tym razem wydziału karnego. Wydział spraw rodzinnych i nieletnich, gruba koperta adresowana do kogoś o znajomo brzmiącym nazwisku. Łącznie ponad setka listów, wszystkie za potwierdzeniem odbioru, zapewne w ważnych i wrażliwych sprawach. Teraz piętrzyły się w chaotyczny stosik w kącie sklepiku z prasą, papierosami i tanimi perfumami. Zniszczenie ich lub – co gorsza – wyniesienie było dziecinnie proste.

> Wymyślona w innej epoce sieć paczkomatów okazała się biznesem **skrojonym na miarę pandemicznych realiów.**

Nagranie z saloniku opublikowaliśmy w serwisie internetowym „Newsweeka", w którym wówczas pracowałem. O dziwo ani PGP, ani InPost nie poczuły się winne zaniedbań. Zdaniem ich przedstawicieli, zawiodły procedury podwykonawcy, czyli Ruchu.

W rzeczywistości obsługa sądów przerosła możliwości zarówno PGP, jak i InPostu. W Szczecinie na 40 tys. listów wysłanych przez sądy z potwierdzeniem odbioru w styczniu 2014 r. prawidłowo doręczono tylko 10 tys. Warszawski sąd okręgowy, który wcześniej otrzymywał potwierdzenia średnio po trzech dniach od wysłania listu, po zmianie operatora pocztowego czekał na to samo 10 dni dłużej. Aby wygrać kontrakt, firmy musiały zaoferować jak najniższą cenę i jednocześnie na tym zarobić. Zrobiły to w sposób, który znały najlepiej, oszczędzając na kosztach pracy.

Daleko od paczkomatu

Rafał Brzoska niedawno świętował 22 lata w biznesie, głównie dzięki usłudze, której zapewne nie wymyślił od początku do końca, ale z pewnością pomógł jej przybrać namacalny kształt. Słowo „paczkomat" stało się tak charakterystyczne, że InPost próbuje sądownie odciąć od niego konkurentów. Tymczasem kolejka chętnych rośnie z każdym miesiącem. Czy to rządowy Orlen, czy chiński AliExpress, czy niemieckie DHL, bez względu na proweniencję kapitału inwestorzy doceniają potencjał tkwiący w tym modelu biznesowym. Firma analityczna dataplace.ai w najnowszym raporcie stwierdza, że pomimo szybkiego przyrostu liczby paczkomatów dokładnie 15 673 126 osób w całym kraju wciąż ma do najbliższej takiej maszyny więcej niż 10 minut marszu. Mówiąc wprost, w Polsce można postawić jeszcze drugie tyle paczkomatów, nim rynek zacznie przejawiać pierwsze oznaki nasycenia.

Gdzie? W jaki sposób? Czy ta logistyczna rewolucja będzie nadal odbywać się równie chaotycznie jak dotychczas, często bez uwzględnienia potrzeb mieszkańców i troski o miejski krajobraz? We Wrocławiu przy ul. Olszewskiego wyrósł paczkomat długi na 11 metrów i zasłonił mieszkańcom pobliskich domów widok na ulicę. W kilku miejscowościach maszyny stanęły tuż przy zabytkowych kościołach. Dla większości spośród owych 16 mln Polaków mieszkających daleko od paczkomatu będą to oczywiście drugorzędne dylematy – do czasu, aż za ich oknem pojawi się taka maszyna. Bo że stanie tam prędzej czy później – to pewne. Jeśli serio traktować zapowiedzi firm inwestujących w taką formę dostawy, do końca przyszłego roku w Polsce przybędzie około 40-50 tys. maszyn do nadawania i odbioru paczek.

Warto trzymać kciuki za wszystkich. Nie tylko dlatego, że – jak pokazują badania ekspertów krakowskiej AGH – „kurierzy obsługujący sieci paczkomatów przejeżdżają codziennie o 120-150 km mniej od pozostałych doręczycieli, jednocześnie dostarczając do 600 przesyłek dziennie, w porównaniu z maksymalnie 60 sztukami w wypadku tradycyjnej usługi kurierskiej z dostawą do domu". Celem każdego wielkoskalowego biznesu jest wypracowanie na tyle silnej pozycji, by konkurentom nie opłacało się wchodzić gigantowi w paradę. Gra, która właśnie nabiera rumieńców na ulicach polskich miast, toczy się więc *de facto* o to, byśmy za kilka lat wysyłając paczkę lub zamawiając coś w internecie mieli jak najmniejszy wybór dostawcy.

©℗ MAREK RABIJ

Przytoczone wypowiedzi Rafała Brzoski pochodzą z wywiadów opublikowanych w „Gazecie Wyborczej", „Parkiecie", serwisach Money.pl, Natemat.pl i Gazeta.pl oraz w „Newsweeku".

Kilo wspólnoty poproszę

PIOTR CZYŻ, ARCHITEKT, DZIAŁACZ MIEJSKI:

Targowiska to przestrzenie, których polskie miasta nie umieją wykorzystać.

JĘDRZEJ DUDKIEWICZ: Dlaczego miejskie targowiska nie cieszą się specjalną renomą?

PIOTR CZYŻ: Jeszcze kilka lat temu były raczej przestrzeniami wstydu. Mieszkańcy nie kojarzą ich jako miejsca, w którym można się z kimś spotkać lub tym pochwalić. Od pewnego czasu jest jednak zauważalna inna tendencja – w dużych miastach pojawiają się targowiska „z górnej półki", z droższymi produktami, targi śniadaniowe, eko-bazary etc. i ich odbiór jest bardzo pozytywny. Niejako korzystają na tym, że te „zwykłe" targowiska mają nie najlepszą opinię. Ostatnio zaczyna się to zmieniać, chociaż bardzo wolno, co ma różne przyczyny, w tym np. to, że na tradycyjnych targowiskach większość zarówno sprzedających, jak i kupujących to osoby starsze. Dodatkowo są zarządzane przez samych sprzedających, którzy nie mają czasu i energii na budowanie wizerunku miejsca. Tym niemniej kryje się tu spory potencjał.

Pańskiemu zespołowi chodzi o to, by targowiska były dostępne dla wszystkich?

Pracujemy nad targowiskami od 2017 roku, badamy je, obserwujemy, sprawdzamy, jak rozwijają się na świecie. Naszym celem jest właśnie wypełnienie luki między bazarem, który kojarzy nam się z późnym PRL-em, na który chodzimy, bo jest taniej, a targowiskiem z górnej półki, gdzie chodzi się, bo jest to modne. Chodzi o to, by postawić na inkluzywność, która powinna być najważniejszym pojęciem 2021 roku. Społeczeństwa są coraz bardziej spolaryzowane – ekonomicznie i społecznie, do tego doszła pandemia, która ograniczyła kontakty międzyludzkie. Musimy więc tworzyć przestrzenie, które łączą ze sobą wszystkie grupy społeczne. I mogą nimi być właśnie targowiska – to dzieje się na Zachodzie i u nas też, mam nadzieję, się zacznie.

Jakie jeszcze funkcje może spełniać takie miejsce?

Tradycyjne targowisko, na którym można dostać produkty rolne, łączy ze sobą społeczność wsi i miast. To pierwszy, bardzo ważny aspekt, dający przedstawicielom obu grup pewne korzyści. Kiedy rolnik ma możliwość sprzedaży bezpośredniej, jest w stanie więcej zarobić, bo nie musi przejmować się marżami – w supermarketach towary są niekiedy trzy razy droższe niż w skupie. Z drugiej strony, kiedy zajrzymy do tych supermarketów, to zwykle znajdziemy tam o wiele mniejszy asortyment, np. ze trzy rodzaje pomidorów. Na targowisku, które obecnie badamy i rewitalizujemy, tych gatunków znajdziemy dziesięć, dwanaście. Tak więc wybór jest o wiele większy, lepsza jest też jakość. Często towar sprzedawany na rynku zbierany jest dzień wcześniej, a zatem świeży. Nie musi przejeżdżać w chłodni setek, a nawet tysięcy kilometrów.

W dużych miastach targowiska zazwyczaj znajdują się w bardzo dogodnych lokalizacjach. Obecnie jednak są czynne przez maksymalnie trzy dni, po kilka godzin. Chcemy zapełnić tę lukę stosując metodę pączkowania, by pojawiały się tam kolejne aktywności. Jednym ze sposobów jest tematyzacja – organizujemy eko rynek, pchli targ, na którym można kupić rzeczy stare i używane, pikniki, spotkania, imprezy kwiatowe, wieczorne, kulturalne. Staramy się eksperymentować i sprawdzać, co „chwyci". Naszą ambicją jest to, by targowiska pracowały dłużej niż dwanaście godzin w tygodniu, wykorzystywały potencjał świetnej lokalizacji. Jeśli będą odpowiednio zaprojektowane, to będą to po prostu miejsca, w których spędza się czas wolny. Najważniejsza jest zmiana myślenia, co dobrze pokazuje Gdańsk, w którym działamy. W dzielnicy, w której znajduje się „nasze" targowisko, od wielu lat trwa debata na temat stworzenia placu miejskiego dla lokalnej społeczności. A przecież funkcję tę spokojnie mogłoby pełnić właśnie targowisko, znajdujące się dosłownie kilkaset metrów dalej. Co istotne, da się to zrobić tanio. Przestrzeń już jest, trzeba ją tylko lekko zmodyfikować, by pojawiły się rodziny z dziećmi, rowerzyści, grupki przyjaciół rozmawiające przy piwie.

Przy piwie?

Alkohol jest dość symptomatyczny dla społecznego odbioru targowisk. Ze względu na zmiany w sposobie jego konsumpcji, w latach 90. wprowadzano na nich zakaz jego sprzedaży i spożywania. Obecnie widać, że należałoby od tego odejść, bo kiedy targowisko jest dobrze zarządzane i odpowiednio animowane, to alkohol... może pomóc. Bo ludzie będą chcieli się tam spotykać wieczorami, chociaż oczywiście nie chodzi o wielkie imprezy, a raczej możliwość popołudniowego przesiadywania. Tu zaś dochodzimy do najważniejszego wniosku naszego projektu.

Mianowicie?

Nie chodzi o to, by przeprojektować targowisko w sensie fizycznym, ale by nim odpowiednio zarządzać i je umiejętnie animować. Potrzebna jest instytucja, która będzie nim zarządzać, rozwijać, nie tylko szukając nowych sprzedawców, ale również budując określoną tożsamość miejsca. W USA jest organizacja Project for Public Spaces, która się tym zajmuje – to *placemaking*, czyli po polsku „tworzenie miejsc". Bryant Park w Nowym Jorku to jeden z najintensywniej wykorzystywanych parków na świecie. Tam jest około czterdziestu pracowników i tylko ośmiu zajmuje się kwestiami związanymi z infrastrukturą, a reszta właśnie animacją, kontaktami z klientami, najemcami, sponsorami. To daje do myślenia. Tak samo mogłoby być w przypadku targowisk, by chociażby instytucje kultury lub inne jednostki miejskie wspierały pewne procesy i pobudzały możliwości zarobkowe osób sprzedających na targowiskach. Są inkubatory przedsiębiorczości, a targowiska mogą być inkubatorami dla osób, które zarabiają mniej, mają

ADAM BURAKOWSKI / REPORTER

Targowisko przed galerią handlową Rondo Wiatraczna. Warszawa, 30 marca 2021 r.

mniejsze kompetencje, albo hodowców, artystów czy restauratorów. Ryzyko rozpoczęcia takiej działalności jest też niskie, dzięki czemu możemy w bardzo prosty sposób dać ludziom pracę. W Londynie jest to rozwiązanie systemowe. Miasto, razem z ośrodkami opieki społecznej i urzędami pracy, kieruje bezrobotnych na targowiska, by spróbowali coś sprzedawać lub gotować. Osoby te przechodzą specjalne szkolenia, uczą się nowych rzeczy. Może to być więc pewnego rodzaju stabilizator społeczny – gdy ktoś jest w gorszej sytuacji, może np. przez pewien czas robić w domu kiszonki lub konfitury, a następnie je sprzedawać. Widzimy takich ludzi i staramy się im pomagać.

Targowisko może być też miejscem spotkań międzypokoleniowych, międzyklasowych. Byśmy byli w stanie funkcjonować nie obok siebie, tylko razem.

Na badanym przez nas targowisku już teraz widzę procesy, o których pan mówi. W trakcie targów kwiatowych spotkały się np. dwie osoby, które normalnie raczej by na siebie nie wpadły. To pani Teresa, która od ponad czterdziestu lat hoduje, a potem sprzedaje rośliny na rogu ulicy, oraz Remigiusz Dorawa, ogrodnik, „roślinny celebryta", influencer, który jest szalenie popularny w mediach. Miałem okazję podejrzeć, jak rozmawiają swobodnie o tym, co warto robić, żeby mszyce się nie pojawiały albo dana roślina nie uschła. Oboje byli całkowicie zanurzeni w rozmowie. To właśnie przestrzeń targowa pozwoliła na to, by osiemdziesięcioletnia kobieta wymieniła opinie z dwudziestokilkulatkiem w sprzyjającej atmosferze. By o nią zadbać, sprawdzaliśmy też np., jaką muzykę puszczać, by wszyscy czuli się dobrze. Okazało się, że wszystkich łączy Czesław Niemen – młodych i modnych, rodziny z dziećmi oraz osoby starsze.

Oprócz tego targowisko może mieć też funkcję edukacyjną, rolnicy mogą np. opowiedzieć o różnych problemach i wytłumaczyć, dlaczego owoce są takie drogie. To z kolei może pobudzać świadomość na temat środowiska i zmian klimatycznych.

Targowisko może być katalizatorem zrównoważonego rozwoju. Nie tylko pozwala w prosty sposób dostać jakościowy produkt, ale też zwiększa świadomość ekologiczną. Jedzenie jest jedną z najważniejszych czynności, wykonujemy ją przez całe życie. To, co i jak jemy, wpływa i na nas, i na środowisko. Byłem w Londynie na szkoleniu, którego cały panel poświęcono niepewności żywieniowej, zjawisku występującemu również w krajach Zachodu. Nie chodzi o głód, tylko o jedzenie bardzo niskojakościowych produktów, a przez to niemożność zapewnienia sobie wszystkich potrzeb w kontekście jedzenia. Wynikać to może z braku pieniędzy, czasu, świadomości. Dlatego w USA targowiska są wykorzystywane jako instrument walki z tym problemem. Dodatkowo mogą wspierać ekonomię cyrkularną, poprzez pokazywanie, że kupowanie starych i używanych rzeczy jest nie tylko ekologiczne, ale i fajne.

Wszystko to wymaga zmiany w myśleniu i przyzwyczajeniach. Jakie są zatem wyzwania, z którymi trzeba sobie poradzić w przypadku nowej wizji targowisk?

W Wielkiej Brytanii już dziesięć lat temu zauważono, że największym wyzwaniem jest demografia. Starzeją się zarówno kupujący, jak i sprzedający. Powstały tam więc specjalne programy mające nakłonić młodych ludzi, rolników, kolekcjonerów, by zaczęli przyjeżdżać ze swoimi towarami na targowiska. Coś takiego byłoby też konieczne w Polsce, bowiem jeśli ktoś w latach 90., w wieku trzydziestu lat, zaczynał coś sprzedawać na targowisku, to teraz ma koło sześćdziesiątki. Innymi słowy, niedługo przejdzie na emeryturę. Jeśli nie zainteresujemy targowiskami nowych osób, zarówno kupujących, jak i sprzedających, to one za chwilę będą puste. Dlatego właśnie konieczna jest animacja, by młodzi przestali patrzeć na targowiska jak na miejsce, gdzie kupuje się pomidory od babci i idzie do domu, tylko by sami tam przychodzili z własnej inicjatywy i spędzali więcej czasu.

Są jakieś targowiska, na których można się wzorować?

Zacznę od tego, że kilka lat temu czytałem artykuł na temat kondycji ekonomicznej targowisk w Polsce. Autorka stwierdzała w nim, że ich sytuacja społeczno-ekonomiczna jest stabilna, gdyż od dziesięciu lat ich liczba się nie zmniejszyła. Jednak w tym samym czasie np. w Londynie liczba targowisk prawie się ↦

↦ podwoiła. W Barcelonie targowiska są ze sobą systemowo połączone. Sławna La Boqueria zarabia bardzo dużo, ale ta część, która trafia do miasta, zasila słabiej prosperujące targowiska. Wszystko jest scentralizowane i uwspólnione. Barcelona ma zresztą specjalny system mapowania, który sprawdza, czy wszyscy mieszkańcy mają możliwość dotarcia pieszo do targowiska, by kupić świeże produkty. Celem jest to, by było to osiągalne w ciągu piętnastominutowego spaceru. Interesujące są także różnice między Londynem i Barceloną. W tym pierwszym uważa się, że dyskonty nie powinny być lokowane w pobliżu targowisk ze względu na konkurencję, wprowadzono więc ochronę najbardziej strategicznych targów. Barcelona zaś robi odwrotnie, celowo zezwalając inwestorom na lokowanie dyskontów tuż obok targowisk. Zauważono bowiem, że jak Hiszpanie idą na zakupy, to połowa rodziny kieruje się do dyskontu, gdzie kupuje np. makaron, a druga połowa na targowisko po świeże warzywa lub mięso. Dużo więc zależy od specyfiki miasta i ludzi.

Czyli dużo myśli się tam o targowiskach i o tym, jak działają.

Oba miasta mają bardzo rozwiniętą kulturę targową. Jednocześnie oba powołały jednostki miejskie poświęcone rozwojowi targowisk, co stanowi jeden z elementów strategii rozwoju miasta. Na Borough Market w Londynie są specjalni konsultanci od tego, jak atrakcyjnie układać warzywa i owoce. Innym udogodnieniem jest to, że za pięć funtów można kupić butelkę i mieć gwarancję, że do końca świata będzie można ją tam za darmo napełnić. Zarówno w Londynie, jak i Barcelonie kultura targowa jest tak mocno rozwinięta, że animacja w zasadzie nie jest już potrzebna, bo lokalna społeczność jest bardzo mocno związana z targowiskami. I jest z nich dumna. Zresztą, gdy jesteśmy w Barcelonie, to idziemy na La Boquerię, bo to po prostu atrakcja. W Polsce takimi przykładami mogłyby być targ na końcu Krupówek w Zakopanem oraz Sukiennice w Krakowie. Ale oba te miejsca nie mają w sobie tej części emocjonalnej, tożsamościowej. Mieszkańcy nie czują się z nimi wcale związani.

Może tę więź przenieśli na galerie handlowe.

Władze dużych polskich miast intensywnie pracują nad wizerunkiem – powstają nowe centra handlowe, skwery, ulice, deptaki. Ale targowisk nie przybywa, wręcz się o nich zapomina. Rozwój targowisk, ale też stojące za nimi wartości, jak odpowiedzialna, zrównoważona konsumpcja, powinny stać się elementem budowania strategii rozwoju miasta.

Chcemy o tym rozmawiać. W Gdańsku odzew jest bardzo pozytywny, podobnie w Gdyni, niedawno kontaktowaliśmy się z prezydentem Iławy. W różnych innych miejscach jest wstępne zainteresowanie, ale rzadko można usłyszeć stwierdzenie, że etyczna, ekologiczna konsumpcja jest celem, targowisko zaś może być instrumentem pomagającym go osiągnąć. A tak powinno być. Paradoksem jest, że architekci projektują centra handlowe, w których można kupić niskiej jakości pomidora, często na styropianowej tacce, zawiniętego w folię, a tego, który jest naprawdę wysokiej jakości, wcale niekoniecznie o wiele droższy, można kupić w przestrzeni, o której nikt nie myśli. Chcemy więc przesunąć uwagę z powrotem na targowiska, by pokazać, że dobrze zaprojektowane i odpowiednio animowane mogą dać ogromną korzyść dla miasta, jego wizerunku, a przede wszystkim dla mieszkańców.

© Rozmawiał JĘDRZEJ DUDKIEWICZ

PIOTR CZYŻ jest architektem i filozofem. Prezes Stowarzyszenia Inicjatywa Miasto, pracownik Wydziału Architektury Politechniki Gdańskiej. Jego działalność poświęcona jest społecznej roli architektury i nowym metodom przekształcania przestrzeni publicznych. Wykonawca samorządowych projektów poświęconych rewitalizacji przestrzeni i projektowaniu partycypacyjnemu. Kierownik projektu naukowo-badawczego na temat strategii rozwoju polskich targowisk realizowanego w ramach programu Gospostrateg dla Narodowego Centrum Badań i Rozwoju. Konsultant tzw. uchwał krajobrazowych w Gdańsku i Sopocie.

REKLAMA

Mistrzyni rozmowy, **Katarzyna Kubisiowska**, zaprasza do intymnego świata wyjątkowych osobowości

Premiera 27 października

Nosowska, Tokarczuk, Kulig, Wilczyński, Holland, Santor, Bonowicz, Bargielska, Zagajewski, Bieńczyk, Braunek, Englert, Glińska, Hund, Klicka, Przemyk, Pilch, Łoziński, Barański i inni

Książka dostępna na www.znak.com.pl

znak TYGODNIK POWSZECHNY

DOROTA

Masłowska: *Gala*

Jedziemy tam z Georgijem. Bokobrody, wąsy i bura kurtka pruderyjnie związana w pasie mogłyby wskazywać na Charona wiozącego nas na tamten brzeg transformacji ustrojowej. Jednak to tylko prywatny czas Georgija, który przywiózł tu ze sobą z Gruzji, zamknięty w rozchwierutanej korporacyjnej toyocie avensis, jak w słoiku. W radiu „Za dzień, za dwa". Melancholia kończącej się niedzieli. Na „lecz nie dziś" oczy napełniają mi się łzami. Bo biorę to jakoś osobiście: mniejsza, o co dokładnie tam już chodzi, ale dlaczego właściwie nie dziś? Dlaczego nie teraz, już? Może żeby nie kolidowało z tym całym rozdaniem Nike. Korek na Tamce, a przed Biblioteką Uniwersytecką już cały tłum oczekujących; sprawdzanie dokumentów szczepień trzyma poetów, wydawców, literaturoznawców, literackie lwy bankietowe i lwy ogólnobankietowe, nieprzebierające w dziedzinach, na pierwszym październikowym chłodzie. Wraz z nimi różne inne pomniejsze stworzenia: bankietowe kuny, kury i diabły tasmańskie kokoszące się wśród reflektorów i pierwszych wirujących liści.

Wciąż rosnąca kolejka do wejścia o dynamice niehandlowej. W związku z czym mało zdyscyplinowana, niekonfliktowa, z charakteru podobna do roju, z tendencją do towarzyskich pączkowań i fuzji. Jakiś sensat od razu wypatrzyłby tu Olimpię Szuwar, Edwina Kolanko i Kubę Wirusa, przypadkowy przechodzień – jedynie rozpytlowany, nieco podniecony sam sobą tłum. Zwraca uwagę stanowczy brak klejnotów, brak koron, brak futer. Dwoje Hiszpanów – zdezorientowanych, przyglądających się ciekawsko, co to tu za atrakcje, co za fiesty. Ale to nasze wewnętrzne, polskie, niezrozumiałe sprawy. Z piniaty wylecą tylko szare płaszcze, polary pokryte sierścią kotów, Chopin. Czaszki nagie i blade jak skały, potargane przez wiatr zaczeski, szaliki w kratkę. Wchodzimy. Gdzieś w tłumie, w pierwszych small talkach, powitaniach, migoczą mi wielkie, spodkowate ciastka z logo nagrody, nagryzane przez najgłodniejszych i odkładane na talerzyki. Ktoś wkłada nam do rąk kartki „Gdzie są dzieci?".

Tymczasem rozpoczyna się gala transmitowana przez telewizję. Mnę w dłoniach moje „Gdzie są dzieci?". Też się pytam, ale kartkę zwijam w spocone harmonijki, wilgotne nerwicowe wachlarze... Mimo gorącej nadziei, że transmisję oglądają Mateusz Morawiecki i Mariusz Błaszczak, nie mam co do tego pewności. A nie wiem, czy jest sens to oskarżycielskie pytanie zadawać widzom TVN24. Mogą nie wiedzieć. Kamera rusza po szynach. Za każdym jej przejazdem nad salą podnosi się rozdzierająco niezborny las rąk, pytający „Gdzie są dzieci?". Coś naprawdę dramatycznego jest w tym, nie wątpię, serdecznym sprzeciwie, który nie spotyka się z żadnym oporem – a może nie zostaje nawet odnotowany. Pozostaje zawieszonym aktem czynionym, by zachować choć trochę przyzwoitości i prawdy na własne potrzeby. Gra orkiestra Młynarski-Masecki. Nogi niby rwą się do podrygiwania przy szalonych, cudownie zdeformowanych i wybałuszonych fokstrotach, jednak cały czas powraca pytanie: „Gdzie są dzieci?". Już za chwilę dla równowagi, uspokojenia następują występy kabaretowe. Tzw. żarty.

Żarty te, choć świadomie podawane w konwencji nieśmieszności, są też strasznie nieśmieszne w sposób zupełnie niezamierzony. Ich niby celowa matowość, a w rzeczywistości po prostu niebłyskotliwość, wpycha uroczystość na dziwną mieliznę. Tak jakby programujący galę uznali, że Miłosz Miłoszem, Myśliwski Myśliwskim, ale ile oni właściwie mają obserwujących? Te brwi, te sękate dłonie, ta cała mądrość, to może smucić. Co gorsza – nudzić! Trzeba tu trochę bigla, trochę bigcyca. Żeby widzowie nie zaczęli regulować odbiorników, pojawiają się dwa nieszczęsne dańce.

Gdy potem o tym myślę – wydaje mi się to logiczne. Dramaturgicznie niezgrabne wtręty kabaretowe są zabiegiem odmądrzającym, pokiepszczającym – wyrównującym poziomy bylejakości z lecącymi równolegle „Gogglebox" i „Randkami bez cenzury". Dwudzieste piąte rozdanie Nike może dzięki nim zostać w ogóle pokazane w telewizji. Ten niby niewinny kompromis pozostaje jednak w szczególnie niefortunnym dysonansie z pytaniem „Gdzie są dzieci?". W efekcie powstaje jedno z bardziej przejmujących widowisk w historii polskiej telewizji. To Gala Naszej Frustrującej Bezradności.

Może i dobrze, że nie ma bankietu. Żądni interakcji, plotek, awantur, towarzyskiej szamotaniny i mordobitki opatulają się swoimi szarymi płaszczami i zaczynają grupkami pałętać się po sennym sennością niedzielnego wieczoru mieście. Jest cicho, pusto, w lokalach barmani smętnie grzebią w kasach i puszczają okrutną muzykę stymulującą proces wychodzenia ostatnich klientów. Wszystko więc kończy się w niezmordowanej Amatorskiej piwem, złym winem, mrożonymi pierogami, mnóstwem papierosów i wrzeszczeniem z widokiem na Teatr Sabat. Pisarze, wydawcy, Janusz Rudnicki! Stali bywalcy zwisający nad barem, ociekający sami sobą jak nigdy nieschnące pranie. Jakieś psy, jakieś zaśmiewania się, serdeczności, plecak laureata wzruszająco wciśnięty w kącie jak szkolny tornister. Takie jest właśnie życie: piękne, brzydkie, skromne, śmieszne i bardzo straszne. Wracamy toyotą corollą z Datą, fanem eurodance'ów. ©

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Brzesku pod sygn. akt I Ns 254/21 toczy się postępowanie z wniosku Anny Anioł i Henryka Anioła o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie na ich rzecz – do wspólności ustawowej – własności działki ewid. nr 452 o pow. 0,28 ha, położonej w Uszwi, gm. Gnojnik. Działka nr 452 odpowiada p. grt. 1354/1, 1350/2, 1350/6 i 1351/3 objętym księgą wieczystą nr TR1B/00011397/8, w której jako właściciele ujawnieni są: Maria Wach, Walenty Dadej, Marya Dadej, Franciszek Dadej, Karolina Dadej, Anna Dadej, Rozalia Dadej, Julia Dadej i Karolina Ciurowa (wpisy z lat 1909-1960).

Sąd wzywa wszystkie osoby zainteresowane, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły się w siedzibie Sądu i udowodniły swoją własność, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie zgodnie z wnioskiem na rzecz wnioskodawców, o ile zostanie udowodnione.

WATERMAN PARIS

TWOJE PIÓRO

Fundatorem nagrody jest marka **Waterman** oraz sklep **Twoje Pióro (www.twojepioro.pl)**

ARCHIWUM PRYWATNE

Michał Paweł Markowski

GRAŻYNA MAKARA

Grzegorz Jankowicz

Bądź z nami i wspieraj Festiwal Conrada!

Od 18 do 24 października spotykamy się na Festiwalu Conrada, najważniejszym wydarzeniu literackim w Polsce, które w tym roku odbywa się pod hasłem „Natura przyszłości". Możesz wesprzeć powstawanie Festiwalu, licytując festiwalowe cegiełki: bilety i karnety dobrej woli oraz pamiątki.

▪ Ekskluzywne pióro Waterman Carene Deluxe GT 18k z wygrawerowaną imienną dedykacją od Festiwalu Conrada

Pióro wieczne, które zostanie ze zwyciężczynią lub zwycięzcą aukcji przez długie lata, wpisuje się w hasło tegorocznej edycji Festiwalu Conrada – „Natura przyszłości" – które skupiać ma uwagę również na tym, jak możemy dbać o przyszłość naszej planety. Jedyny egzemplarz pióra z wygrawerowaną dedykacją będzie niepowarzalną i oryginalną pamiątką.

▪ Recenzja Twojego tekstu napisana przez dyrektora artystycznego Festiwalu Conrada prof. Michała Pawła Markowskiego

Zwyciężczyni lub zwycięzca tej aukcji otrzyma recenzję nadesłanego do nas tekstu swojego autorstwa napisaną przez dyrektora artystycznego Festiwalu.

Przyszłych zwyciężczynię lub zwycięzcę aukcji uprzejmie ostrzegamy – profesor Markowski przygotuje recenzję rzetelną, zgodną z etosem krytyka literackiego, niekoniecznie pochlebną!

▪ Spacer literacki z dyrektorem programowym Festiwalu Conrada Grzegorzem Jankowiczem

Zwycięzców tej aukcji zaprosimy na 90-minutowe warsztaty – spacer literacki po conradowskich miejscach w Krakowie – z dyrektorem programowym Festiwalu, który opowie o swoim krakowskim literackim szlaku oraz o Festiwalu Conrada z perspektywy jego twórców.

▪ Wizyta w krakowskim mieszkaniu Czesława Miłosza

Zwycięzcy tej aukcji zostaną zaproszeni na wizytę z przewodnikiem w mieszkaniu Czesława Miłosza, które znajduje się w Krakowie przy ulicy Bogusławskiego. Czesław Miłosz zamieszkał przy ulicy Bogusławskiego w 1993 roku i spędził w nim resztę swojego życia.

▪ Książka zwyciężczyni lub zwycięzcy Nagrody Conrada ze specjalną, imienną dedykacją.

Zwyciężczyni lub zwycięzca tej aukcji otrzyma książkę Laureatki lub Laureata Nagrody Conrada, z imienną dedykacją, którą Laureatka lub Laureat wypisze w chwilę po otrzymaniu Nagrody.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

EDYTA DUFAJ

Mieszkanie Czesława Miłosza

Książki nominowane do Nagrody Conrada

Plakaty z wystawy poświęconej twórczości Roberta Walsera

Archiwalne katalogi festiwalowe

▪ Pakiet pięciu książek nominowanych do Nagrody Conrada 2021 z autografami Autorek i Autorów

Zwyciężczyni lub zwycięzca tej aukcji otrzyma pięć książek nominowanych do Nagrody Conrada: „Szalejów" Macieja Bobuli, „Halny" Igora Jarka, „Bestiariusz nowohucki" Elżbiety Łapczyńskiej, „Bezmatek" Miry Marcinów i „Niż" Macieja Topolskiego, z autografami ich Autorek i Autorów.

▪ Festiwalowe „cegiełki" – bilety i karnety dobrej woli

Bilet dobrej woli to plakat tegorocznej edycji Festiwalu Conrada w formie elektronicznej, do druku we własnym zakresie. Karnetem dobrej woli jest oryginalny plakat tegorocznej edycji Festiwalu Conrada wydrukowany w formacie B2.

Zakup biletów i karnetów dobrej woli nie jest warunkiem uczestnictwa w wydarzeniach Festiwalu Conrada, są one otwarte i dostępne dla wszystkich, ale kupując bilety i karnety dobrej woli, wspierasz organizację Festiwalu.

▪ Archiwalne katalogi Festiwalu Conrada

Na aukcjach znajdziesz trzy archiwalne katalogi towarzyszące I, III oraz IV edycji Festiwalu Conrada. Katalogi dostępne są wyłącznie w formie drukowanej, w związku z czym nie można zdobyć ich w inny sposób! W każdym z katalogów, oprócz programów ówczesnych edycji Festiwalu, znajdziesz wiele ciekawych, wciąż aktualnych tekstów.

▪ Plakaty z wystawy poświęconej twórczości Roberta Walsera

Na aukcji znalazły się również dwa archiwalne plakaty związane z twórczością Roberta Walsera, towarzyszące wystawie, która odbyła się podczas czwartej edycji Festiwalu Conrada w 2012 roku. Plakaty mają format B1 i wydrukowane są na wysokiej jakości papierze.

Wszystkie aukcje trwają do **niedzieli 24 października.** Wylicytowane kwoty zostaną w całości przeznaczone na rozwój Festiwalu Conrada, którego organizatorem, wspólnie z Miastem Kraków i KBF, jest Fundacja Tygodnika Powszechnego.

CONRAD FESTIVAL

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

weź, licytuj!

Więcej informacji na:

allegro.pl/zobacz/conradfestival

Zdjęcia przedmiotów aukcji: Jacek Taran

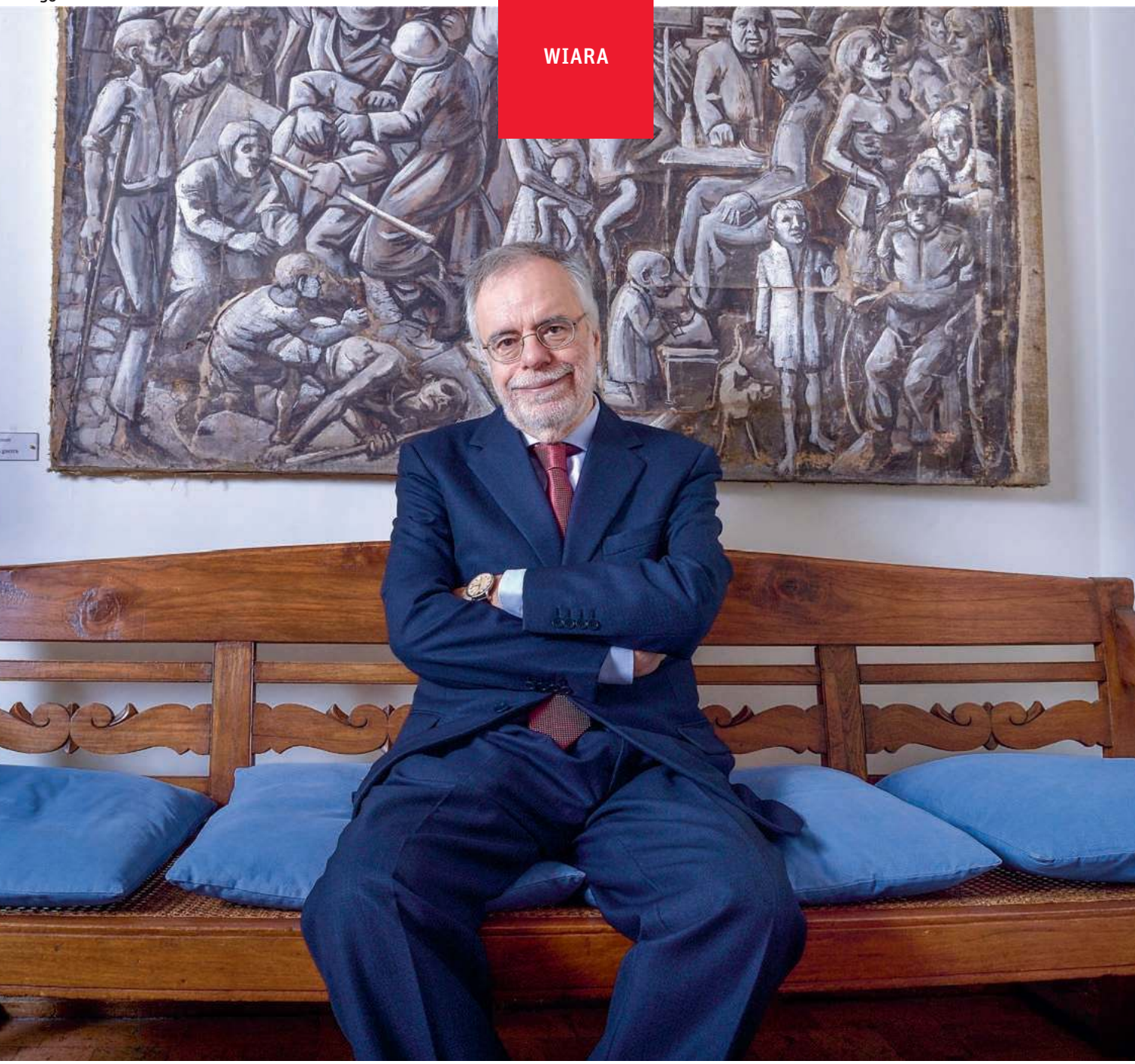

Andrea Riccardi, Rzym, styczeń 2021 r.

NIEJEDEN KOŚCIÓŁ UPADŁ

PROF. ANDREA RICCARDI, ZAŁOŻYCIEL WSPÓLNOTY SANT'EGIDIO:

Tylko Ewangelia może nas, katolików, uratować z kryzysu – postawienie w centrum ludzi najbiedniejszych, a nie problemów wewnątrzkościelnych.

PROF. ANDREA RICCARDI (ur. 1950) założył w 1968 r., będąc licealistą, wspólnotę Sant'Egidio, dziś obecną w ponad 70 krajach świata, zajmującą się pomocą biednym, bezdomnym, uchodźcom i emigrantom. Wykładał historię współczesną na uniwersytetach w Bari i Rzymie, był ministrem integracji i współpracy międzynarodowej w rządzie włoskim (2011-13), negocjatorem pokojowym w krajach afrykańskich. Autor wielu książek – wkrótce w Polsce, nakładem Znaku, ukaże się najnowsza z nich: „Kościół płonie. Czy chrześcijaństwo ma przyszłość?"(tytuł roboczy).

EDWARD AUGUSTYN: Był Kościół w drzwiach, Kościół jako szpital polowy... Teraz mamy Kościół synodalny. Coś się zmieniło czy to kolejne modne słowo?

PROF. ANDREA RICCARDI: Dalej mamy szpital polowy, tylko w drodze. Bo synodalność to wspólna droga, wyjście do innych i z innymi.

Synodalność uratuje Kościół z kryzysu?

Myślę, że tylko Ewangelia może uratować Kościół z kryzysu. Synodalność to tylko metoda, sposób włączenia ludzi wierzących w dyskusję, by pokazać, że Kościół to nie instytucja, ale Lud boży. Celem jest powrót do Ewangelii, do pasji i zaangażowania wszystkich wierzących w jej głoszenie. A Ewangelia, tak jak ją rozumiem, oznacza postawienie w centrum uwagi ludzi najbiedniejszych, przejęcie się losem tych, którzy cierpią, a nie problemami wewnątrzkościelnymi. Ewangelia to zaangażowanie w sprawy społeczeństwa i świata.

A ta ogólnokościelna dyskusja wszystkich wiernych, z różnych kultur i mentalności, nie podzieli nas jeszcze bardziej?

Nie sądzę. Podziały już są. Dobrze ugruntowane i zideologizowane. Byleby nie wprowadzać do Kościoła ideologii.

Jakich ideologii?

Żadnych. Ani postępowych, ani konserwatywnych.

Czym się różni ideologia od religii?

Nie zawsze jest to jasne. Ideologia wyraża interesy jakiejś grupy. Religia nie. Jan Paweł II już na początku swego pontyfikatu, po rewolucji Chomeiniego, zrozumiał, że religia – nie tylko islam – może stać się ideologią, która uświęca wojnę. Dlatego w 1986 r. wezwał przywódców wielkich religii do Asyżu, miasta św. Franciszka, by wspólnie modlić się i rozmawiać.

Jak się bronić przed ideologizacją chrześcijaństwa?

Znów ta sama odpowiedź: Ewangelia. To odtrutka na wszystkie ideologie. Nie pozwala zamykać się na innych, ale każe do nich wychodzić. Dlatego wierzę w proces synodalny, a jeszcze bardziej w żywą wspólnotę w służbie Ewangelii, która jest zaprzeczeniem podziałów i polaryzacji.

Kilka dni temu Wspólnota Sant'Egidio, której jest Pan założycielem, zorganizowała w Rzymie, pod Koloseum, podobne międzyreligijne spotkanie modlitewne, jak przed 35 laty Jan Paweł II w Asyżu.

Wszyscy mieszkamy wspólnie na jednej Ziemi. To nasz globalny dom. Pomysł, że można żyć tylko wśród chrześcijan, tylko wśród katolików, tylko wśród ludzi jednej narodowości, to iluzja. Jan Paweł II mówił mi, że najchwalebniejszym okresem w historii Polski był okres polskiego *commonwealth*, kiedy Polacy, Litwini, Ukraińcy, Żydzi żyli razem. Polskę stanowiły różne narody i różne religie. Powtarzał, że najwspanialszym waszym władcą był Zygmunt August, który powiedział: nie jestem panem waszych sumień. Jan Paweł II najbardziej cenił właśnie państwa wielonarodowe i wieloetniczne. A tradycja jagiellońska była jego wspaniałą wizją, także dla współczesnej Polski

Czy dziś słowa papieża – którego-kolwiek – mogą jeszcze wpływać na rzeczywistość? Wydaje się, że głos Kościoła traci na znaczeniu.

A czy miał znaczenie pod koniec XIX wieku? Albo w czasie II wojny światowej? Czy dziś ktoś się przejmuje głosem papieża? Można powiedzieć: i tak, i nie. Dla mnie bardziej smutne jest to, że Kościół pogodził się ze swoją społeczną nieistotnością.

Co to znaczy?

Kościół włoski w czasie pandemii, zwłaszcza w jej początkowym i pełnym chaosu okresie, milczał. Oczywiście uruchomiło się w jego obrębie wiele inicjatyw pomocowych, ale milczał w obliczu dekretów zakazujących sprawowania kultu. Jeszcze nigdy w historii kraju nie zawieszono mszy i nabożeństw, nawet podczas wojny, w czasie bombardowań, przejścia frontu czy niemieckich łapanek. A już na pewno nigdy nie zrobił tego rząd.

Zrobił to w obliczu zagrożenia, jakiego ani Włochy, ani świat nie znały i nie wiedziały, jak się przed nim bronić.

Bez względu na to musimy przyznać, że był to przełom w historii włoskiego Kościoła, który został potraktowany gorzej niż instytucje komercyjne, a na pewno nie jak te, które są ludziom koniecznie potrzebne. A przecież, choćby patrząc w przeszłość, zawsze w czasie pandemii był dla ludzi wsparciem i punktem odniesienia. Biskupi przyjęli dekret rządu w milczeniu. Zgodzili się, że w czasie pandemii Kościół jest niepotrzebny, wiara nie ma znaczenia i nie pomaga ludziom w najtrudniejszych sytuacjach. Wydaje mi się, że model włoski został potem przyjęty też w wielu innych krajach.

I co dalej? Jak wyjść z wielopoziomowego kryzysu?

Teraz najważniejsze jest, by wyciągnąć z pandemii lekcję. Nie traktować jej jak wypadku przy pracy, nie brać jej w nawias. Jest doświadczeniem globalnym, wszystkich ludzi i narodów. I na nim możemy zacząć budować świat, który będzie bardziej dla wszystkich. Musi być rozpoczęciem nowego, zupełnie innego życia.

O tym mówi napisana w czasie pandemii encyklika „Fratelli tutti".

To kluczowy dokument. A dla nas, katolików, nauczanie papieża powinno być najważniejszym punktem odniesienia. Papież pokazuje, jak czytać Ewangelię w nowym kontekście społecznym i historycznym. I jakie wyciągać z niej wskazówki na przyszłość. Tak było zawsze. Punktem odniesienia był Pius XII w czasie zimnej wojny, Jan XXIII w czasie odwilży, Paweł VI w burzliwych latach posoborowych. I był też Jan Paweł II. Bez nauczania papieży katolicy staliby się prowincjonalni i egoistyczni.

Ale jednak nawet długi i spektakularny pontyfikat Jana Pawła II nie zatrzymał kryzysu Kościoła.

↦

STEFANO SPAZIANI / MONDADORI PORTFOLIO / GETTY IMAGES

↦ Znałem dobrze Jana Pawła II. Uważam, że jest kluczem do zrozumienia historii chrześcijaństwa na przełomie XX i XXI wieku. Był wielkim papieżem, bardzo polskim, ale też uniwersalnym, który zrozumiał świat, uwolnił Wschód i Zachód od strachu, przywrócił entuzjazm wiary.

W swojej najnowszej książce „Kościół płonie. Czy chrześcijaństwo ma przyszłość?" pisze Pan, że być może charyzmat polskiego papieża przykrył pewne problemy, zamiast je rozwiązać.

Piszę, że są takie interpretacje i że trzeba się z nimi zmierzyć. Kard. Carlo Martini podkreślał, że pontyfikat Jana Pawła II nie był czarno-biały, ale miał wiele odcieni. Cenił wielką odwagę Wojtyły, skupienie na modlitwie, kontakt z ludźmi, zwłaszcza młodymi. Żadnemu papieżowi ani wcześniej, ani później nie udało się tak zdobyć młodzieży. Natomiast krytycznie oceniał jego sposób zarządzania Kościołem, a zwłaszcza wiele decyzji personalnych. Uważał też, że podróże Jana Pawła II i masowe wydarzenia skupiały uwagę świata na nim, a przykrywały problemy Kościołów lokalnych. Z wiadomych powodów inne były też pierwsze lata pontyfikatu Wojtyły, a inne ostatnie.

Myślenie, że Jan Paweł II mógłby rozwiązać wszystkie problemy Kościoła, jest śmieszne. Kryzys w Kościele był i będzie. Kościół żyje w kryzysie. Nie obiecuje raju na ziemi ani sam nim nie jest.

Dziś jednak kryzys Kościoła wydaje nam się dużo głębszy. Pewnie wcześniej wiele spraw udawało się wyciszać, o problemach wiedziała tylko wąska grupa, a jeśli wyciekały kompromitujące historie, przedstawiano je jako odosobnione przypadki albo plotki rozpuszczane przez wrogów. Teraz powstają rzetelne raporty, widzimy skalę nadużyć we Francji, w Niemczech Stanach Zjednoczonych. Także w Polsce.

Tak, widzimy zło, ale widzimy też dobro. Zawsze je widzieliśmy. Myślę, że Kościół jest właśnie taki, jak go opisywali dawni Ojcowie: i grzeszny, i czysty. Tak było już za ich czasów.

Proszę wybaczyć, ale to brzmi jak dobra wymówka. Wszyscy są grzeszni, w związku z tym wszystko można wytłumaczyć.

Pomysł, że można żyć tylko wśród chrześcijan, tylko wśród katolików, tylko wśród ludzi jednej narodowości, to iluzja.

Ewangelia mówi, że grzesznik powinien się nawrócić. Nie da się inaczej naprawić zła. Powtarzam, ratunkiem dla Kościoła jest Ewangelia. I na niej się koncentrujmy.

Pisze Pan w ostatniej książce, że możliwy jest upadek Kościołów historycznych – czyli też rzymskokatolickiego. I że w historii upadło wiele wielkich Kościołów, choćby w Afryce Północnej czy na Bliskim Wschodzie.

Ale nie stało się to, jak często uważają współcześni „suwereniści", z powodu zagrożenia islamem – w rzeczywistości apostolskie Kościoły na Bliskim Wschodzie przez wieki stawiały opór islamizacji. Do II wojny światowej chrześcijanie byli większością np. w Libanie. Byli też dużą społecznością w Syrii. Do ich upadku przyczyniła się sytuacja polityczno-militarna, której konsekwencją była emigracja. Dziś pozostały z nich tylko małe wspólnoty.

Za większe zagrożenie dla Kościołów historycznych uważa Pan postępującą pentekostalizację?

Pisałem, że ogromnym wyzwaniem, zwłaszcza w Afryce, w Ameryce Łacińskiej, Ameryce Północnej i Azji, są wspólnoty neoprotestanckie i neopentekostalne, które działają na zasadzie sekt. Trzeba je wyraźnie odróżnić od wspólnot zielonoświątkowych katolickich czy zielonoświątkowych protestanckich, których nie uważam za zagrożenie, a wręcz przeciwnie – to ciepłe, wspólnotowe chrześcijaństwo. Natomiast sekty neoprotestanckie to co innego. Papież Franciszek nazywa ich doktrynę teologią dobrobytu. To grupy, które przystosowały Biblię do obrony idei konsumpcjonizmu, wolnego rynku, bogacenia się. Stawiają na indywidualizm, na potrzebę zaspokojenia ego. Tymczasem wspólnoty z dobrze uformowaną teologią – katolickie, protestanckie czy prawosławne – stawiają na „my", nie na „ja".

Tyle że współczesny człowiek coraz mniej myśli w kategoriach wspólnotowych. I coraz mniej zależy mu na godzeniu wiary z rozumem – ucieka w emocje, irracjonalizm, spiski, prywatne objawienia.

Myślę, że w Kościele katolickim jest miejsce i na to, i na to. *Fides et ratio*, liturgia i emocje, modlitwa i służba ubogim, wiara ludu i oparta na założeniach filozoficznych teologia.

Jak znaleźć równowagę pomiędzy charyzmatem a instytucją, duchem i prawem?

W historii. Znajdowaliśmy ją wiele razy, wciąż znajdujemy i będziemy znajdować.

Czyli rację mają tradycjonaliści, którzy mówią: wróćmy do sprawdzonych i bezpiecznych wzorców.

Tradycjonalizm niewiele ma wspólnego z tradycją. Jest formą sekciarstwa, która wykorzystuje tradycję. Z lat dzieciństwa pamiętam liturgię łacińską, dorastałem w niej. Gdy dziś widzę liturgię tradycjonalistów, nie rozpoznaję tego, co odnajdywałem w tamtej liturgii.

Co zatem znaczy szukanie pomocy w historii, o której przed chwilą Pan mówił?

Historia to przeszłość i przyszłość. Tworzymy ją codziennie z myślą o przyszłości. Ta dawna też powstawała z myślą o przyszłości. Pamięć jest rzeczywistością dynamiczną, jak w religii żydowskiej. Język hebrajski określa ją słowem *zikkaron*. Dzięki takiej pamięci doszło do wyzwolenia Izraela, a naród żydowski pozostał wierny Bogu. W chrześcijaństwie wyrazem takiej pamięci o wydarzeniu, które dokonało się w przeszłości, ale trwa w teraźniejszości, jest Eucharystia.

Jak zachować równowagę między tożsamością, tradycją i słynnym soborowym aggiornamento?

Myślę, że to jeden z najważniejszych problemów. Podobnie jak równowaga pomiędzy tożsamością a dialogiem – np. z innymi religiami. Moim zdaniem nie ma dialogu, jeśli nie ma świadomości własnej tożsamości. Nie rozmawiałbym z panem, gdybym nie potrafił się zidenty-

fikować, samookreślić, gdybym nie znał własnej tożsamości. Tylko wtedy możliwy jest dialog, który nas obu „ubogaca" i w jakiś sposób zmienia.

Na czym polega tożsamość katolicka?

Być katolikiem znaczy być uczniem Jezusa i Słowa Bożego. Iść za Nim tu i teraz, w miejscu i czasie, w jakim żyjemy. To znaczy być częścią wielkiej wspólnoty, jaką jest Kościół. To znaczy kochać bliźnich, a zwłaszcza ubogich. To znaczy głosić Ewangelię bliskim. I wraz z innymi budować świat w pokoju.

Nie było nic o zachowywaniu prawa. W Polsce niedawno wiele osób bardziej było oburzonych złamaniem przepisów liturgicznych przez jednego biskupa niż śmiercią na granicy kilku osób, którym nikt nie udzielił pomocy.

Co mam powiedzieć? Przytoczę słowa waszego wielkiego papieża z orędzia na Światowy Dzień Migranta w 1999 r.: „Wyrazem katolickości jest nie tylko braterska wspólnota ochrzczonych, ale także gościnność okazana cudzoziemcowi niezależnie od wyznawanej przez niego religii, odrzucenie wszelkich barier i dyskryminacji rasowej oraz uznanie osobowej godności każdego człowieka, czemu winna towarzyszyć aktywna obrona jego niezbywalnych praw".

To były jego słowa i jego wizja – wielkie otwarcie się na wszystkich, którzy cierpią, którzy opuścili swoją ojczystą ziemię.

Może czasy się zmieniły? Może Jan Paweł II nie miał na myśli tych migrantów, o których polski rząd mówi, że roznoszą zarazki, są terrorystami, pedofilami, zboczeńcami.

Trudno mi w to uwierzyć, chociaż bardzo szanuję zdanie polskiego rządu. Oczywiście wiadomo, że rząd białoruski specjalnie ich na waszą granicę przywozi, zresztą podobnie robią inne rządy na świecie. Ale tego problemu nie rozwiąże się budowaniem murów. Jedynym rozwiązaniem jest współpraca ze społecznością międzynarodową, europejską. Nikt sam nie poradzi sobie z problemami imigracyjnymi.

A jeśli ta migracja jest skutkiem gry politycznej reżimów, handlarzy ludźmi, mafii? Mieliście podobne sytuacje we Włoszech.

Dlatego wymyśliliśmy korytarze humanitarne. To rozwiązanie legalne i humanitarne, jedyny sposób na walkę z mafiami. Jeśli otworzy się ludziom bezpieczne drogi, te niepewne, nielegalne i przestępcze same się zamkną.

Co w takim razie powinien zrobić polski Kościół i polscy biskupi?

Myślę, że oni sami dobrze to wiedzą. Nie muszę im doradzać. To problem Konferencji Episkopatu Polski. Znałem wielu odważnych biskupów polskich – kardynałów Wyszyńskiego, Glempa, Macharskiego. Doceniałem ich odwagę w czasach Breżniewa, gdy ludzie naprawdę bali się władzy sowieckiej. Znam tradycje oporu polskiego Kościoła i stawiania czoła wielkim problemom.

Dziś musieliby sprzeciwić się nie tylko władzy, ale też blisko połowie Polaków, którzy nie chcą przyjmować imigrantów. Którzy za bliźniego uznają tylko tego, kto jest z ich nacji i religii. Nazywa Pan taką postawę nacjonalkatolicyzmem. Czy to w ogóle jest katolicyzm?

No cóż. Jest wiele odmian katolicyzmu. Także taki. Katolicyzm zawsze był pluralistyczny, jak i całe chrześcijaństwo. Mamy cztery Ewangelie, nie jedną. Ale mówiąc serio, jedność Kościoła wyraża się w jedności z papieżem i biskupami. Papież pokazuje, jak dziś czytać Ewangelię, jak iść do przodu, nie popadać w sekciarstwo.

Dlaczego narodowy katolicyzm ma się tak dobrze? Nie tylko w Polsce.

Nie sądzę, żeby miał się dobrze. Kościół ma się dobrze, gdy jest pokój w narodzie, gdy jego wierni z radością uczestniczą w liturgii, gdy wyznają swoją wiarę publicznie, w społeczeństwie. Formuła nacjonalkatolicyzmu jest formułą ideologiczno-polityczną. I jako taka może funkcjonować również w społeczeństwach bardzo zsekularyzowanych, co widzimy np. na Węgrzech.

A jeśli miałbym już coś radzić polskim katolikom, podobnie jak węgierskim, włoskim i wszystkim innym, także sobie, to chyba tylko tyle, by się więcej modlili, bardziej kochali biednych, okazywali serce tym, którzy najbardziej potrzebują pomocy, a także żeby patrzyli na to, co dzieje się na świecie, poza własnymi granicami. I włączali się w budowanie nowego, lepszego świata po pandemii.

©℗ Rozmawiał w Rzymie
EDWARD AUGUSTYN

REKLAMA

MIĘDZYNARODOWA KONFERENCJA
Rola chrześcijan
w procesie integracji europejskiej

CHRZEŚCIJANIE EUROPY WOBEC KRYZYSÓW

KRAKÓW / 28-30.10.2021

www.kosciol-europa.org.pl

POCZĄTEK
28.10.2021 • 17:00
ON-LINE
YouTube
Facebook

Mamy przyjemność poinformować, że cykl debat o Europie organizowany przez 20 lat pod hasłem „Rola Kościoła katolickiego w procesie integracji europejskiej", ze względu na zmieniające się okoliczności, odtąd realizujemy pod nowym przewodnim hasłem: „ROLA CHRZEŚCIJAN W PROCESIE INTEGRACJI EUROPEJSKIEJ".

W ten sposób poszerzamy pole do prowadzenia debaty i kontynuujemy ideę biskupa Tadeusza Pieronka, bo konieczność dialogu między Kościołem a instytucjami Unii Europejskiej jest jeszcze większa!

Wzbogacenie tegorocznej dyskusji stanowią:
- *„Wieczór imieninowy": PIERONEK I JEGO EUROPA (czwartek, 28 października)*
- *uroczysta gala nagrody „IN VERITATE" (piątek, 29 października)*

Fundacja im. bp. Tadeusza Pieronka
Tadeusz Pieronek Foundation
IN VERITATE

Nauka słuchania

PIOTR SIKORA

Mówi się, że synod ma „odwrócić piramidę Kościoła”. A może by tak w ogóle zapomnieć o piramidzie?

Wyobraź sobie taką sytuację: twoja parafia musi podjąć ważną decyzję – czy przyjąć grupę uchodźców-imigrantów z granicy polsko-białoruskiej. A jeśli tak, to ilu i w jaki sposób (np. czy zakwaterować ich w przykościelnym domu parafialnym, czy w domach rodzinnych?). Parafianie siedzą w milczeniu w kościele, w cichej modlitwie rozeznając, jaka decyzja będzie właściwa. Każda i każdy może wypowiedzieć swoje zdanie. Proboszcz słucha – jego zadaniem jest rozpoznanie, czy głosy parafian układają się w jakiś spójny „wzorzec”. Gdy uzna, że dostrzegł ów wzorzec, formułuje go i pyta parafian, czy rozpoznał trafnie. Jeśli wszyscy się zgodzą – decyzja zostaje podjęta. Jeśli nie – proces rozeznawania trwa nadal.

Wyobraźmy sobie, że podobny sposób podejmowania decyzji stosowany jest na każdym poziomie wspólnoty Kościoła. Zdanie każdego liczy się tak samo. Owszem, istnieje posługa tego, kto wysłuchuje i próbuje wszystkie głosy zebrać w jedno (w parafii mógłby to być proboszcz, w diecezji – biskup). Ale nie stoi on wyżej, nie rządzi, nie wydaje dekretów...

Tak sobie wyobrażam jeden z aspektów Kościoła naprawdę synodalnego (nie wymyśliłem go *ex nihilo*, przyznaję, zainspirowałem się praktyką kwakrów).

Synod się rozpoczął

Synodalność należy do natury Kościoła – mówi papież Franciszek. Ale czy jest to natura-ideał, czy natura-rzeczywistość? Jak dokładnie ową synodalność rozumieć i co zrobić, by była nie tylko ideałem, ale rzeczywistością? Słowo „synod” znaczy „wspólna droga”. Synodalność to zatem „podążanie razem drogą”. Owszem, jeśli ta metafora ma mieć realne znaczenie, trzeba ją ukonkretnić, rozpoznać, jak może wyrazić się na poziomie praktyki.

Temu właśnie rozpoznaniu ma służyć rozpoczęty oficjalnie 9 października przez papieża synodalny proces. Proces, w którym cały Kościół katolicki ma zgłębiać, czym jest sama synodalność oraz próbować realizować ją w praktyce. Tydzień później, w ostatnią niedzielę, proces ten został zainaugurowany na poziomie każdej diecezji.

W zamyśle papieża i organizatorów synodalnego procesu pierwszy jego etap (który potrwa do marca przyszłego roku) ma być słuchaniem i zbieraniem głosów na jak najbardziej lokalnym poziomie – głosów wyrażających, jak każda i każdy z nas rozumie synodalność. By ułatwić i ukierunkować wypowiedź, organizatorzy przygotowali dwa teksty – tzw. Dokument przygotowawczy (który zawiera szkicowe teologiczne uzasadnienie ogólnej tezy o synodalności jako podstawowej cesze Kościoła i pewną porcję pytań, które mają pomóc zgłębić i wyrazić konkretne jej rozumienie) oraz Vademecum – wskazówki dotyczące organizacji samego procesu.

Vademecum sugeruje, że najlepiej głosy zbierać w grupach funkcjonujących w parafiach. Jednak jeszcze ważniejsze jest, by wypowiedzieć mógł się każdy – także ludzie, którzy aktualnie nie należą do żadnej parafialnej wspólnoty. Dokument podkreśla też, że „jesteśmy zaproszeni do mówienia z autentyczną odwagą i szczerością” oraz że „każdy ma prawo do bycia wysłuchanym, tak jak każdy ma prawo do wypowiedzi” (w tym sensie proces opisany przez Vademecum przypomina trochę synodalność wymarzoną przeze mnie na początku tego tekstu).

Bywa jednak, że rozmowę trudno rozpocząć – pada pytanie i zapada cisza – każdy czeka, aż ktoś inny coś powie. Gdy wreszcie ktoś się zdecyduje i wybrzmi pierwsza wypowiedź – rozmowa zaczyna toczyć się wartko. Zamieszczam więc poniżej swoje pierwsze próby odpowiedzi na zadane pytania – w nadziei, że jeśli zostaną usłyszane, mogą stać się inspiracją do dalszej synodalnej rozmowy.

Pytania i doświadczenie

Zasadnicze pytanie, zadawane przez organizatorów synodu katolikom, nawiązuje do wizji, zgodnie z którą Kościół synodalny to wspólnota, która „podąża razem”. Pytanie zatem brzmi: „Jak owo »podążanie razem« realizuje się dzisiaj w waszym Kościele partykularnym? Do podjęcia jakich kroków zaprasza nas Duch Święty, abyśmy wzrastali w naszym »podążaniu razem«?”. Aby ułatwić odpowiedź, w dokumencie wyszczególniono dziesięć bardziej konkretnych kwestii: 1. Towarzysze podróży – z kim podążamy, a kogo zostawiamy na marginesie? 2. Słuchanie. 3. Zabieranie głosu. 4. Celebrowanie. 5. Współodpowiedzialność w misji. 6. Prowadzenie dialogu w Kościele i w społeczeństwie. 7. Dialog z innymi wyznaniami chrześcijańskimi. 8. Władza i uczestnictwo. 9. Rozeznawanie i podejmowanie decyzji. 10. Formacja do synodalności.

Autorzy dokumentu sugerują, by poszukując odpowiedzi odwoływać się do osobistego doświadczenia. Nie trzeba więc roztrząsać każdego z powyższych zagadnień. Lepiej skupić się na tych, które dotykają nas osobiście.

Moje doświadczenie Kościoła mówi mi, że autentyczne „podążanie razem” realizuje się tylko w małych wspólnotach, i to najlepiej w takich, które mają jak najbardziej „płaską” strukturę, w których ani księża, ani inne osoby nie pełnią funkcji przywódczej. Dane mi było

ANDREW WINNING / REUTERS / FORUM

Synod Generalny Kościoła anglikańskiego, Londyn, listopad 2013 r.

uczestniczyć w dwóch takich grupach. Jedną z nich (już nieistniejącą) tworzyli ludzie, którzy skończyli studia i wyszli z duszpasterstw akademickich. Większość, choć nie wszyscy, założyła rodziny. Spotykaliśmy się po domach, modliliśmy się, rozmawialiśmy o sprawach przyziemnych i duchowych (jakże nieostry to podział!). Księża, którzy nam towarzyszyli, przewodniczyli celebracji mszy, spowiadali, lecz ani nie nauczali, ani nie decydowali o funkcjonowaniu grupy.

Drugą z tych grup „idących razem" tworzą ludzie, którzy podążają ścieżką cichej, milczącej medytacji. Siadamy wspólnie w milczeniu, trochę rozmawiamy. Czasami gromadzimy się na kilkudniowych rekolekcjach, czasami na ognisku albo na wyjeździe w góry. Od kilkunastu lat nie mamy żadnego duszpasterza. Wspieramy się wzajemnie, bywa że słowem, ale przede wszystkim samą obecnością.

Niemal wszystkie opowieści bliższych i dalszych znajomych, które mógłbym nazwać „opowieściami o kościelnym podążaniu razem", dotyczą ruchów w rodzaju Chemin Neuf, wspólnot medytacyjnych czy charyzmatycznych albo środowisk takich jak Kluby „Tygodnika Powszechnego". Wśród tych opowieści prawie nie ma takich, które by mówiły o zwyczajnej parafii. A to bardzo nieliczne parafialne „podążanie razem" zawiera niepokojący motyw: staje się możliwe dzięki konkretnemu księdzu, który potrafi słuchać, stwarzać pole do działania, dzielić się odpowiedzialnością. Zmiana proboszcza na pozbawionego tych zalet kończy „wspólną drogę".

„Podążanie razem", które znam, ma miejsce głównie na obrzeżach oficjalnych, instytucjonalnych struktur Kościoła, albo raczej w przestrzeni, którą nieprecyzyjność prawa pozostawia „pomiędzy" tymi strukturami.

Brak

Myślę, że to nie przypadek. Kościelne struktury określane prawem kanonicznym w swej obecnej postaci są raczej przeszkodą w realizacji synodalności. Podobnie – powiązana z prawem teologia. A także wykształcona na ich podstawie mentalność (zarówno księży i biskupów, jak i wielu wiernych).

Weźmy prawnokanoniczny przykład, Kanon 212, który często jest przywoływany jako norma aktywnej współpracy świeckich z hierarchią „wewnątrz" kościelnej przestrzeni: „§ 1. To, co święci pasterze, jako reprezentanci Chrystusa, wyjaśniają jako nauczyciele wiary albo postanawiają jako kierujący Kościołem, wierni, świadomi własnej odpowiedzialności, obowiązani są wypełniać z chrześcijańskim posłuszeństwem. § 2. Wierni mają prawo, by przedstawiać pasterzom Kościoła swoje potrzeby, zwłaszcza duchowe, jak również swoje życzenia. § 3. Stosownie do posiadanej wiedzy, kompetencji i zdolności, jakie posiadają, przysługuje im prawo, a niekiedy nawet obowiązek wyjawiania swojego zdania świętym pasterzom w sprawach dotyczących dobra Kościoła, oraz – zachowując nienaruszalność wiary i obyczajów, szacunek wobec pasterzy, biorąc pod uwagę wspólny pożytek i godność osoby – podawania go do wiadomości innym wiernym".

Już sam język tego tekstu podkreśla dystans pomiędzy dwiema grupami katolików. Są pasterze i są wierni. Tylko pasterzy kanon określa jako „świętych" (i raczej nie w sensie moralnym, a zatem umieszczając ich w sferze *sacrum*, rozumianej jako „to, co wydzielone ze zwykłej rzeczywistości"). Wierni są winni pasterzom (świętym) posłuszeństwo. Mają co prawda – dopuszcza kanon – prawo (a niekiedy obowiązek) wyjawiać im swoje zdanie albo potrzeby, a nawet (*sic!*) – podawać je do wiadomości innym wiernym. Ale pod wieloma warunkami – wśród których prawodawca nie omieszkał wymienić szacunku wobec pasterzy.

Nie chodzi oczywiście o to, że szacunek jest czymś negatywnym. Przeciwnie. Ale czy jest w kanonicznym kodeksie zapis, który mówiłby, iż pasterze winni są szacunek „świętym wiernym"? Problem nie w szacunku, lecz w całkowitym braku symetrii, w tym, że relacje opisywane w cytowanym kanonie KPK (i jemu podobnych) mają charakter „stromo" pochyły – a dwie strony tych relacji znajdują się w zupełnie różnych sferach.

Tak skonstruowane teologia i prawo wyrażają i kształtują mentalność – i to na bardzo głębokim poziomie. Ujawnia się to nawet w przygotowawczym dokumencie o synodalności. Jego autorzy na poziomie deklaracji (i zapewne swych intencji) chcą przezwyciężyć klerykalizm panujący w Kościele. Sami jednak nie przestają używać metaforyki, która klerykalizację wspiera – powtarzają narrację o pasterzach i trzodzie.

Metafory oddziałują przez swoją pierwszoplanową, „namacalną" treść. W przypadku obrazu pasterzy i trzody treść ta wprowadza radykalny – bo międzygatunkowy! – podział pomiędzy obecnymi w nim podmiotami. Niezależnie od intencji tych, którzy używają tej metafory, dzieli ona chrześcijan na dwie bardzo odległe kategorie ludzi. Nic dziwnego, że ↦

↦ trudno znaleźć miejsca, gdy naprawdę podążają oni razem.

Przezwyciężyć podział

Nie jest jasne, na ile autorzy synodalnego dokumentu są świadomi powyższego znaczenia użytej metafory – nie jest też jasne, jakie jest ich teologiczne stanowisko w tej kwestii. Przywołując opisaną w Ewangeliach sytuację tworzoną przez nauczanie i działanie Jezusa, podkreślają, że bierze w niej udział kilka podmiotów działania: wskazują na Jego samego, tłum, który go otacza, i na apostołów wybranych przez Niego. Nie wiadomo jednak, kogo w tym obrazie mają reprezentować apostołowie, a kogo – tłum.

Najbardziej rozpowszechniona w teologii katolickiej interpretacja w tych pierwszych widzi obraz biskupów – to oni mają być następcami apostołów. Tłum reprezentuje w tym odczytaniu pozostałych wiernych.

Obraz ten można jednak odczytać inaczej. Wielu biblistów uważa, że ustanowienie przez Jezusa kręgu Dwunastu było prorockim gestem mającym symbolizować mesjańskie odnowienie Izraela. „Idealny" Izrael z czasu swoich początków liczył bowiem dwanaście pokoleń, pochodzących od dwunastu synów patriarchy Jakuba. W czasach Jezusa ta struktura była już tylko mityczną przeszłością. Ustanowienie kręgu Dwunastu znaczyło zatem: oto będzie znowu jak dawniej, jak przy narodzinach Bożego ludu.

W tej perspektywie nie ma sensu myśleć o biskupach jako o następcach dwunastu apostołów. Spadkobiercami – a właściwie: potomkami – kręgu Dwunastu są wszyscy członkowie mesjańskiego ludu. W tej perspektywie wśród uczniów Jezusa nie powinno być specjalnej, szczególnie wyróżnionej grupy. Jak On sam mówił: „Otóż wy nie pozwalajcie nazywać się Rabbi, albowiem jeden jest wasz Nauczyciel, a wy wszyscy braćmi jesteście. Nikogo też na ziemi nie nazywajcie waszym ojcem: jeden bowiem jest Ojciec wasz, Ten w niebie. Nie chciejcie również, żeby was nazywano mistrzami, bo jeden jest tylko wasz Mistrz, Chrystus" (Mt 23, 8-10).

Gdybym miał więc odpowiedzieć na drugą część najważniejszego pytania synodu i określić, „do podjęcia jakich kroków zaprasza nas Duch Święty, abyśmy wzrastali w naszym »podążaniu razem«", powiedziałbym: do przezwyciężenia tego nieewangelicznego, acz głęboko w katolickiej tradycji zakorzenionego podziału na hierarchię (ojców, mistrzów, nauczycieli) i całą resztę ludu Bożego.

Kościół bez podziału

Chodzi o przezwyciężenie na poziomie mentalnym – wyzwolenie się z myślenia, iż wśród chrześcijan są jacyś „święci pasterze", bardziej przynależni sferze *sacrum*, bliżsi Bogu i pośredniczący w kontakcie zwykłych ludzi z Nim, posiadający jakiś szczególny dostęp do boskiej prawdy, jako jedyni mogący autorytatywnie pouczać resztę wspólnoty, rządzić nią i prowadzić.

Przezwyciężenie na poziomie mentalnym to oczywiście zmiana teologicznej siatki pojęć: np. zaprzestanie używania słów „duszpasterz", „hierarchia", rezygnacja z narracji o pasterzach i trzodzie, duchownych i świeckich – na rzecz choćby obecnego w listach św. Pawła pluralistycznego modelu wymieniającego wiele charyzmatów i posług.

Przezwyciężenie tego podziału wiązałoby się z radykalną zmianą stylu funkcjonowania kościelnych wspólnot – nie byłyby to więcej duszpasterstwa prowadzone przez jedną osobę, ale grupy ludzi wspólnie odpowiedzialnych za siebie nawzajem.

Przezwyciężenie podziału wiązałoby się jednak również z konkretnymi zmianami strukturalnymi. Na przykład ze zmianą kościelnego prawa we wszystkich tych miejscach, w których oddaje ono decyzyjność w sprawach wspólnoty jednemu człowiekowi.

Synodalny Kościół bez podziałów nie będzie, oczywiście, możliwy, także bez bardzo głębokiej zmiany katolickiej formacji. Od przekazu formuł wiary, przykazań, pacierza znacznie ważniejsza jest nauka słuchania. Słuchania ciszy i hałasu własnego serca, wypowiedzianych i niewypowiedzianych pragnień drugiego człowieka, śpiewu kosa, szumu deszczu, milczenia gwiazd... Bo pierwsze jest, jak mówi Pismo: „słuchaj". Cała reszta, nawet: „będziesz miłował", przychodzi potem.

©℗ PIOTR SIKORA

Twarzą w twarz

KAROL WILCZYŃSKI

Kościół katolicki i wspólnoty religijne zareagowały na kryzys na granicy z Białorusią. Choć nie wszystkie parafie na miejscu włączyły się w pomoc.

Interwencja aktywistów Grupy Granica zaczęła się tym razem w środku dnia, kilka godzin po tym, gdy po białoruskiej stronie otworzono „bramki" – miniobozy, w których przetrzymuje się osoby usiłujące przekroczyć granicę z Polską i Unią Europejską. Ludzie, których spotykamy – iraccy Kurdowie, sześć osób, dwie pary, każda z dzieckiem (8 i 2 lata) – zostali już raz wypchnięci przez polskie służby z powrotem do Białorusi. Spotykamy ich mniej więcej kilometr od lokalnego kościółka, ok. 9 kilometrów od granicy.

Po przekazaniu pomocy (żywności, ciepłej odzieży i obuwia, powerbanków i koców termicznych) przekonuję wolontariuszy, by zawitać do plebanii: „Zapytajmy księdza, jak pomagają".

Drzwi otwiera mężczyzna w średnim wieku. Ksiądz proboszcz, jak się po chwili okazuje, twierdzi, że na terenie jego parafii nie dzieje się zbyt wiele. – Oni się tutaj nie pojawiają, może bardziej w lasach w rejonie Białowieży. Nie tutaj.

Pytam o paczki rozdane niedawno przez Caritas Polska (tysiąc pakietów z wodą, batonami energetycznymi, urządzeniami do ogrzewania rąk i kocami termicznymi). – Tak, mam je tutaj. Leżą na plebanii, ale nikomu nie jest to potrzebne, nie korzystamy z nich.

Od razu też dodaje: – Wie pan, ja nie mogę z panem rozmawiać na ten temat, mieliśmy zakaz z kurii. Proszę dzwonić do rzecznika.

Słowa o zakazie pojawiały się często w rozmowach z księżmi, niewielu z nich chciało rozmawiać – nawet anonimowo. Sprawę rozwiązał jednak szybko

telefon do rzecznika kurii, ks. Andrzeja Dębskiego, który zezwolił księżom na rozmowę dla „TP”.

Pakiety kościelne

Podczas wizyty w dwóch parafiach, Michałowie i Krynkach, księża potwierdzili, że otrzymali pakiety Caritasu i wspierają ludzi na granicy. Tutaj nie leżą one w zapomnianym magazynie plebanii, ale jeżdżą razem z księżmi i parafianami gotowymi pomóc w potrzebie. Pakiety dotarły zarówno do przygranicznych parafii, jak i ośrodków dla cudzoziemców.

– Pomoc Kościoła od początku kryzysu ma konkretny wymiar, to nie są deklaracje – zaznacza o. Cordian Szwarc OFM, zastępca dyrektora Caritas Polska. – To są transporty żywności, odzieży, zabawek, które kierujemy do ośrodków, gdzie trafiają osoby przekraczające polską granicę. Ostatni taki transport, zawierający m.in. koce, ręczniki, artykuły spożywcze i środki czystości, dotarł 11 października do Podlaskiego Oddziału Straży Granicznej w Białymstoku. Pomoc płynie też od parafian, oddolnie – mówi franciszkanin. – Pomagamy każdemu, bez względu na kolor skóry i narodowość. I nie stoi to w sprzeczności z koniecznością ochrony granic – zaznacza.

Potwierdza to proboszcz z Krynek, ksiądz dziekan Marek Wiśniewski: – Nasze parafie przygraniczne przygotowują cały czas pomoc jak dla podróżnych, w imię miłości chrześcijańskiej. W ogłoszeniach parafialnych regularnie, nie tylko u mnie, pojawiały się informacje o tym, by pomagać tym ludziom. Skoro są po naszej stronie granicy, to trzeba pomóc. Mamy pakiety od Caritas, sam dodatkowo wożę kilka sztuk konserw w samochodzie.

Ks. Marek opowiada o tym, że sytuacja nieco się zmieniła. W sierpniu czy wrześniu zdarzało się, że migranci docierali do centrum wsi, wchodzili do sklepu, pukali do domów. – W Nowym Dworze przyszli do kościoła. Szukali pomocy, nic złego nie robili. Byli z nami na mszy, trzy osoby. Takie sytuacje przypominają, że człowiek nie może być kartą przetargową w rozgrywkach politycznych – mówi.

Proboszcz z Krynek jako dziekan ma dostęp do informacji z różnych parafii. Wie, jak wiele pomocy niosą ludzie. Choć – podobnie jak on – czują lęk przed obcymi i przed zatrzymywaniem się w lesie. – Parafianie specjalnie jadą do sklepu, robią zakupy: jedzenie, picie, czasem odzież – mówi.

CARITAS ARCHIDIECEZJI BIAŁOSTOCKIEJ X2

Metropolita białostocki abp Józef Guzdek, były biskup polowy WP (w generalskim mundurze polowym), z proboszczami przygranicznych parafii – pierwszy z prawej ks. Marek Wiśniewski. Poniżej: zastępca dyrektora Caritas Polska o. Cordian Szwarc z wolontariuszami, Michałowo, 4 października 2021 r.

Na grzyby

Wielu mieszkańców strefy objętej stanem wyjątkowym i Podlasia, z którymi rozmawiałem, twierdzi, że księża robią za mało. – Cóż, spodziewałam się więcej empatii i normalnej pomocy, a nie odczytania listu episkopatu. Przecież trzeba pomóc. Tak naprawdę na tym polega bycie duszpasterzem – mówi Krystyna, organizująca cotygodniowe wyjścia „na grzyby” w powiecie hajnowskim.

W akcji bierze co weekend udział kilkadziesiąt osób, w tym przedstawiciele lokalnych stowarzyszeń i pracownicy instytucji publicznych. Nie chcą jednak rozgłosu. Motywacje są różne – Krystynę pcha do tego jej wiara, dlatego ma za złe księżom brak pomocy. – Mają salki przy każdej parafii, które mogliby nam udostępnić. Mogliby wyjść z nami, po lub przed mszą. Ale, i to chyba najważniejsze, mogliby wytłumaczyć parafianom, że na granicy umierają i cierpią ludzie. Nie Syryjczycy, nie Afgańczycy, nie Irakijczycy, ale ludzie. Tacy sami jak my. Takie dzieci jak nasze, tylko nasze bawią się tysiącem zabawek, siedzą w ciepłych mieszkaniach, a tym z lasów grozi śmierć.

Z kolei Marianna, organizująca pomoc w północnej części województwa, stwierdza, że na księży nie ma co liczyć: – Nie mam złudzeń, że kiedykolwiek wesprą nas w akcji.

Ks. Marek Wiśniewski mówi jednak, że wielu księży – podobnie jak on – pomaga. – Nie wie lewa ręka, co czyn prawa. ↦

↦ Nie chcemy rozgłosu. Teraz przechodzimy przez egzamin z dekalogu, z tego, co mówił Chrystus i co sami głosiliśmy. Nie zapominajmy, że Białystok to miasto miłosierdzia, miasto ks. Michała Sopoćki, spowiednika siostry Faustyny. Można zanosić modlitwy, spędzać godziny na klęczkach, ale czyny są najważniejsze. I jako katolicy powinniśmy mieć zakodowane, że trzeba pomagać innym. Ważną inspiracją jest to, co robi papież Franciszek. Tu nie ma podziału na katolików, muzułmanów czy innych. Jeśli potrzebujący się pojawią, to im pomożemy. Dziś w nocy było przecież minus osiem stopni.

Teraz przechodzimy egzamin z dekalogu

i z tego, co sami głosiliśmy w Kościele – mówi jeden z proboszczów parafii nadgranicznych.

Pytanie o ciała

W działania na granicy włączają się różne wspólnoty religijne: tereny objęte stanem wyjątkowym w obrębie obu województw – podlaskiego i lubelskiego – to jedne z najbardziej różnorodnych wyznaniowo regionów Polski. Mieszkają tu Litwini, Białorusini, Tatarzy. Prawosławni stanowią dużą część mieszkańców; w niektórych gminach – zdecydowaną większość. Są też wyznawcy islamu.

Wspólnota muzułmańska w Bohonikach zbiera pomoc w Domu Pielgrzyma – pampersy, ciastka, konserwy – i rozdaje je napotkanym osobom. Maciej Szczęsnowicz, przewodniczący gminy, podkreśla, że nie wyobraża sobie innej reakcji: – Tu nie ma znaczenia, jakiego wyznania czy pochodzenia są ci ludzie. Każda religia, nie tylko islam, nakazuje pomoc potrzebującym.

O pomocy płynącej z Bohonik media poinformowały jednak w innym kontekście. Po odnalezieniu 19 września trzech ciał osób zmarłych na granicy imam Ali Bazarewicz wysłał zapytanie do prokuratury o możliwość pochówku na mizarze, cmentarzu muzułmańskim. – Przecież to ludzie tacy sami jak my. Nie wyrzucimy ich ciał byle gdzie. Pochowamy ich tak, jak należy – mówi Szczęsnowicz i dodaje: – W islamie pochówek to jedna z kluczowych spraw.

Na razie jednak nie wiadomo, co stało się z ciałami. W tej sprawie zapytanie o informację publiczną do policji i prokuratury skierowało stowarzyszenie Watchdog Polska.

Szczęsnowicz obawia się, podobnie jak współpracujący z nim ks. Marek Wiśniewski (na terenie parafii Krynki leży inna znana wieś tatarska – Kruszyniany), że wraz z pogarszającymi się warunkami pogodowymi pogrzebów będzie więcej. – Zima idzie, tu zawsze jest ciężko, mroźnie i śnieżno – mówi ks. Marek.

Pomagają jednak nie tylko miejscowe wspólnoty religijne. Oprócz ogólnopolskiego wsparcia Caritas Polska czy np. wizyty ks. Wojciecha Lemańskiego i bp. Krzysztofa Zadarki nieopodal Usnarza Górnego jeszcze w sierpniu, na pogranicze dociera pomoc luteran. Ich wspólnoty (historycznie luterańska obecność była na Podlasiu znacznie większa, np. w Michałowie, które stało się głośne za sprawą dzieci imigrantów) w wielu parafiach na terenie Polski zorganizowały zbiórki na pomoc uchodźcom i migrantom. Konsystorz Kościoła, jak i jego lider, bp Jerzy Samiec, kilkakrotnie już apelowali o pomoc i doprowadzenie do zmiany sytuacji: „Szanując i w pełni aprobując obowiązujące na terenie Rzeczypospolitej Polskiej regulacje prawne, apelujemy o podjęcie zwyczajnych i nadzwyczajnych działań, mających na celu ochronę życia ludzkiego – widzialnego, namacalnego i proszącego o pomoc” – czytamy.

Duży rozgłos zyskała akcja maleńkiej parafii w Bytomiu-Miechowicach. – 3 października obchodziliśmy Dziękczynne Święto Żniw. W przeddzień, jak co roku, prowadziłam z naszymi parafialnymi dziećmi warsztaty pieczenia chleba. Jeden zawsze trafia na ołtarz, a finalnie wszystkie zostają zjedzone przy kawie i herbacie po nabożeństwie – mówi Monika Cieślar, nauczycielka religii, pracownik parafii ewangelicko-augsburskiej w Bytomiu-Miechowicach. – Na plebanii napięcie rosło, bo śledziliśmy informacje o sytuacji na granicy. Nie mogliśmy tak po prostu świętować, mówić o konieczności dzielenia się chlebem z bliźnim, mając świadomość, że jakaś kobieta, mężczyzna, dziecko tam teraz umiera z głodu.

Po Święcie Żniw sprawy potoczyły się szybko. Rada parafialna razem z proboszczem wystosowała list do premiera Morawieckiego z prośbą, by rząd dostarczył ludziom uwięzionym w pasie przygranicznym niezbędne środki do życia oraz umożliwił złożenie wniosku o azyl. – Zadeklarowaliśmy również przyjęcie jednej rodziny na czas oczekiwania na decyzję – dodaje.

Monika Cieślar wierzy, podobnie jak wielu innych luteran, że gdyby więcej ludzi czyniło dobro, to może udałoby się rozwiązać i większe problemy. – Myślę, że ludzie po prostu są nieświadomi, nie mają podstawowej wiedzy na temat procesów migracyjnych. Sama dopiero otwieram się na te tematy. Wcześniej nie czułam, że to mnie dotyczy – wyjaśnia.

Do parafii w Bytomiu-Miechowicach po publikacji apelu zaczęły docierać oferty pomocy, paczki na zbiórkę latarek czołowych i powerbanków oraz liczne wyrazy wsparcia.

Jak przyznaje Monika Cieślar, jako córka pogranicznika miała też inną motywację, by zaangażować się w działania. Całe życie obserwowała, z jakimi doświadczeniami i emocjami mierzą się ludzie, którzy wybrali taki zawód. – Wyobraziłam sobie naszych funkcjonariuszy, którzy po służbie na granicy wracają do swoich domów, rodzin, dzieci. Pozostawieni sami sobie, bez wsparcia. Nie uwierzę, że nie przeżywają traumy. Oni i ich najbliżsi. Boję się o te rodziny – mówi Cieślar.

W oczach kobiet

Czy to może się zmienić? Ks. Marek Wiśniewski przyznaje, że czasem zdarza mu się spotykać osoby wystraszone czy niechętne. – Owszem, może się komuś nie podobać, że pomagamy. Może jest wielu takich, którzy boją się pomagać i woleliby, żeby tych ludzi tu nie było. I ja to rozumiem. Ale oni tutaj są.

Ks. Marek dodaje, że spotkanie tych ludzi twarzą w twarz dużo zmienia: – Podejrzewam, że czują się jak zwierzęta, które muszą się ukrywać przed drapieżnikami. Nie zapomnę wzroku kobiet, którym przekazałem pakiet. Miały przerażenie w oczach. Ogromnie mną to wstrząsnęło, przecież to nie są przestępcy, ale potrzebujący pomocy!

© KAROL WILCZYŃSKI

ZUZANNA

Radzik:
Nie tak miało być

Taka ładna sobota to była. A już najbardziej podobało mi się, gdy na trasie z zakupów do domu trafiłam na księgarnię. Żebym to raz manewrowała w Warszawie z koszem warzyw między półkami książek... Tamta księgarnia miała nawet specjalny stolik, ołtarzyk niemal, z feministyczną literaturą. Tu, w Brukseli, jest inaczej – dopiero się uczę poruszać między flamandzkim a francuskim i znajdować coś dla siebie. A ta sobota, słoneczna, ale z ponurymi wieściami z polsko-białoruskiej granicy, wołała o odrobinę zapomnienia. A więc książka najlepiej z niczym niezwiązana, bezwiednie wzięta z półki, oby trafnie wylosowana. I tak, rzuciwszy na podłogę kosz zakupów, utonęłam w kanapie z tą przypadkową książką.

Bingo. Zwabiła mnie krzykliwie żółta okładka, przekonały zapewnienia o nagrodach (dziś tak bardzo nie chcę się rozczarować). Jennifer Nansubuga Makumbi napisała powieść o Ugandzie sprzed czterdziestu i osiemdziesięciu lat, która wydawała się wystarczająco odległa, by spełnić zadanie wysłania mnie gdzieś daleko. Przez tę rodzinną sagę prowadzą nas kobiety – Kirabo i jej dwie skłócone babki. Zarówno o latach 30., jak i 70. XX w. słyszymy z perspektywy ich młodości, wyborów, które były przed nimi otwarte, i tych niemożliwych, klanowego systemu, czasem opresyjnej, a czasem wspierającej wsi. Bohaterki próbują emancypować się na tyle, na ile się da. W tle zaś snują się ludowe opowieści o kobietach i mężczyznach, mające – jak tłumaczy Kirabo babka Nsuuta – wielką siłę cementowania systemu, w którym tylko mężczyźni dziedziczą, dzieci są ich własnością, a kobiety powinny najlepiej zajmować się wczesnym zamążpójściem. Te opowieści są takie, że wiecie jakie. Bo sam Jacek Pulikowski, specjalista naszego katolickiego klanu od bajek i legend o kobietach i mężczyznach, opowiada podobne.

Zatem obca geografia, której nie sprawdzam z mapą. Nieznane rośliny, nazwy jedzenia i ubrań, wrzucane tu i tam słówka z języka luganda. Słowem: ucieczka. Choć też nie do końca, bo w tle dyktatura Amina, wojna domowa. A i problemy kobiet brzmią znajomo.

„To był rytuał mężczyzn, robiony przez mężczyzn dla mężczyzn", pada w którymś momencie o pogrzebowych obrzędach. Powtarzam pod nosem to zgrabne zdanie, które przecież mogłoby opisać dużo więcej świata niż tamten klanowy obrzęd przekazania synowi dziedzictwa zmarłego ojca. Powtarzanie pod nosem działa teraz jak zaklęcie, bo rytuał mężczyzn robiony przez mężczyzn i dla mężczyzn materializuje się przede mną w postaci newsa z Polski niby, ale jakby z kulturowo obcej krainy. Zagraniczny serwis katolicki, za pośrednictwem nie mniej katolickiej agencji, donosi z katolickiego kraju: „Polscy biskupi katoliccy zawierzają naród św. Józefowi".

Czemu zwabił mnie ten tytuł? Czy ja wiem... Może to jednak dziwne zajęcie w czasie katastrofy humanitarnej, by zawierzać naród komukolwiek. Zwłaszcza że naród już został pozawierzany rozmaicie, obdarzony królem i królową, oraz, jak przypomina owa zagraniczna katolicka gazeta, w lipcu powierzony został również Najświętszemu Sercu Jezusa. I niezbyt mu to pomaga.

Czyżby biskupi chcieli podeprzeć czymś jego katolickość, wobec sekularyzacji, pustoszejących seminariów, a nade wszystko nieludzkich praktyk na omodlonych różańcem granicach? Zawsze uważałam, że św. Józef jest patronem sytuacji, w których mówimy: „nie tak miało być". W sumie się zgadza, bo nie tak miało być, nie takim państwem i społeczeństwem mieliśmy być, nie takimi chrześcijanami.

Pewnie na tej polskiej uroczystości byli jacyś wierni – na zdjęciach nie widać. Z prasy wiadomo, że był przewodniczący episkopatu i prymas z nuncjuszem, więc w Kaliszu odbyło się spotkanie na szczycie. Zapomniałabym: był także biskup pomocniczy kaliski, który jeszcze niedawno wymuszał na księżach podpisywanie lojalek wobec biskupa Janiaka. Czy był tam pokutnie? A gdzież, czytał list od papieża Franciszka, gratulującego zebranym inicjatywy. Rytuał mężczyzn, robiony przez mężczyzn dla mężczyzn. ©

TP

Nasz autor

JACEK TARAN

odebrał w plebiscycie Fantastyczne Zaskoczenia Roku 2020 nagrodę

za powieść młodzieżową „Biała Jaskółka"
w kategorii „najbardziej wciągająca fabuła".

Serdecznie Gratulujemy!

MIASTO ORWELLA

Niewiele pozostało dziś ze swobód obywatelskich w Hongkongu – miejscu, do którego kiedyś ciągnęli dysydenci z całej Azji.

PIOTR BERNARDYN Z TOKIO

Niezwykła wręcz skrupulatność w ich przeprowadzeniu kontrastowała z faktem, że nie były wolne ani demokratyczne: wrześniowe wybory do Komitetu Elekcyjnego w Hongkongu, który odgrywa kluczową rolę przy wyłanianiu składu lokalnego parlamentu i szefa miejscowej administracji.

Urny z głosami opróżniano więc w obecności mediów, a ich liczenie też miało publiczny charakter. Gdy pojawiły się wątpliwości, czy częściowe wyniki wpisano w odpowiednie rubryki, ogłoszenie rezultatów przesunięto na dzień następny. Przynajmniej od strony technicznej nikt – nawet zdławiona dziś demokratyczna opozycja – nie miał podstaw, by je kwestionować. Szefowa lokalnej administracji Carrie Lam z satysfakcją odnotowała 90-procentową frekwencję.

Wśród mieszkańców wszystko to nie budziło jednak emocji. Skład 1500-osobowego Komitetu pochodzi bowiem w większości z nominacji, a o pozostałe 364 miejsca walczyło zaledwie 412 kandydatów. Co więcej: liczbę uprawnionych do głosowania ograniczono do 4,8 tys. osób (czyli 0,6 proc. elektoratu), głównie ze wskazanych grup zawodowych. Cały rytuał niewiele miał wspólnego z wyborami.

Chyba nikt się nie zdziwił, gdy na koniec okazało się, że mandat uzyskał tylko jeden reprezentant opozycji, i to tej bardzo umiarkowanej.

Więcej policjantów niż wyborców

Zupełnie inny nastrój panował w Hongkongu jesienią 2019 r., gdy mieszkańcy mogli osobiście głosować – jak dziś wiemy, po raz ostatni.

Ówczesne wybory do rad miejskich – jedyne całkowicie wolne w 7-milionowym mieście, tej dawnej brytyjskiej kolonii, którą w 1997 r. Londyn oddał Pekinowi z nadzieją, iż uszanuje on autonomię Hongkongu (według zasady „jeden kraj, dwa systemy") – przybrały formę plebiscytu. Oddając głos, mieszkańcy opowiadali się w gruncie rzeczy „za" lub „przeciw" demokratycznym protestom, które wstrząsały wtedy miastem. Obóz antyrządowy odniósł w nich zdecydowane zwycięstwo, uzyskując 388 z 452 mandatów.

Wynik ten postawił na nogi władze Chin. Wszak jesienią 2020 r. Hongkończycy mieli wybierać swoich parlamentarzystów, a ewentualne zwycięstwo opozycji umożliwiłoby jej blokowanie wytycznych z Pekinu. Wybory przełożono więc na listopad 2021 r., oficjalnie z powodu pandemii. W międzyczasie Pekin przyjął nową ordynację, która ma gwarantować, że odtąd na każdym szczeblu władz Hongkongu będą zasiadać tylko osoby lojalne (w języku Pekinu: „patrioci").

Lokalny parlament, dotąd 70-osobowy, powiększono o 20 miejsc, ograniczając jednak liczbę mandatów wyłanianych w wolnych wyborach z połowy do dwudziestu; reszta zostanie obsadzona przez lojalistów. Ale również i ta dwudziestka nie będzie przypadkowa: ludzi, którzy wcześniej narazili się chińskim władzom, pozbawiono szansy startu. Zadbają o to procedury prześwietlania życiorysów kandydatów pod kątem ich „patriotyzmu" (czytaj: stosunku do ChRL). Tym samym aktywni – czasem od dekad – działacze opozycyjni, nawet ci, którzy uniknęli dotąd więzienia, zostali trwale wyłączeni z życia politycznego miasta.

O tym, jak absurdalne stało się ono w ostatnim czasie, świadczy choćby fakt, że zmobilizowane na dzień wyborów do Komitetu Elekcyjnego sześciotysięczne oddziały policji były liczniejsze niż grono uprawnionych do tego głosowania.

Kilkuset emigrantów dziennie

Tylko baczny obserwator dostrzeże dziś w Hongkongu ślady demonstracji sprzed dwóch lat: nieodnowione elewacje w miejscach, gdzie przyklejone były antyrządowe plakaty, zalane betonem chodniki (tam, gdzie wyrywano kostkę brukową, aby budować barykady lub rzucać nią w policję), ogrodzenia wokół niektórych urzędów.

LAM YIK / REUTERS / FORUM

Ponieważ władze Hongkongu zakazały tradycyjnej uroczystości w rocznicę masakry na pekińskim placu Tiananmen, mieszkańcy przyszli do Parku Wiktorii z włączonymi światełkami smartfonów zamiast świeczek. 4 czerwca 2021 r.

Jak całe Chiny, na czas pandemii także Hongkong odciął się od świata. Wpuszcza się tylko powracających mieszkańców i wyjątkowo biznesmenów. Ruch na lotnisku jest więc niewielki. Można jednak zauważyć, że liczba wylatujących góruje nad przylatującymi – średnio o kilkaset osób dziennie. To emigranci: w ciągu roku miasto opuściło ok. 90 tys. Hongkończyków, kierując się głównie do Wielkiej Brytanii, a także do Kanady, Australii i na Tajwan. Władze im tego nie ułatwiają, grożąc m.in. konfiskatą oszczędności emerytalnych.

Przyczyną, dla której tak wielu ludzi opuszcza Hongkong, są przede wszystkim represje, trwające w najlepsze od 30 czerwca 2020 r. – czyli od dnia, gdy weszła w życie tzw. ustawa o bezpieczeństwie narodowym, narzucona miastu przez Pekin. Za działalność uznaną za terrorystyczną, wywrotową i secesjonistyczną, a także za kontakty z obcymi siłami na szkodę państwa – przewidziano nawet karę dożywocia. Zapisy sformułowano tak szeroko, że ukarać można niemal każdego, kto narazi się władzom. Strach w mieście budzi też możliwość przeniesienia „trudnych" do osądzenia przypadków na teren komunistycznych Chin.

Poezja na sali sądowej

Jak dotąd pod zarzutem złamania ustawy zatrzymano ponad 150 osób. Aresztowanym odmawia się często wyjścia za kaucją, a sprawy sądowe toczą się nie przed ławą przysięgłych (jak każe tradycja Hongkongu, nawiązująca do rozwiązań anglosaskich), lecz wyznaczonym odgórnie składem sędziowskim.

Pierwszy wyrok zapadł 30 lipca tego roku. Skazany to 24-letni barman Tong Ying-kit, który tuż po tym, jak ustawa o bezpieczeństwie weszła w życie, wjechał motocyklem w szpaler policji. Uznano to za akt terroryzmu. Większą uwagę przykuł jednak drugi zarzut: „wzniecanie secesji". Tong miał bowiem przyczepioną do pojazdu czarną flagę z hasłem, które zwykle tłumaczy się jako „Wyzwolenie Hongkongu. Rewolucja naszych czasów".

Sala sądowa stała się miejscem wymiany opinii między naukowcami, którzy poddawali egzegezie znaczenie hasła. Odwołując się do klasycznej poezji chińskiej, świadkowie obrony wskazywali na wieloznaczność pierwszego członu, który nie musi oznaczać oderwania miasta od Chin, lecz jego odnowę czy powrót do korzeni. Sąd uznał inaczej: uznany winnym obu zarzutów, Tong dostał 10 lat więzienia.

Wyrok ma znaczenie precedensowe, gdyż po 2019 r. hasło to stanowiło emblemat ruchu protestu. Było wszechobecne – na transparentach, koszulkach, w internecie. Używały go setki tysięcy ludzi. Teoretycznie ich wszystkich można by pociągnąć dziś do odpowiedzialności. ↦

Czyszczenie przedpola

Najgłośniejsze nazwiska z szeregów opozycji przebywają dziś w więzieniu, na warunkowym zwolnieniu albo na emigracji. Po ich uciszeniu władze przystąpiły do demontażu kolejnych segmentów społeczeństwa obywatelskiego.

Na pierwszy ogień poszły media. Gdy okazało się, że wcześniejsze zatrzymanie Jimmiego Laia, właściciela głównej opozycyjnej gazety „Apple Daily", nie zmieniło linii pisma, 24 czerwca tego roku zostało ono zlikwidowane. Prokuratura uznała, że zachęcanie w artykułach do wprowadzenia przez Zachód sankcji na władze Hongkongu narusza ustawę o bezpieczeństwie. Aresztowano członków zarządu wydawnictwa, a w lipcu także byłego już redaktora naczelnego (na lotnisku).

Do porządku przywołano też publiczne radio i telewizję RTHK (swój program radiowy stacja nadaje od 1928 r.). Stanowisko RTHK wobec protestów było wyważone, oddawano głos obu stronom konfliktu. Zmiana przyszła wraz z nowym szefem Patrickiem Li, który zlikwidował szereg programów publicystycznych, pozbywając się też niewygodnych dziennikarzy. Z internetu usunięto wszystkie starsze niż rok zapisy wideo, a wśród nich dyskusje, gdzie opozycjoniści debatowali z przedstawicielami władz jak równy z równym.

Potem czas przyszedł na organizacje społeczne związane z opozycją. Aresztowano przywódców stowarzyszenia upamiętniającego masakrę na pekińskim placu Tiananmen w 1989 r. Rozwiązać musiała się organizacja stojąca za protestami z 2019 r. Podobny los spotkał grupę wspierającą materialnie opozycjonistów. Zarzuty? Dotyczyły głównie otrzymywania wsparcia z zagranicy. Na włosku zawisła działalność szacownego, liczącego 114 lat Towarzystwa Prawników Hongkongu – administracja zarzuciła mu zaangażowanie polityczne. Efekt: całe nowo wybrane szefostwo Towarzystwa uchodzi za ludzi Pekinu.

W następnej kolejności na celowniku znalazły się adwokatura i główna organizacja dziennikarska. A to zapewne nie koniec.

Leczenie młodych umysłów

Sekwencja zdarzeń jest w takich przypadkach podobna. Najpierw sygnał do ataku przychodzi z Chin, głównie przez reżimowe media – jak dziennik „People's Daily" (organ partii komunistycznej) czy agencję prasową Xinhua. Temat podejmują lokalne gazety w rodzaju „Ta Kung Pao", które rozpętują nagonkę pod hasłem zagrożenia bezpieczeństwa narodowego. Potem głos zabiera ktoś z władz Hongkongu, gdzie poza szefową administracji główne stanowiska zajmują dziś byli policjanci. W rezultacie krnąbrne stowarzyszenie albo zostaje złamane i okazuje posłuszeństwo, albo kończy działalność.

> W realiach Hongkongu takie książki jak „Rok 1984" czy „Folwark zwierzęcy" **mogą okazać się nowymi poradnikami przetrwania.**

To drugie spotkało niedawno organizację, która skupiała 90 proc. nauczycieli z Hongkongu: została rozwiązana. Wcześniej fakt, iż w protestach uczestniczyło wielu uczniów i studentów, komuniści z Pekinu (w tym osobiście prezydent Xi Jinping) uznali za klęskę systemu edukacji, który młodym Hongkończykom nie potrafi wpoić „miłości do ojczyzny". Xinhua porównywała organizację nauczycielską do „raka", który wymaga usunięcia, a szefowa administracji zarzucała uczelniom „zanieczyszczanie" młodych umysłów.

Teraz to się zmieni. W szkołach pojawiła się 48-tomowa lektura „Mój dom jest w Chinach". Przyswajanie wiedzy o bezpieczeństwie narodowym zaczyna się już w przedszkolu, a kończy na uczelni (zaliczenie tego przedmiotu to warunek uzyskania dyplomu).

Strach padł nie tylko na nauczycieli, ale też wykładowców i naukowców. I nie tylko dlatego, że poruszanie niektórych tematów na zajęciach czy w badaniach grozi więzieniem. Uruchomiona przez władze tzw. gorąca linia wprost zachęca do informowania o przypadkach łamania nowej ustawy. Wśród tysięcy zgłoszeń były już donosy studentów na wykładowców.

Właściwe rzeczy dać słowo

Represje coraz skuteczniej zamazują różnice między Hongkongiem a resztą Chin, choć formalnie do 2047 r. ma on gwarancję autonomii. Co znamienne, dzieje się to przy zachowaniu pozorów, iż wyjątkowy status miasta pozostaje nienaruszony.

Wsłuchajmy się w język, którym władze komunikują się ze społeczeństwem.

Co zrobiono z ordynacją? Została „doprowadzona do perfekcji". Likwidacja „Apple Daily"? Skutek „nadużywania wolności słowa". Brak debaty w parlamencie? Ależ debata jest, weźmy gorący spór o szkodliwości papierosów elektrycznych. A jak wytłumaczyć zakaz zgromadzeń powyżej czterech osób, rzekomo z powodu pandemii, przy jednoczesnym zachęcaniu, by tłumnie witać sportowców wracających z olimpiady? Na to Carrie Lam odpowie, że reguły dystansu społecznego „nie są ściśle oparte na nauce".

Gdyby takie odwracanie znaczenia słów nazwać orwelizmem – nawiązując do popularnej kiedyś w bloku wschodnim książki „Rok 1984" George'a Orwella – to z pewnością jest nim też przepisywanie na nowo historii. W Hongkongu dotyczy to wydarzeń odległych i najnowszych. Muzeum historii miasta minimalizuje więc rolę Wielkiej Brytanii w jego rozwoju, uwypuklając cierpienia zadane Chinom przez kolonializm. Natomiast protesty, gdy na ulice wychodziły dwa miliony ludzi, władze prezentują jako ruch inspirowany z zagranicy, nad którym kontrolę przejęła grupka ekstremistów.

Tworzenie nowej historii odbywa się też w internecie, a jego narzędziem jest choćby chińska wersja Wikipedii. Wedle reguł tej „społecznej encyklopedii" każdy użytkownik może zaproponować nowe hasło lub modyfikację już istniejącego, a za publikację odpowiadają administratorzy. Tych chińskojęzycznych jest obecnie 76, połowa wywodzi się z Chin, a reszta z Hongkongu, Tajwanu i Makau. Powinni oni decydować na zasadzie konsensusu, a gdy nie jest to możliwe, górę ma brać zdanie większości.

Liczy się też jednak rzetelność źródeł. Do niedawna, nawet jeśli podawanych źródeł informacji z Hongkongu było mniej, miały one większą wiarygodność niż np. komunistyczne gazety. Wraz ze zdławieniem w mieście wolnych mediów i wykasowaniem ich archiwów z internetu, pozycja hongkońskiej strony Wikipedii osłabła.

Walka trwa jednak nieustannie. Np. hasło dotyczące wydarzeń z 21 lipca 2019 r., gdy bandyci pobili demonstrantów i pasa-

żerów metra (zapewne z przyzwoleniem policji), było edytowane dotąd blisko 2 tysiące razy.

Co zostało z wolności

Takie przeciąganie liny to również sygnał, że postawy oporu wśród Hongkończyków są obecne, nawet jeśli coraz częściej muszą się one ograniczać do świata wirtualnego.

Sprzeciw przybiera różne formy. I tak, ponieważ zamknięcie „Apple Daily" czy niedawno Muzeum Tiananmen nie były zaskoczeniem, wcześniej od miesięcy tu i tam trwała mrówcza praca digitalizowania archiwów. Skopiowano też zapisy wideo RTHK. Zajmują się tym informatycy związani z ruchem demokratycznym, przenoszący dane na zagraniczne platformy internetowe. Choć czasem i to nie daje gwarancji: władzom udało się zmusić izraelską firmę Wix.com do usunięcia strony internetowej znanego dysydenta Nathana Law. Dopiero protest społeczności międzynarodowej doprowadził do cofnięcia tej decyzji.

Tak czy inaczej, demokraci stawiają na długą walkę, w której istotne znaczenie przypadnie rosnącej diasporze Hongkończyków. Kustosz Muzeum Tiananmen Chang Ping swoją działalność prowadzi dziś z Niemiec.

Ustawa o bezpieczeństwie wymusiła też zmianę form protestu na mniej dosłowne i coraz częściej odwołujące się – z bezsilności – do żartu lub groteski. Albo gestu: w miejsce zakazanej wieczornicy poświęconej Tiananmen, gdy wcześniej ludzie przychodzili ze świeczkami do Parku Wiktorii, teraz można jedynie przystanąć w okolicy z włączonym światełkiem smartfonu. Odważniejsi, ubrani na biało i w żółtych czapkach, przylegają do siebie, tworząc wielkich rozmiarów świecę. Formą protestu bywa też archiwalny już egzemplarz „Apple Daily" zostawiony w taksówce. Albo podane przez restauratora hasło WiFi, składające się z dat ważnych dla protestujących.

Tyle pozostało ze swobód obywatelskich miasta, które mimo braku pełnej demokracji uchodziło za oazę wolności w tej części świata, i do którego ciągnęli dysydenci z całej Azji.

Poradnik przetrwania

Na tle reszty Chin Hongkong wyróżniają wciąż niezawisłe sądownictwo i kultura prawna, odziedziczone po Anglikach. Ale i to się zmienia. Ze strony chińskich oficjeli dobiegają pomruki, że tutejsze sądownictwo „musi manifestować narodowy interes albo straci rację bytu". Prezes sądu apelacyjnego Andrew Cheung – chrześcijanin, który obejmując urząd składał przysięgę z Biblią w ręku – widziany był potem w Pekinie na celebracjach stulecia partii komunistycznej.

Intencje Pekinu wobec Hongkongu są coraz bardziej jasne. O sprzeciwie można już zapomnieć. Służy temu także przysięga lojalności wobec chińskiego państwa i administracji Hongkongu. Wymagana dziś od 170-tysięcznej kadry urzędniczej, w przyszłości obejmie zapewne także nauczycieli, a wedle niektórych doniesień cały sektor publiczny.

Równocześnie, wrastając w Chiny, Hongkong ma pozostać jednym z centrów światowych finansów. Kalkulacje Pekinu, że represje nie odstraszą zachodniego kapitału, wydają się na razie trafione. Nowa ustawa skłoniła redakcje kilku zachodnich gazet do opuszczenia miasta, a liczne firmy przyjęły pozycję wyczekującą. Inaczej zachodnie banki i fundusze inwestycyjne: w 2020 r. mimo pandemii zwiększyły wręcz nabór pracowników. Ich optymizm może wynikać z zapowiedzi dalszego obniżania podatków i przepisów umożliwiających anonimizację pochodzenia kapitału, co może uczynić z Hongkongu globalną pralnię pieniędzy.

Czy jednak wobec grożącego miastu eksodusu profesjonalistów, którzy nie zechcą posyłać dzieci do zindoktrynowanych szkół, będzie miał kto w tych korporacjach pracować? Władze otwarcie liczą na kadry z Chin – i wciąż jeszcze chyba na „milczącą większość" mieszkańców Hongkongu. Wszak miejsce to tradycyjnie uchodziło za pragmatyczne do bólu, oddane bez reszty zarabianiu pieniędzy.

Tylko skąd w takim razie rosnące zainteresowanie powieściami Orwella? Odnotowano je od końca 2020 r. (tutejsze biblioteki robią zestawienia najczęściej wypożyczanych książek). Raz, że Hongkończycy w ogóle mało czytają. Dwa, jeśli już, to dotąd wybierali poradniki: od feng shui po strategie inwestowania. Jednak dotąd nikt nie próbował podmienić im języka. W tym sensie „Rok 1984" czy „Folwark zwierzęcy" okazują się pragmatycznym wyborem – jako nowy poradnik przetrwania. © PIOTR BERNARDYN

Autor specjalizuje się w tematyce Azji Południowo-Wschodniej, mieszka w Japonii, stale współpracuje z „TP". W 2014 r. wydał książkę „Słońce jeszcze nie wzeszło. Tsunami. Fukushima". Kolejna jego książka „Hongkong. Powiedz, że kochasz Chiny" ukaże się na początku 2022 r. w wydawnictwie Czarne.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Lekcje czytania

Zapraszamy na warsztaty poświęcone twórczości **MARTINA POLLACKA**, w szczególności książce **„Topografia pamięci"** jego autorstwa, które poprowadzi Wojciech Bonowicz.

Warsztaty odbędą się online w **czwartek 28 października** o godz. 12.00 na profilu **FB LekcjeCzytania**.

Współorganizatorem wydarzenia jest Austriackie Forum Kultury w Warszawie.

MARCIN WICHA DLA „TP"

TYGODNIK POWSZECHNY · FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO · austriackie forum kultury waw · fanpay · /LekcjeCzytania

MARTIN DIVISEK / EPA / PAP

Plakat zwycięskiej koalicji Spolu; w środku Petr Fiala, zapewne przyszły premier Czech. Praga, 7 października 2021 r.

Czeska zmiana

PATRYCJA BUKALSKA

Scena polityczna w Pradze doświadcza wstrząsów. Nowy parlament i spodziewany rząd to tylko niektóre z nich.

PREZYDENT ZGODZIŁ SIĘ SPOTKAĆ Z LIDEREM koalicji, która wygrała wybory. W innych realiach taki komunikat byłby oczywistością, ale w Czechach okazuje się mieć wielką wagę – to sygnał, że kryzysu konstytucyjnego nie będzie.

Obawy takie pojawiły się, gdy dzień po wyborach prezydent Miloš Zeman trafił do szpitala i początkowo nie było wiadomo, czy będzie w stanie spotkać się z przywódcami partyjnymi i powierzyć któremuś z nich (i komu!) misję tworzenia rządu, a nawet czy jest przytomny i zdolny pełnić obowiązki. Teraz rysuje się powyborczy harmonogram: wprawdzie nie wiadomo, kiedy Zeman spotka się z Petrem Fialą, liderem zwycięskiej centroprawicowej koalicji Spolu, ale jest przynajmniej data pierwszego posiedzenia nowej Izby.

PETR FIALA, katolicki intelektualista i politolog, kiedyś rektor uniwersytetu w Brnie, spokojnie planuje swój rząd. Mówi, że najpierw trzeba uzgodnić program, a na obsadę stanowisk czas przyjdzie potem. Fiala jest pewny siebie, chce nowej jakości w polityce. Ale pogodzenie ambicji pięciu ugrupowań – aż tyle ma tworzyć rząd – w zwykłych czasach byłoby wyzwaniem. Tymczasem Czechy wciąż walczą z epidemią i jej skutkami.

Zgodnym i głównym celem tych pięciu partii było odsunięcie dotychczasowego premiera Andreja Babiša, obarczonego licznymi skandalami. Do parlamentu weszły skupione w dwóch koalicjach: Spolu (Razem), składającej się z trzech partii centroprawicowych (na czele najsilniejszej, ODS, stoi Fiala), oraz PirSTAN (Piraci i Burmistrzowie; tworzą ją liberalni Piraci i samorządowcy). Obie koalicje podpisały umowę o współpracy, która zakłada też, że nie będą kooperować z rządzącą dotąd partią Babiša ANO. Wspólnie mają 108 mandatów w 200-osobowej Izbie – w czeskich warunkach to stabilna większość.

KOALICJA SPOLU wygrała o włos: zdobyła 27,8 proc. głosów, podczas gdy ANO 27,1 proc. W liczbach to różnica ledwie 36 tys. głosów (w 11-milionowym kraju). Aby rzecz skomplikować, zawiła ordynacja sprawia, iż ANO ma 72 mandaty, o jeden więcej niż Spolu. Trzecie miejsce zajęła PirSTAN (prawie 16 proc. i 37 mandatów). Do Izby weszła też, jak poprzednio, antyimigracyjna Wolność i Demokracja Bezpośrednia (SPD; 9,6 proc. i 20 mandatów).

I to koniec listy. Z parlamentu wymiotło potencjalnych sojuszników Babiša, socjaldemokratów i komunistów, nie ma on więc szans na uzyskanie większości, nawet gdyby prezydent się uparł i to jemu zlecił tworzenie rządu. Nie rozbije też obozu zwycięzców. „Fiala nie chce się ze mną spotkać. O rządzie negocjuje koalicja pięciu" – przyznał Babiš, dodając, że ANO szykuje się na przejście z ław rządowych do opozycji. Uznał więc porażkę, choć zaznaczył, że wbrew temu, co wcześniej deklarował, nie odchodzi z polityki.

KLĘSKA LEWICY I PIRATÓW to kolejny wstrząs. Piraci, jeszcze wiosną typowani na zwycięzców, są wprawdzie w parlamencie, ale w porównaniu do poprzednich wyborów stracili aż 18 mandatów i mają ich tylko cztery. Na ich klęskę złożyła się agresywna kampania Babiša, wycelowana głównie w nich, ale też system preferencyjnych głosów, na którym skorzystał ich własny koalicjant, czyli Burmistrzowie. Tym samym na znaczeniu traci partia, która miała być głosem wyborców młodych, liberalnych i proeuropejskich.

Natomiast po raz pierwszy od 1989 r. w parlamencie nie będzie tradycyjnej lewicy – progu wyborczego nie przekroczyli socjaldemokraci i komuniści. Łącznie na wszystkie partie, które nie zdobyły wymaganych 5 proc., oddano rekordowo dużo, bo jedną piątą głosów (w poprzedniej elekcji tylko 6 proc.). Co piąty wyborca może mieć więc poczucie, iż nie będzie reprezentowany. Co dalej z tym elektoratem? To jedno z głównych pytań. Kto tych ludzi przyciągnie? Testem mogą być wybory prezydenckie w 2023 r.

■■■

Wybory przyniosły więc nie tylko zmianę rządzących, ale także zmiany na scenie politycznej Czech. To drugie można uznać za kolejny przejaw szerszej tendencji, polegającej na zacieraniu się tradycyjnych granic między prawą a lewą stroną sceny politycznej (część wyborców socjaldemokratów i komunistów przejął Babiš). Nie doszło natomiast do oczekiwanego pokoleniowego przesunięcia w stronę bardziej liberalną, którą uosabiali Piraci.

„Rządząca koalicja będzie bardzo konserwatywna, to w zasadzie koniec liberałów w Czechach" – komentowała znana publicystka Lucie Stuchlíková. Jednak kraj może mieć prozachodni rząd ze stabilną większością. To już coś. ©

Tekst ukończono 14 października.

Gorolski Święto w Jabłonkowie to flagowa impreza Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego. Czechy, sierpień 2021 r.

Widziane znad Olzy

TEKST I ZDJĘCIA ANDRZEJ OTCZYK Z POGRANICZA POLSKO-CZESKIEGO

„Gołym okiem widać, że jest nas coraz mniej" – uważa Marian Siedlaczek. Jak wygląda dziś Zaolzie? Jak czują się tamtejsi Polacy?

Osiemdziesiąt trzy lata temu, w październiku 1938 r., Wojsko Polskie wkroczyło do należącej do Czechosłowacji części Śląska Cieszyńskiego, zwanej Zaolziem. Miejscowi Polacy witali żołnierzy entuzjastycznie. Mimo 20 lat intensywnej i momentami brutalnej czechizacji, wciąż byli tu najliczniejszą grupą narodowościową. Ich radość trwała niecały rok, do września 1939 r. Po II wojnie światowej Zaolzie znów znalazło się poza granicami Polski.

Historia odcisnęła tu wyraźne piętno. Historia, która do dziś jest przedstawiana inaczej przez obie strony, polską i czeską. Jak Zaolzie wygląda dziś?

Pokłosie propagandy

W grudniu 2007 r., gdy na mocy porozumienia z Schengen znikały graniczne szlabany na mostach nad Olzą, po czeskiej stronie widać było niepokój. Marian Siedlaczek, długoletni współpracownik polskiej prasy na Zaolziu i pierwszy redaktor naczelny niekomunistycznego już „Głosu Ludu" (dziś ukazuje się dwa razy w tygodniu jako „Głos"), przyczyny lęku Czechów przed otwarciem granicy upatruje w długoletniej antypolskiej propagandzie.

– Najbardziej była ona widoczna za pierwszej Solidarności i w latach stanu wojennego – mówi Siedlaczek. – Polaków przedstawiano jako uosobienie zła, prowodyrów niepokojów i strajków, którzy zagrażają komunizmowi, bezpieczeństwu, dobrobytowi. Masa ludzi tutaj w to uwierzyła. Także miejscowi Polacy. Nie bez powodu właśnie w latach 80. najbardziej w XX stuleciu zmniejszyła się na Zaolziu liczba osób przyznających się do polskości.

Siedlaczek zna każdy niuans historii regionu. Jego nazwisko pojawia się tu w księgach parafialnych od XVII w. Zmieniały się pokolenia i granice, ale jedno pozostawało: jak wiele rodzin o polskich korzeniach, Siedlaczkowie wciąż się czują Polakami.

Wojna napsuła krwi

Austriacki spis ludności z 1910 r. wykazał, że na późniejszym Zaolziu mieszkało wtedy 124 tys. Polaków, 33 tys. Czechów i 22 tys. osób innej narodowości (głównie Niemców). Sam termin „Zaolzie" był jeszcze nieznany, pojawił się po decyzji Rady Ambasadorów (organu państw zwycięskich w I wojnie światowej) z lipca 1920 r. Rada ↦

W polskich szkołach na Zaolziu uczniów jest coraz mniej. W roku szkolnym 2020/21 w pięciu szkołach z klasami 1-9 oraz w dwudziestu szkołach z klasami 1-5 uczyło się 2073 dzieci, a do dwóch szkół średnich uczęszczało 369 uczniów. Dzieci w polskich przedszkolach było 856.

↦ podzieliła dawne Księstwo Cieszyńskie, przyznając Czechosłowacji jego zachodnią część – w tym tereny, na których Polacy stanowili bezwzględną większość (z polskiej perspektywy położone „za Olzą").

Czesi wykorzystali fakt, iż odrodzona Rzeczpospolita musiała się wtedy bronić przed bolszewikami, i dzięki intensywnemu lobbingowi doprowadzili do rozstrzygnięcia sporu granicznego z Polską z pominięciem plebiscytu, który zapewne by przegrali. Zachodnie mocarstwa zignorowały fakt, że w niektórych gminach Polacy stanowili 90 proc. ludności. Przyznały Pradze uprzemysłowiony obszar, który obejmował część Zagłębia Ostrawsko-Karwińskiego, i przez który biegła strategiczna koszycko-bogumińska linia kolejowa.

Wcześniej, w 1918 r., powstała po rozpadzie monarchii austro-węgierskiej Rada Narodowa Księstwa Cieszyńskiego, w porozumieniu ze swoim odpowiednikiem – czeską Krajową Radą Narodową dla Śląska (Zemský národní výbor pro Slezsko) – wytyczyła wstępnie przyszłą granicę w oparciu o kryterium demograficzne. Praga nie uznała jednak tej umowy. 23 stycznia 1919 r. wojska czeskie zaatakowały, dążąc do opanowania całego Śląska Cieszyńskiego, łącznie z powiatem bielskim. Zostały zatrzymane na linii Wisły, po czym zawarto rozejm, ustalając linię demarkacyjną na Olzie. Wkrótce rzeka stała się granicą.

– Wojna czesko-polska napsuła wiele krwi – mówi Stanisław Gawlik, zaolzianin, który kierował Sekcją Historii Regionu Polskiego w Związku Kulturalno-Oświatowym w Republice Czeskiej.

Pomnik dla generała

Napsuła wtedy, ale bywa, że psuje ją również dziś. W 2013 r. Czesi postawili w gminie Bystrzyca (Bystřice) pomnik generała Josefa Šnejdárka, który w 1919 r. dowodził korpusem mającym „wyzwolić" tę ziemię z rąk Polaków. Nie konsultowali tego z organizacjami polskimi z Zaolzia. Tymczasem Šnejdárek pamiętany jest przez Polaków jak najgorzej. Walki z oddziałami polskiej samoobrony, mniej licznymi, trwały wtedy niewiele ponad tydzień, ale były krwawe i brutalne. Faktycznej liczby ofiar do dziś nie udało się ustalić.

– Rok 1919 jest solą w oku dla Polaków tu żyjących – twierdzi Stanisław Gawlik. – Tamte tragiczne wydarzenia są natomiast umiejętnie prezentowane przez władze czeskie. Mówi się, że Czesi mieli święte prawo wystąpić zbrojnie, bo te tereny im się należały, skoro od czasów Kazimierza Wielkiego książęta cieszyńscy byli lennikami Korony Czeskiej.

– Oni z kolei mają do nas pretensje o rok 1938 – dodaje Gawlik. – Co prawda Wojsko Polskie zajęło Zaolzie bez walki, ale prowadzone następnie deportacje Czechów w ramach polonizacji regionu nie musiały przybrać aż tak dużych rozmiarów. Przyszli tu ludzie z centralnej Polski, którzy nie znali miejscowych realiów i nawet wielu miejscowych Polaków miało za ich przyczyną olbrzymie problemy. Później z kolei, w czasie niemieckiej okupacji, Czesi mścili się za doznane krzywdy, wydając Niemcom bojowników polskiego ruchu oporu.

Historia do sarkofagu?

Spory o historię dały o sobie znać także na forum Euroregionu Śląsk Cieszyński – Tèšínské Slezsko, który z założenia ma łączyć oba narody na pograniczu.

Strona czeska miała żal, że wydając mapę regionu – w ramach funduszu „Zaolzie teraz", finansowanego przez euroregion – Polacy mieli nadużyć zaufania partnerów. Chodziło o to, że na stronie tytułowej mapy wyeksponowano tylko polską flagę, nazwy miejscowości po czeskiej stronie podano tylko po polsku, i że na mapie zaznaczono historyczne granice z roku 1918 i 1938.

– Wydaliśmy ją dla turysty polskiego, stąd polskie nazwy po czeskiej stronie – tłumaczy Krzysztof Szelong, dyrektor Książnicy Cieszyńskiej (odpowiadała za przygotowanie mapy). – Równie istotny wydaje się zamysł utrwalenia i upowszechnienia polskiego nazewnictwa zaolziańskich miejscowości. Ono jest częścią dziedzictwa kulturowego tego obszaru i powinno podlegać ochronie. A jeśli chodzi o zaznaczenie historycznych granic, to naszym celem było jedynie zwizualizowanie tego obszaru, bo jako region kulturowo-historyczny nie ma on ściśle wytyczonych i powszechnie uznanych granic. Notkę na ten temat zamieszczono na rewersie mapy, podobnie jak czeskie odpowiedniki polskich nazw miejscowości.

Wyjaśnienie nie zadowoliło ówczesnego sekretarza euroregionu po stronie czeskiej, Vacláva Laštůvki, który zaproponował, by projekty historyczne realizowane w ramach współpracy transgranicznej objąć swego rodzaju moratorium. – Nazywam to sarkofagiem, jak ten w Czarnobylu – mówił Laštůvka. – Stwórzmy platformę wymiany poglądów na temat historii, ale poza sferą wspólnych projektów euroregionu. Dopiero gdy na tej platformie uda się uzgodnić stanowiska, a będą potrzebne pienią-

dze do ich prezentacji, moglibyśmy uruchomić środki euroregionu.

Strona polska odrzuciła ideę „sarkofagu". – Tak naprawdę chodziło o to, żeby trudne sprawy historyczne zamieść pod dywan. Żeby odciąć źródła finansowania wspólnych rzetelnych badań dziejów Śląska Cieszyńskiego, zwłaszcza procesów i wydarzeń z pierwszej połowy XX w., tak istotnych nie tylko dla tożsamości Polaków na Zaolziu, ale też dla rozwijania zdrowych relacji między sąsiednimi narodami – uważa Krzysztof Szelong.

Rząd czeski wsparł protest Polaków w tej sprawie i moratorium nie zostało ogłoszone. Nie znaczy to, że udało się ustalić wspólną wersję historii. Znakiem rozbieżności są tablice z informacjami na temat dziejów Zaolzia, umieszczone nad granicą po obu stronach Olzy. Jedne zredagowano pod pieczą Książnicy Cieszyńskiej, drugie – Muzeum Těšínska (Muzeum Ziemi Cieszyńskiej) w Czeskim Cieszynie. Ich treści nie są identyczne.

Dziś sobie ufamy

Sekretarz euroregionu ze strony polskiej, Bogdan Kasperek, nie ukrywa, że współpraca bywa trudna. Ostatni przykład to opisy ekspozycji finansowanych z funduszy europejskich, a realizowanych wspólnie przez samorządy Skoczowa i Gródka (cz. Hrádek), Hażlacha i Kocobędza (cz. Chotěbuz), czy Brennej i Wędryni (cz. Vendryně). Tak się złożyło, że we wszystkich tych przypadkach opisy w zaolziańskich miejscowościach zamieszczono tylko po czesku, choć w miejscowościach polskich – po polsku i czesku.

– Dziwię się polskim samorządowcom, że się na to godzą. Ważniejsza dla nich jest nowa kładka dla pieszych czy chodnik niż pielęgnowanie pamięci historycznej. Przecież w Gródku czy Wędryni do dziś żyje znaczący odsetek Polaków – zżyma się Krzysztof Szelong.

Po protestach polskich działaczy z Zaolzia w partnerskich placówkach zamieszczono dwujęzyczne napisy. – Z czeskim starostą [odpowiednik wójta – red.] gminy Wędrynia szarpaliśmy się o to przez pół roku – mówi Stanisław Gawlik.

Bogdan Kasperek widzi jednak we współpracy więcej blasków niż cieni. – Wśród starostów czeskich gmin nadgranicznych nie dostrzegam dziś ani jednego polakożercy, choć w przeszłości, owszem, tacy się zdarzali. Zaszłości historyczne nie powinny wpływać na dzień dzisiejszy. Staramy się iść wspólnie do przodu. Najlepszy dowód, że Euroregion Śląsk Cieszyński ma więcej projektów niż inne euroregiony na pograniczu polsko-czeskim.

Podobnie mówi Tomaš Balcar, sekretarz euroregionu po stronie czeskiej. – Współpraca jest bardzo dobra – zapewnia. – Po latach wzajemnego poznawania się dotarliśmy do punktu, w którym sobie ufamy i jesteśmy wzorem dla innych euroregionów, nie tylko na granicy czesko-polskiej. Biorąc pod uwagę trudną historię, tym bardziej to cieszy.

– A jeśli mówimy już o jakichś pojedynczych problemach – dodaje Balcar – to tak, czasem pojawia się kwestia np. braku dwujęzycznych materiałów, napisów itp. I to po obu stronach granicy. Ale mogę sobie dać rękę uciąć, że bardziej chodzi tu o brak wyczucia dla współpracy transgranicznej, czasem o niezdawanie sobie sprawy z jakichś oczywistych rzeczy albo o nieuwagę, a nie o złą wolę.

Czy było co świętować

Nie wszyscy jednak myślą tu podobnie. W 2020 r. w Czeskim Cieszynie odsłonięto – z inicjatywy władz miasta i Muzeum Ziemi Cieszyńskiej – pomnik, który wywołał burzę: słup graniczny, mający upamiętniać 100-lecie wytyczenia granicy Czechosłowacji na Śląsku Cieszyńskim, Orawie i Spiszu oraz powstania miasta Czeski Cieszyn.

Czy było co świętować? „Moim zdaniem nie" – komentował na łamach „Głosu Ziemi Cieszyńskiej" Krzysztof Neścior, miłośnik lokalnej historii. – „100 lat temu, w rok po zbrojnym zajęciu przez Czechów Zaolzia, ustalenie granic było szokiem i kolejną tragedią dla wielu polskich rodzin z obu stron Olzy. Część Zaolziaków do końca nie wierzyła, że będzie mieszkać w Czechosłowacji. Sądzili, że jest to przejściowe rozwiązanie. Na wielu z nich, z powodów politycznych i narodowych, czekały represje. W latach 20. kilka tysięcy ludzi z Zaolzia musiało uciekać do Polski. Uciekinierzy zamieszkali m.in. w specjalnym obozie dla polskich uchodźców powstałym w Oświęcimiu, o czym dziś mało kto już pamięta".

– Stawiając ten słup, Czesi chcieli podkreślić, że to miasto jest ich, że po stu latach ten teren jest ich. Tak jakby nie czuli się tu u siebie. Pewnie z tych samych powodów niektóre czeskie sprzedawczynie upominają klientów z Polski, aby mówili po czesku, choć dobrze rozumieją polski, a sklep jest sto metrów od granicy – mówi Marian Siedlaczek.

Przyszłość we własnych rękach

Dzisiejsze Zaolzie to inne miejsce niż w roku 1918 czy 1938. Nie ma już tamtej Karwiny, opisywanej przez Gustawa Morcinka, z familokami polskich górników. Nie ma słynnego polskiego gimnazjum w Orłowej. Wiele osiedli pochłonęły górnicze wyrobiska, po niektórych zostały tylko cmentarze z polskimi nazwiskami. W czasach komunizmu zmieniono siedziby i granice powiatów, aby administracyjnie region był w możliwie jak najmniejszym stopniu polski. Dzieła dezintegracji dopełniają budowane ostatnio arterie komunikacyjne. ↦

Słup graniczny jako pomnik – postawiony w 2020 r. w Czeskim Cieszynie i upamiętniający stulecie wytyczenia granicy Czechosłowacji na Śląsku Cieszyńskim, Orawie i Spiszu – stał się polsko-czeską kością niezgody.

↦ Tymczasem Polaków systematycznie ubywa: podczas spisu w 2011 r. narodowość polską zadeklarowało dokładnie 26551 osób, czyli 7,8 proc. mieszkańców Zaolzia.

– Gołym okiem widać, że jest nas coraz mniej – mówi ze smutkiem Marian Siedlaczek. – Zmniejsza się liczba polskich przedszkoli, klasy w polskich szkołach są coraz mniej liczne. Nie jest to już skutek polityki władz czeskich, w ciągu ostatnich 30 lat nie obserwuję żadnych zakusów na nasz stan posiadania. Przeciwnie, Praga wspiera dotacjami polskie organizacje, stowarzyszenia, prasę. My się po prostu sami wynaradawiamy przez asymilację, mieszane małżeństwa itp. Z różnych względów wygodniej tu być Czechem niż Polakiem.

W mniej pesymistycznym tonie mówi Helena Legowicz, prezes Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego. – Jestem umiarkowaną optymistką co do przyszłości Polaków na Zaolziu. Polską narodowość deklaruje ponad 30 tys. ludzi, z czego 10 tys. należy do PZKO. Nasz związek to nie tylko zespoły folklorystyczne i utrzymywanie tradycji. To także promocja polskiej współczesnej kultury, skierowana też do społeczeństwa większościowego. Koła PZKO organizują nie tylko duże przeglądy artystyczne i festiwale, jak Gorolski Święto w Jabłonkowie, Dolański Grom czy Bystrzycki Zlot, ale przede wszystkim imprezy niemasowe: występy teatrów amatorskich, pokazy filmów, spotkania autorskie.

– Członkostwo w PZKO nie wiąże się z profitami czy przywilejami – mówi Helena Legowicz. – Ludzie przychodzą do nas z potrzeby serca. Nie dlatego, by pokazywać na zewnątrz swoją polskość, ale dlatego, że tę polskość mają w sobie, przekazywaną od pokoleń.

Autorzy firmowanego przez Kongres Polaków w Republice Czeskiej dokumentu „Wizja 2035" utrzymują, że jeśli pracę organiczną w środowisku polskim nie tylko utrzyma się na obecnym poziomie, ale rozwinie, możliwe będzie zachowanie polskiego stanu posiadania na Zaolziu w kolejnych 20 latach. Czy mają rację?

© ANDRZEJ OTCZYK

Nadżla Buden Romdhan ogłasza utworzenie nowego rządu Tunezji. Tunis, 11 października 2021 r.

W ślepym zaułku

WOJCIECH JAGIELSKI

Nowa premier Tunezji – pierwsza w świecie arabskim kobieta na takim stanowisku – będzie odpowiadać za najtrudniejsze decyzje. Władzy będzie jednak mieć mniej niż poprzednicy.

Profesor Nadżla Buden Romdhan, rocznik 1958, zna się świetnie na geofizyce, ale w polityce jest nowicjuszką. Nie należy do żadnej partii, nie wiadomo nawet, jakie ma poglądy. Do chwili, gdy prezydent Kais Sajed ogłosił, że właśnie jej powierza misję tworzenia nowego rządu, mało kto w 12-milionowej Tunezji wiedział, kim jest, ani że w ogóle istnieje.

Wykształcona we Francji, wykładała geologię (specjalizuje się w badaniach trzęsień ziemi) na politechnice w Tunisie, a w 2011 r. objęła funkcję dyrektora generalnego w ministerstwie szkolnictwa wyższego i pełniła ją aż do teraz. Na tym stanowisku odpowiadała za wdrażanie zalecanej przez Bank Światowy reformy tegoż szkolnictwa.

Premier to brzmi dumnie

Nominacja zaskoczyła nawet jej przyjaciół. Jeden z nich sugerował wręcz w rozmowie z zagranicznymi mediami, że Romdhan zawdzięcza swój awans znajomości z prezydentem (wiadomo za to, że nowa premier od lat przyjaźni się ze szwagierką prezydenta).

Z kolei Salaheddin Dżurszi, badacz miejscowej polityki z Tunisu, powiedział agencji AFP, że nie wierzy, by ktoś pozbawiony doświadczenia politycznego poradził sobie z rolą premiera. „Prezydent nie chciał najwyraźniej powierzać tej posady żadnemu z liczących się polityków – twierdzi Dżurszi. – Obawiał się, że w ten sposób, nieopatrznie, wyhoduje sobie rywala do władzy".

Fida Hammami, feministyczna działaczka z Tunisu, uważa natomiast, że zanim powierzył Nadżli posadę premiera, prezydent wpierw pozbawił to stanowisko wszelkiego znaczenia. „Szef rządu, choć to brzmi dumnie, jest dziś bezwolnym wykonawcą rozkazów prezydenta – powiedziała Hammami. – I dopiero wtedy uznano, że stanowisko to można oddać kobiecie, żeby robiła, co mężczyzna nakaże. To jedyny symbol, jakiego się

w tym dopatruję, i nie widzę żadnego powodu do świętowania".

Znawcy tunezyjskiej polityki podejrzewają, że wyznaczając kobietę na premiera, Kais Sajed stosuje taktykę „aportowania", ulubioną metodę wszystkich polityków świata. Podrzucił dziennikarzom i poddanym zastępczy temat, budzący emocje, ale drugorzędny, żeby zapewnić ludowi igrzyska i odwrócić uwagę od spraw naprawdę ważnych i trudnych. Od kłopotów, które wolałby załatwić dyskretnie, gdy wszyscy będą zajęci czymś innym i nikt nie będzie mu patrzył na ręce.

Jedynowładca

Tunezyjczycy są dumni, że o ich kraju mówi się jako o tym, w którym – jako jedynym w całym świecie arabskim – przyjęła się na dobre demokracja. Dumni są też z tego, że to właśnie u nich pod koniec 2010 r. zaczęła się Arabska Wiosna – wolnościowy zryw, który objął cały niemal arabski Maghreb i Bliski Wschód. Kolejnym powodem do dumy będzie też to – powiada teraz prezydent, panujący od 2019 r. – że Tunezja będzie pierwszym krajem arabskim, w którym kobieta stoi na czele rządu.

„To historyczne wydarzenie i zaszczyt dla Tunezji – mówił Kais Sajed, ogłaszając, że postanowił powierzyć Romdhan stanowisko premiera. – Składamy w ten sposób hołd wszystkim tunezyjskim kobietom". Tego samego dnia ogłosił, że inną kobietę, Nadię Akaszę (swoją przyjaciółkę i zauszniczkę), wybrał na szefową prezydenckiego sztabu.

Badacze tunezyjskiej polityki podejrzewają jednak, że awansując kobiety, prezydent chciał jedynie spacyfikować swoich przeciwników w obozie liberalnej opozycji i obrończyń praw kobiet, którzy zarzucali mu nadmierny konserwatyzm, niechęć do reform i nowoczesności, a także narastającą skłonność do rządów w stylu oświeconego dyktatora, jedynowładcy.

Pod koniec lipca zwolnił cały rząd i rozpędził sparaliżowany kłótniami parlament. Rywale prezydenta twierdzą, że dokonał w ten sposób pałacowego przewrotu i skupił w swych rękach władzę absolutną. Prezydent tłumaczył, że musiał podjąć tak radykalne środki, bo inaczej nie przerwałby stanu niemocy, w jakim znalazło się państwo. Mijały jednak tygodnie, a prezydent nie przedstawiał planu ratowania kraju, nie rozmawiał z opozycją, a najgłośniejszych krytyków kazał zamykać. Pod koniec września zawiesił część zapisów konstytucji i zapowiedział, że sam napisze nową, a do tego czasu może rządzić, wydając dekrety.

Prezydent nie ukrywa, że nie podoba mu się obowiązujący demokratyczny porządek, wzorowany na tym zachodnim. Uważa, że doskonalszą formą rządów byłaby demokracja uwolniona od „tyranii" partii politycznych, rozdzielających miejsca na wyborczych listach i posady na urzędach. Chciałby, żeby ludzie wybierali najlepszych, znanych sobie kandydatów, fachowców, ale tylko do sąsiedzkich samorządów, radni zaś wybieraliby spośród siebie posłów, a posłowie – prezydenta.

Przywódcy tutejszych partii, które prezydent uważa za zło wcielone, podnoszą lament, że za jego sprawą Tunezja z demokratycznej prymuski w arabskim świecie stoczy się do pospolitej dyktatury.

Bohater ulicy

Panujący prezydent, bohater ludowy tunezyjskiej ulicy, został wyniesiony do władzy na fali rozczarowania rodaków miejscowymi politykami. Nienależący do żadnej partii, nieskompromitowany udziałem w fatalnych rządach, a przede wszystkim wolny od oskarżeń i podejrzeń o korupcję i złodziejstwo, ten emerytowany wykładowca prawa konstytucyjnego ujął rodaków swoją zasadniczością, uczciwością i skromnością.

Tunezyjczycy wybrali Kaisa Sajeda na prezydenta głównie dlatego, że nie kojarzyli go z polityczno-partyjną elitą mającą najgorszą opinię. Gdy w lipcu rozpędzał posłów, ministrów i premiera, na ulice wyległy wiwatujące tłumy, a sondaże wykazywały, że trzy czwarte rodaków ufa swojemu prezydentowi i popiera go.

Ale już dwa miesiące po lipcowej euforii nie został nawet ślad. Pewnej niedzieli na ulicach Tunisu zebrał się nawet kilkutysięczny tłum, który domagał się, by Kais Sajed wyznaczył termin, gdy wycofa się z „prezydenckiego puczu". Pochód urządzili przywódcy partii i działacze związków zawodowych, którzy coraz głośniej i śmielej występują przeciw prezydentowi i domagają się, by przywrócił konstytucję i parlament.

73 z 217 posłów rozegnanego przez prezydenta parlamentu podpisało się pod listem do przewodniczącego izby Raszida Ghanusziego, byłego więźnia politycznego i wygnańca, żeby nie zważając na prezydenta, jak najszybciej zwołał posiedzenie parlamentarne. Od 80-letniego Ghanusziego domagają się tego także działacze i członkowie jego partii Odrodzenie, najsilniejszego ugrupowania politycznego w kraju, szukającego natchnienia i wzorów w politycznej filozofii Braci Muzułmanów (powstałego sto lat temu ruchu, odwołującego się do solidarności arabskiej i praw zapisanych w Koranie oraz odrzucającego wpływy zachodnie, świeckie).

Przywrócenia zawieszonych demokratycznych porządków domagają się też od tunezyjskiego prezydenta przywódcy Zachodu (dzwoniła do niego nawet kanclerz Angela Merkel, szykująca się do politycznej emerytury) i przestrzegają, że w innym razie trudno im będzie udzielić Tunezji kolejnych pożyczek czy też przełożyć terminy spłaty starych długów.

Herkulesowe zadania

Dziesięć lat po ulicznej rewolucji z czasów Arabskiej Wiosny tunezyjska polityka znalazła się w ślepym zaułku, a gospodarka w najgłębszej w dziejach kraju zapaści. I tak była w kiepskiej kondycji, ale gwoździem do trumny stała się epidemia. Zamiast rozwoju i wzrostu, na jaki liczyli Tunezyjczycy, w 2020 r. zanotowała prawie 10-procentowy spadek. W tym roku zanosi się na kolejny, choć już nieco mniejszy.

Rosną tylko ceny, bezrobocie i publiczny dług, a młodzież ucieka z kraju, nie widząc dla siebie w domu żadnej przyszłości. Ekonomiści z Banku Światowego ostrzegają, że jeśli zajęty bez reszty polityką prezydent nie poświęci więcej uwagi gospodarce, Tunezja stanie się bankrutem – tak jak Liban.

Cały ten bałagan spadnie właśnie na głowę nowej premier Nadżli Romdhan, która będzie ponosić całą odpowiedzialność za wszystkie najtrudniejsze i najboleśniejsze decyzje, błędy i porażki. Władzy oraz niezależności mieć za to będzie mniej niż wszyscy jej poprzednicy, którzy rządzili po Arabskiej Wiośnie. Po lipcowym „prezydenckim puczu" będzie bowiem całkowicie zależeć od widzimisię szefa państwa, swoim nazwiskiem firmując jego poczynania. ©℗

TUNISIAN PRESIDENCY / AFP / EAST NEWS

Szczep się lub płać

TEKST I ZDJĘCIA
ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK
Z LIMASSOL I PAFOS (CYPR)

Trzysta euro mandatu za brak maseczki w sklepie: Cypr, który żyje z turystyki, panicznie boi się nowej fali epidemii i kolejnego lockdownu.

TUTAJ SŁOŃCE ZAWSZE JEST ŁASKAWE, dlatego mamy turystów przez cały rok – mówi Maria, zręcznie manewrując swoją taksówką. – To znaczy, mieliśmy przed pandemią – poprawia się. – Podczas lockdownu nie mogłam poznać miasta, Bóg się od nas odwrócił.

Maria ma 58 lat, dorosłe dzieci i dwoje wnucząt. Pochodzi z Limassol. To drogie miasto. Żeby zarobić 1,2 tys. euro, Maria pracuje 12 godzin na dobę. Ma szczęście, bo jeździ własnym autem i mogła pracować podczas lockdownu. Wielu jej kolegów zrzeszonych w korporacjach poszło na postojowe, dostawali tylko część pensji. Trudno za to przeżyć.

– Jak jest rodzina, praca i nie ma chorób, to jest szczęście – tak uważa Maria.

Płacz po Brytyjczykach

Cypr utrzymuje się głównie z turystyki, która daje 80 proc. wpływów do budżetu. Pandemia zaczęła się tu 9 marca 2020 r., gdy odnotowano infekcję u lekarza, który wrócił z zagranicznej konferencji. Pod koniec marca ogłoszono lockdown: można było wyjść raz dziennie po zakupy lub do apteki, po uprzednim wysłaniu esemesa z kodem na urzędowy numer. Policja sprawdzała, czy przechodnie mają zgodę na wyjście. Kary za samowolne opuszczenie miejsca zamieszkania były wysokie.

– Cypryjczycy są towarzyscy, lubią spędzać czas w kawiarniach i na ulicy. A tu zamknęli nas w domach – wspomina Andrea z Pafos, 30-tysięcznego miasteczka na południowo-zachodnim wybrzeżu Cypru. – Znajomi grali ze sobą w bingo między balkonami, były też tarasowe koncerty i awantury o politykę. Ludziom puszczały nerwy, raz sąsiedzi obrzucili się zgniłymi owocami.

Andrea zaczepił mnie na przystanku autobusowym. „Jesteś z Rosji?" – tu takie pytanie to komplement, uroda słowiańska rozpala serca wyspiarzy. „Z Polski". „Lewandowski!" – krzyknął uradowany i przysiadł się w autobusie bez pytania. Opowiedział, że ma w Pafos dom, który wynajmuje turystom, że 25 lat spędził w Nowym Jorku, ale w 2008 r. jego firma zbankrutowała, on stracił oszczędności, a żona odeszła. – Nawet się nie zdziwiłem, bo jak można żyć z takim nieudacznikiem? – uśmiecha się z dystansem.

Bilet powrotny na Cypr kupili mu rodzice, a po ich śmierci odziedziczył dom. Teraz epidemia znów wpędziła go w kłopoty: – Rząd trochę pomagał, ale przecież trzeba było robić opłaty. Jadłem raz dziennie, bo pieniądze na koncie topniały. Trzeba było pożyczać.

Cypr, który do 1960 r. był kolonią brytyjską, dziś liczy na turystów z Wielkiej Brytanii – uchodzą za zamożnych, zostawiają pieniądze. Ściślej, zostawiali. Od dwóch lat nie ma ich przy słynnej Skale Afrodyty ani na plażach. – Całe Pafos płacze po nich – przyznaje Andrea.

Certyfikat albo testy

Latem 2020 r. pierwszy lockdown się skończył i Cypr otworzył się dla turystów. Trudno jednak było odrobić straty i wiele firm nie wytrzymało kolejnego lockdownu w pierwszych miesiącach tego roku. Bankrutowały restauracje i hotele. Na ulicach Limassol i Pafos wciąż trafiam na tabliczki „Do wynajęcia". Trzeciego lockdownu nikt tu nie przetrzyma, powtarzają moi rozmówcy.

Strach przed kolejnym paraliżem kraju i obawa kryzysu gospodarczego zmusiły rząd do zdecydowanych kroków. Zaczęła się kampania zachęcająca do szczepień. Władze bały się, że nie poradzą sobie, jeśli znów będzie dużo zachorowań – na Cyprze średnia wieku stale rośnie i wynosi 39 lat (w 1982 r. były to 32 lata); sporo mieszkańców jest w grupie ryzyka.

Do początku października co najmniej jedną dawką zaszczepiło się 67 proc. populacji Cypru – i jest to niemal dokładnie średnia unijna (w Polsce to prawie 53 proc., a w Portugalii aż 88 proc.). W restauracjach, sklepach czy urzędach trzeba okazać certyfikat covidowy lub aktualny wynik testu. Z kolei turyści nie mogą przyjechać na wyspę bez uprzedniego wypełnienia dokumentu Cyprus Flight Pass (mam go stale przy sobie i muszę okazywać, nawet gdy zamawiam kawę w ogródku restauracyjnym). Jeśli ktoś nie chce się szczepić, a chce korzystać z usług publicznych, musi co 72 godziny robić test (koszt 5 euro; rząd refunduje je tylko dzieciom). Punkty do testowania rozsiane są po całym mieście.

– Bez aktualnego testu nie można pójść do pracy, sprawdzają – twierdzi Żanna Marsjutowa, która siedem lat temu przeprowadziła się z Łotwy na Cypr. – Dzieci musimy testować co 72 godziny, na podstawie wyniku są wpuszczane do szkoły. To trochę uciążliwe, ale pozwala zniszczyć ogniska wirusa.

Paszporty dla Rosjan

Żanna prowadzi w Limassol zajęcia artystyczne dla dzieci, jej klienci to głównie Rosjanie. W stutysięcznym mieście rosyjski słyszy się wszędzie, działają tu trzy rosyjskie szkoły, radio, sklepy, nawet szkoła baletowa. Przez wiele lat władze Cypru prowadziły program „złote paszporty" i „złote wizy" – przyznawano je za inwestycje. Za mniejsze pieniądze można było otrzymać kartę stałego pobytu, co umożliwiało bezwizowe podróżowanie po krajach Unii. Inwestowali głównie Rosjanie.

– W tym kraju wszystko można wyprać – uważa taksówkarz Dymitrij, który do Limassol przyjechał z Grecji w 2006 r., bo w rodzinnym mieście nie było pracy. I dodaje, że na Cyprze bardziej opłaca się znać rosyjski niż angielski.

Żanna Marsjutowa mówi, że Rosjanie dbają o edukację dzieci i nie narzeka na brak chętnych. Wspomina, że zdecydowała się opuścić Łotwę nagle, pod wpływem spędzonych tu wakacji, że urzekło ją słońce i radość życia. Jednak na początku nie było łatwo: nastoletni syn musiał zmienić środowisko, stracił przyjaciół, zaczęły się problemy. Minęło kilka lat, zanim zaakceptował wybór rodziców. – Na Łotwie mieszkałam nad morzem – wspomina Żanna. – W kółko deszcz, a ludzie smutni, pochowani w domach. Rodzinne strony odwiedzam w lipcu, gdy na Cyprze temperatura sięga 40 stopni.

Podczas obu lockdownów Żanna prowadziła zajęcia artystyczne online, ale najmłodsze dzieci w nich nie uczestniczyły. Zarabiała jakieś 20 proc. mniej. Od rządu otrzymała 1200 euro jednorazowej pomocy.

TERRY *prowadzi restaurację od 1991 r. i mówi, że to całe jego życie. Pandemię ledwie przetrwał.*

MARIA *(z lewej, za kierownicą) nie mogła poznać miasta podczas lockdownu, gdy zniknęli turyści.*

ŻANNA MARSJUTOWA *prowadzi w Limassol zajęcia artystyczne dla dzieci, jej klienci to głównie Rosjanie.*

ROBERT NIDERLA *wyskoczył do sklepu tylko po sól i zapłacił 300 euro mandatu za brak maseczki.*

Na Rosjanach zarabiają także szkoły językowe. Od kiedy poluzowano obostrzenia wjazdowe, ponownie wielu z nich przyjeżdża na Cypr do szkół językowych, aby uczyć się angielskiego. Jednym z nich jest Andriej Kuzniecow. Programista po trzydziestce, tworzy strony internetowe. Urodził się na Kamczatce i gdy opowiada o rodzinnych stronach, oczy mu błyszczą. Mieszka w Petersburgu, ale go nie lubi: – Mało słońca, zimno i mnóstwo ludzi.

Bo Andriej nie lubi tłumu: – Nigdy nie wchodzę do galerii handlowych, wszystko kupuję przez internet.

Na Cypr przyjechał na trzy miesiące, aby nauczyć się biegle angielskiego, a potem zmienić pracę. Jest typem introwertyka i marzy mu się praca w jakimś małym europejskim mieście.

Najdroższa sól świata

W pierwszym tygodniu października na Cyprze, liczącym 1,2 mln mieszkańców, odnotowywano dziennie nieco ponad sto nowych przypadków covidu oraz jeden-dwa zgony. Jednak lęk przed nową falą i kolejnym zamknięciem sprawiają, że władze i sami obywatele egzekwują przepisy sanitarne. Także nakaz noszenia masek w przestrzeni publicznej.

Gdy zaczynam kurs językowy w Center English School, wita nas Katerina i uprzedza, że za brak maski zapłacimy nie tylko my, ale też szkoła, bo kontrole są regularnie i bez uprzedzenia. Nosimy więc maseczki przez cały czas trwania zajęć.

Kontrola odbywa się też w autobusie z Limassol do stołecznej Nikozji. Tym pasażerom, którzy np. spuścili maseczkę na brodę, urzędnik nakazuje założyć je poprawnie. Z kolei w sklepie niedaleko Skały Afrodyty na widok klienta bez maski sprzedawczyni wybiegnie z krzykiem, grożąc wezwaniem policji.

Mandat, gdy przyjdzie go już płacić, może być bolesny. Robert Niderla – nauczyciel wuefu z Chynowa, który przyjechał z koleżankami z pracy na kurs językowy w ramach programu Erasmus – opowiada, że drugiego dnia wypadła na niego kolej robienia śniadania. Postanowił usmażyć jajecznicę, ale w kuchni nie było soli, pobiegł więc do sklepu. Był bez maski. Podeszło dwóch panów, poprosili o paszport i wypisali mandat: 300 euro.

– To była najdroższa sól w moim życiu. Ale dostać na Cyprze mandat to jeszcze pół biedy. Zapłacić go to dopiero jest sztuka! – denerwuje się Robert. – Opłatę należy wnieść w konkretnym banku, który pracuje od 8.30 do 13.30. Dodatkowo nie zgadzały się dane, policja wpisała inne nazwisko. Pięć dni zajmowałem się tym mandatem i gdyby nie Grek spotkany w informacji turystycznej, który studiował w Polsce, nie umiałbym tego załatwić. A bez opłacenia mandatu nie można wyjechać z Cypru.

■■■

Restauracja Terry's Place zaskakuje. Pięciu groszy nie dałabym za to wnętrze, ale jak już się tu trafi i spróbuje kalmarów lub musaki, chce się wracać. Właściciel Terry prowadzi lokal od 1991 r., a podczas pandemii zamknął go na 15 miesięcy. Dostawał od rządu 600 euro miesięcznej pomocy, podczas gdy za wynajem musiał płacić 500 euro.

– Chwała Bogu miałem jakieś pieniądze w banku i przetrwałem. 15 czerwca Cypr zaczął się otwierać, przyjechali goście do hotelu obok i restauracja ruszyła – wspomina. – Restauracja to całe moje życie, jestem tu siedem dni w tygodniu.

Na pożegnanie Terry przynosi gratis lody na patyku, żeby rachunek nie bolał.

Wracam promenadą. Jest ciepły wieczór, na ławce przy morzu Anna, tutejsza bezdomna, rozkłada koce i wyjmuje z plastikowej torby poduszkę. Zostawiam jej lody, a ona dziękuje po polsku. Mówi, że mama była Polką. Czy to prawda? Nie mogę tego sprawdzić. Anna opowiada o sobie zdawkowo po angielsku, policzki jej płoną od alkoholu.

– Co było dla ciebie najgorsze podczas pandemii?

– Częściej chodziłam głodna. Teraz turyści więcej jedzenia zostawiają na plaży i w barach. ©

Autorka pojechała na Cypr w ramach programu PO WER, finansowanego ze środków Europejskiego Funduszu Społecznego.

TOMEK Z „KRAKOWIAKA”

Był chłopakiem ze sztetla, marynarzem na słynnym niszczycielu, na koniec emigrantem. A przez całe życie poetą: Tomasz Appel, wcześniej Apfel.

PIOTR SAUTER-ZAWADZKI

Pierwotnie nosił imię Szyja. Miasteczko Sanniki pod Łowiczem, gdzie się urodził i dorastał przed II wojną światową, będzie pojawiać się później w jego pamięci jako kraina niemal arkadyjska. „Nęciły szpary w parkanie – napisze po latach w wierszu. – Przygodą pachniała przestrzeń / Kusiło nocne spotkanie / Z ukrytym za ścianą świerszczem”.

W innym dopytywał się z nostalgią:

Czy jeszcze w Sannikach jest
Wulczyńska ulica
I rów głęboki pod folwarcznym murem?
Tam niegdyś stała drewniana bóżnica,
W niej Żydzi modły zawodzili chórem.

Tam ojciec za rękę wiódł mnie w soboty,
Sam owinięty modlitewnym szalem,
Szukał w zwojach Tory wiary klucz złoty
Do bram odwiecznych murów Jeruzalem.

Tam też, w przedwojennych Sannikach, zaprzyjaźnił się z Moniką, dużo młodszą córką miejscowego doktora Pawła Sautera. Zjawił się w domu doktorostwa z butami oddanymi komuś z jego rodziny do naprawy. Przyjęto go życzliwie, a przyjaźń z Moniką miała trwać przez całe ich dalsze życie.

„Pamiętam Twoją mamę chodzącą po pokoju ze skurzawką w jednej ręce – wspominał w liście, gdy oboje byli już w wieku senioralnym (ich korespondencja zachowała się w rodzinnym archiwum). – Zwilżonym palcem drugiej ręki przesuwała po meblach, sprawdzając gdzie kurz. Nuciła przytem często piosenkę: »Boże, jakie dawne to czasy, kiedym tu codziennie przychodziła, by się spotkać w tajemnicy gdzieś na rogu tej ulicy«”.

W innym pisał: „Poszedłem w pole za Chłodnikami i narwałem bukiet polnych kwiatów: maki, chabry, stokrotki i inne i zaniosłem je Twojej Mamusi na imieniny. Przyjęła je ze wzruszeniem i powiedziała »to najpiękniejszy bukiet, jaki dziś od kogokolwiek otrzymałam«”.

Dni szczęśliwe

Z czasem życzliwość pani doktorowej przerodziła się w zaufanie, a Szyja zaczął być traktowany jak członek rodziny. „Mama prosiła mnie, żebym nad Tobą czuwał, by mogła z Ojcem pójść na jakąś funkcję socjalno-towarzyską. Miałaś wtedy 7 albo 8 lat. Nawet Bogusi [gosposi] nie chciała Ciebie dowierzyć” – napisze do Moniki.

Akceptacja, a także pomoc w nauce i podsuwane mu do czytania książki (Szyja chłonął lektury) zaowocowały wdzięcznością: „Nie miałem nigdy w życiu szczęśliwszych dni jak te, które przesiedziałem w domu Twoich rodziców, one są mi najdroższym wspomnieniem z przeszłości”.

Z tamtych arkadyjskich czasów zachowała się anegdota, spisana przez syna pani doktorowej. Oto pewnego razu Szyja nie przychodził do domu doktorostwa przez całe trzy dni: „Słyszało się ciągle: »Trzeba iść do sklepu, trzeba zanieść pranie do Anielki, mamy iść do Lipskich, a nie ma z kim dzieci zostawić« – a każde kończyło się nieodmiennie: »Co z tym Szyją?«”. W końcu doktorowa spotkała go przypadkiem na ulicy. „Stanął ze spuszczonymi oczami, a gdy go pogłaskała po czarnej głowie i spytała: »Szyja, dlaczego do nas nie przychodzisz? Nie możemy sobie poradzić bez ciebie«, chłopak wybuchnął płaczem. Długo nie mógł się uspokoić, aż wreszcie wykrztusił, że wstydził się przyjść, bo »mame zrobiła sobie loki z książki pani doktorowej«”.

Na krótko przed wybuchem II wojny światowej rodzina doktora wyprowadza się z Sannik. Szyja odbywa wtedy służbę w wojsku, w piechocie. Na zdjęciu z 1938 r., wykonanym w atelier, prezentuje się w wyjściowym mundurze, z odznaką za wyniki w strzelaniu.

Żołnierz nieuległy

We wrześniu 1939 r. Szyja bierze udział w obronie twierdzy Modlin. Już jako jeniec obozu w Działdowie pisze wiersz „Testament Wrześniowca”:

Nad moją mogiłą łez niech nie roni
Żaden wędrowiec zbłąkany w tę stronę
A kiedy w zadumie głowę swą skłoni
Przez rozpacz niechaj nie mówi:
„stracone”.

Dalsze wojenne przeżycia opisze później w listach. Oddajmy mu głos.

W jednym z nich wzmiankuje, że z obozu jenieckiego udało mu się zbiec. Z dalszych można wnosić, iż postanowił dostać się na Zachód do polskiej armii, i że musiało to mieć miejsce, zanim

ARCHIWUM RODZINNE AUTORA

Tomasz Appel jako marynarz niszczyciela ORP „Krakowiak" podczas II wojny światowej.

w 1941 r. Hitler zerwał sojusz ze Stalinem. Pisze bowiem: „Jak wiesz, byłem ochrzczony w wierze katolickiej w niemieckiej niewoli. Na granicy rumuńskiej we wsi Siemionowka patrol sowiecki zatrzymał [mnie] i zabrał wszystkie dokumenty – zesłali do kopalni węgla w Górach Uralskich".

Zwolniony po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, dostaje się do polskiego wojska. W liście napisze: „W armii Andersa zgłosiłem się do księdza, by się wyspowiadać. Ksiądz odmówił, tłumacząc, że muszę mieć albo dokument, albo świadka. [Potem] W Anglii przy pierwszym spotkaniu z Twoim Tatusiem opowiedziałem mu tę historię. Twój Ojciec jakby był i moim rodzonym – objął mnie i kazał mi zapomnieć o całej tej sprawie".

Na chrzcie Szyja przyjął imię syna doktora: Tomasz. Nie wiemy, kiedy zmienił nazwisko: z Apfel na Appel. Nie oznaczało to jednak, że odrzucił swoją tożsamość: o sobie zawsze będzie mówić, że jest Polakiem żydowskiego pochodzenia.

O pierwszym spotkaniu w Anglii z doktorem, który w polskiej armii na uchodźstwie pełnił funkcję lekarza w komisji kwalifikującej do służby w marynarce, przeczytać można w relacji spisanej przez jego syna: „Pewnego dnia jeden z badanych, nagi jak go pan Bóg stworzył, rzucił się ku ojcu i z płaczem chwycił go w objęcia. (...) Golas nic nie mówił, tylko łkał i tulił ojca do piersi. Ten próbował wydobyć się z uścisku, ale bez skutku. Ojciec nie był ułomkiem, ale chłop wyglądał jak Tarzan. Był dość niski, ale okropnie szeroki w barach. Wreszcie golas wykrztusił: »Panie doktór! Kochany panie doktór! Czy pan mnie poznaje?«".

Z poręczenia doktora Tomasz trafia na polski niszczyciel ORP „Krakowiak". „Na tym okręcie – napisze potem w liście – przebyłem wojnę od 1942 r. Walki ↦

↦ w kanale [La Manche] pod brzegami Francji, konwoje, walki z łodziami podwodnymi na Atlantyku, inwazja Północnej Afryki, inwazja Sycylii i Włoch, walki na Dodekanezach [archipelag na Morzu Egejskim – red.], walki z samolotami, ratowanie alianckich okrętów uszkodzonych przez miny albo storpedowanych, wreszcie inwazja Francji [w 1944 r.], walki z niemieckimi łodziami torpedowymi prawie co noc od dnia inwazji, aż do zakończenia wojny".

ARCHIWUM RODZINNE AUTORA x3

Polski niszczyciel „Krakowiak" uczestniczył w morskich kampaniach aliantów na Atlantyku, Morzu Śródziemnym i podczas desantu aliantów w Normandii.

Marynarz Tomasz

W innym liście wspomina: „W 1943 r. po inwazji Sycylii okręt mój stał w Gibraltarze i tam doszła mnie wiadomość, że rodzina moja została wymordowana przez Niemców" (potem okaże się, że przeżył brat, który zdążył uciec przed Niemcami do Związku Sowieckiego).

Z treści kolejnego listu można sądzić, że doktor, poruszony tragedią Tomasza, otoczył go szczególną troską. „Tata (...) był mi najbliższym człowiekiem na świecie. W Anglii, kiedy okręt mój był na działaniach wojennych na Morzu Śródziemnym i nie wolno mi było pisać listów, Tata dwa razy jeździł do Admiralicji dowiadywać się, co się ze mną dzieje".

Jednym z powodów tej troski była obawa przed antysemickimi ekscesami. Syn doktora zanotował taką zasłyszaną od ojca relację.

„Nie dokuczają ci na statku?" – miał zapytać ojciec.

„Dokuczali, i to jeszcze jak! – odparł Tomasz. – Raz jak spałem, to mi przywiązali do tego, co pan wie, balonik i trzymali mnie, a reszta dmuchała. A raz to mi pomalowali to, co pan doktór wie, farbą do burt! Ładną farbą pomalowali, na błękitno. Tutaj taki kolor nazywa się »Mariner Blue«. Siedziałem później z miseczką i moczyłem w acetonie, a oni stali wkoło i się śmiali".

„Prowodyr to był bosman, chłop dwa metry, szeroki jak szafa – wspominał. – Wymoczyłem się, wytarłem, włożyłem gatki, wstałem i lu tego największego bosmana w mordę! Biliśmy się ze dwadzieścia minut. Nikt nie przeszkadzał, tylko patrzyli, czy oficer nie idzie. Boże, jak myśmy się tłukli! Wybił mi ząb. Wreszcie udało mi się rąbnąć go w dołek. On się zgiął i wtedy dałem mu zamachowego z dołu w nos. Przewrócił się. Podałem mu rękę. Stanął chwiejnie i ruszył ku mnie, ale wyrżnąłem go od dołu w brodę i runął do tyłu. »Czy pan bosman ma jeszcze jakieś życzenie?« – pytam. »Mam dość, Żydku« – mówi niewyraźnie, bo ma pełną gębę krwi. Odwróciłem się. Jeden wyciąga do mnie rękę. Naprężyłem się i zasłoniłem twarz, ale on śmieje się, podaje mi mokry ręcznik i mówi: »Masz, wytrzyj pysk, Tomasz«. Od tego czasu jest dobrze. Pierwszy raz wtedy powiedzieli do mnie – Tomasz".

W Angielskim Kanale

Jest lato 1944 r. W czerwcu zaczął się desant na plażach Normandii, trwa bitwa o utrzymanie przyczółka, z którego alianci będą potem wyzwalać Europę Zachodnią. Na lądzie uczestniczy w niej polska 1. Dywizja Pancerna gen. Maczka, a na morzu „Krakowiak", który krąży po Kanale La Manche, zabezpieczając linie zaopatrzeniowe z Anglii do Normandii.

Gdy w Warszawie zaczyna się powstanie, 16 sierpnia na pokładzie niszczyciela Tomasz pisze wiersz „Barykada" (wydrukują go potem londyńskie „Wiadomości Literackie"):

Noc. Okręt rytmicznie się kołysze
i na gładkiej wodzie kreśli zygzaki.
Fale skrzydlate jak spłoszone ptaki
Uciekają gdzieś – i giną.
Wtem słyszę:
Lewo dwadzieścia nieprzyjaciel. –
Niemcy!
Lewo na burt!
Okręt się kładzie –
Nieprzyjaciel przed dziobem.
Kąt kursowy, a potem – ognia!
Więcej, strzelać więcej!
Bo tam... widzisz?... o tam.
– Gdzie? tam przed dziobem?
– To nie ścigacze,
To czołgi idą, na barykady.
(...)
To Warszawa płonie.
Jak pochodnia wolności, tu, pod obcym niebem
W mym zranionym łonie,
Warszawa płonie.
(...)
– Tak cię widzę w Angielskim Kanale
Miasto radości i cierpienia,
Miasto bez domów i bez bruku,
Dumne i samotne w walki zapale.
Ciebie przemoc nie złamie i śmierć nie zwycięży –
Bo jesteś z płomienia.
I tak co noc twe puste przemierzam ulice,
Gdzie na grobach milczące spoczywają cienie
i wszystko co jest walką Twoim chrzczę imieniem
W królestwie cierpień tylko znam jedną Stolicę.

Czas powrotów

Do pojałtańskiej Polski Tomasz wraca w tym samym 1947 r., w którym jakiś czas przed nim wrócił też doktor. Przed wyjazdem z Anglii pisze list do żony doktora, Janiny, która czas wojny spędziła w kraju, rozdzielona z mężem: „Ja tu kupiłem hamak (...). Jak przyjadę, to akurat będzie lato. Rozwiesimy ten hamak między drzewami w jakimś sadzie wiśniowym, jak ten w Sannikach, koło plebanii. Pani będzie sobie leżała jak hrabina Potocka, a ja będę pani czytał piękne wiersze Lechonia, Wierzyńskiego, Tuwima".

Ta zapowiedź nie mogła się ziścić. Janina umiera, zanim Tomasz zdąży wrócić. Odtąd towarzyszy mu w pamięci. „Oprócz »Łuku Triumfalnego« – będzie wspomi-

nać w liście do Moniki – pamiętam jeszcze doskonale Romain Rollanda »Anetka i Sylwia«, czyli »Dusza Zaczarowana«. Pamiętam cytatę Schillera! »O synowie moi, świat pełen jest kłamstwa i zdrady, a każdy jeno siebie kocha. (...) Szczęsny ten, któremu urodzenie daje brata, we dwu się bowiem opierać mogą wspólnie walkom i zdradzie tego świata«. Powyższa cytata to z pomnika Twojej Mamy".

Swoje wyobrażenia o powrocie wyrazi w wierszu:

Marzyłem, że wrócę do Sannik po wojnie
(...)
Wylegną ludzie na zakurzone ulice,
Orkiestra strażacka marszem mnie
powita.
Powrócił z wojny marynarz! Słyszycie?
Każdy ściska, zaprasza, każdy o coś pyta.

No bo jakże! – ze wszystkich sannickich
chłopaków
Ja jeden walczyłem na „Krakowiaku".

Kraj przywitał go bardziej prozaicznie: skradziono mu walizkę.

Początkowo zamieszkał w sanatorium w Bukowcu, w Kotlinie Jeleniogórskiej, w domu doktora. – Byliśmy bardzo dumni, że mamy takiego dzielnego brata marynarza – wspominała Ewa, najmłodsza z dzieci doktora, wówczas ośmioletnia. – Bo myśmy go traktowali jak naszego najstarszego brata.

Czas decyzji

Zbliżający się do trzydziestki Tomasz postanawia zacząć studia. Zapisuje się na wydział polonistyczny we Wrocławiu. „Nauka – pisze żartobliwie do Moniki – to ciężka robota. Z łezką w oku wspominam teraz najcięższe przeprawy morskie".

Nie poświęca się bez reszty studiom. Lubi żyć bujnie. W rodzinie doktora napomyka się o jego romansach. On sam po latach, już schorowany, będzie wracać do czasów młodości, gdy „zamiast wizyt szpitalnych człowiek chodził na buch-cik-ciki, tańczył tango »la cumparsita« albo walce angielskie, a partnerka odstawiała »gibanego« ruchami »pantery« lub »city« (lamparta)".

Wkrótce jednak zaczynają mu doskwierać niedostatki w życiu osobistym, jak i panująca w komunistycznej Polsce atmosfera. Zdarza się wtedy coś, o czym nie chciał opowiadać: jego, byłego anderso wca i marynarza z „Krakowiaka", zaczyna nękać Urząd Bezpieczeństwa.

Szyja Apfel jako żołnierz Wojska Polskiego, Modlin, 1938 r. Zdjęcie podpisane: „Kochanej Monice".

Tomasz Appel w 1950 r.; w tym samym roku wyemigruje do Izraela, a stamtąd później do Australii.

On sam tego nie ukrywa, ale nie chce wyjawiać szczegółów. O tych rozmawia tylko z doktorem, którego traktuje jak ojca. W napisanym pod koniec 1949 r. liście, w którym zawiadamia Monikę o swym pośpiesznym ożenku, wspomina: „Ciężko mi myśleć o rozstaniu i wszystkim, co nas łączy. Nie widzę innego wyjścia i innej drogi. (...) Dla Ciebie wiele rzeczy jest jeszcze niezrozumiałych – lepiej tak. Nawet nie chciałbym Ci tego tłumaczyć, by nie mącić czystego źródła Twych myśli o otaczającym Cię świecie".

Efektem rozmów z doktorem jest decyzja Tomasza o emigracji. Pozostanie w kraju – takie jest zdanie doktora – grozi mu tym, że wpadnie między koła młyńskie ówczesnych konfliktów, w których przypaść może mu jedynie rola ofiary.

Po latach Tomasz powie w rozmowie z Moniką, że funkcjonariusze UB, którzy go nachodzili, byli pochodzenia żydowskiego. Powie jej też z goryczą, że wystarczyłoby, aby rzucił do nich hebrajskie „Amhu" (w wolnym przekładzie: jesteśmy z jednego narodu) i „te sukinsyny dałyby mi spokój".

Tego nie chciał zrobić, nie wobec nich. Nie chciał ani współpracować, ani być ofiarą. Wolał odejść.

Zegarek

W roku 1950 Tomasz emigruje do Izraela. Po pięciu latach jedzie dalej, do Australii, już na stałe. „Przyjechaliśmy (...) w czwartek, a w poniedziałek (...) pracowałem już jako konduktor na tramwaju – pisał o swych australijskich początkach w Sydney. – Po trzech miesiącach (...) dostałem pracę sprzedawcy w sklepie odzieżowym. W 1968 r. założyłem własny sklep, pracując wedle zasady: »Zadowolony klient jest najlepszą reklamą«".

Z krajem nigdy się nie rozstał. Mimo upływu lat przejmował się jego losem. „Ta Polska, moja Ojczyzna – pisał z Australii – przypomina mi często moją biedną Matkę. Kiedy zimą była bieda, kiedy nie było co jeść, a szczególnie przed Szabasem, robiła w piątek ogień z resztek opału w »suce« [żelaznym piecyku]. Stawiała na tym garnek z wodą. W ten sposób chciała, żeby sąsiedzi, widząc dym idący z komina, pomyśleli, że coś na ten święty dzień gotuje".

Polskę odwiedził w 1981 r. Skontaktował się z nim wtedy pewien mężczyzna, znajomy Moniki. Nalegał, że muszą się spotkać. On też pochodził z Sannik. Podczas spotkania opowiedział o wydarzeniu z czasów okupacji, gdy jako chłopiec był świadkiem wywózki miejscowych Żydów.

– Kiedy znalazłem się w pobliżu – relacjonował – przywołał mnie skrycie jeden z pańskich braci i włożył mi do ręki kieszonkowy zegarek, pamiątkę po waszym ojcu. Powiedział, że nie wie, co Niemcy z Żydami zrobią, więc daje mi ten zegarek, abym go przechował. Jeśli przeżyje, zgłosi się po niego, jeśli nie, zegarek będzie mój.

Mężczyzna rozchylił dłonie.

– To jest właśnie ten zegarek – oświadczył. – Oddaję go panu.

© PIOTR SAUTER-ZAWADZKI

NAUKA

PODMIOT ROGATY

Ludzka cywilizacja i technologia wyrządziły wiele szkód zwierzętom. Ale coraz częściej tworzy się rozwiązania i urządzenia, które stawiają ich dobrostan na pierwszym miejscu.

MARTA ALICJA TRZECIAK

Mogłoby się wydawać, że nic bardziej uprzedmiotowiającego zwierzęta niż poskrom – urządzenie stosowane do unieruchamiania krów czy świń podczas zabiegów. Metalowe ramy, dźwignie i pasy, z których się składa, kojarzą się z czymś niedelikatnym i niezbyt czułym na indywidualność. Ale właśnie to „bezduszne" urządzenie stało się inspiracją dla „maszyny do przytulania" zaprojektowanej przez psycholożkę i zoolożkę Temple Grandin.

Podobnie jak wiele innych osób z zaburzeniami ze spektrum autyzmu, Grandin borykała się z nadwrażliwością na różne bodźce zmysłowe, co prowadziło u niej do poczucia przytłoczenia i ataków paniki. Jeszcze w czasie studiów zauważyła, że ulgę w takich stanach może dawać delikatny fizyczny ucisk – taki, jakiego doświadczają krowy w poskromie uciskowym, po wejściu do którego szybko się uspokajają. Grandin stworzyła odpowiednik urządzenia dla siebie samej, a potem wprowadziła modyfikacje do wersji przeznaczonej dla zwierząt. Oba te wynalazki znajdują do dziś zastosowanie zarówno w terapii niektórych osób z autyzmem, jak i w zootechnice.

Zwierzęciocentryzm

Powyższy przykład pokazuje, że technologia nie musi uprzedmiotowiać zwierząt, nawet wtedy, gdy wydaje się traktować je „bezosobowo". Dotyczy to w szczególności technologii nowoczesnej, którą w coraz większym stopniu dostosowuje się nie tylko do wymogów hodowcy, ale też do potrzeb zwierzęcia. Jak podkreślają Gerardo Caja i współpracownicy w pracy opublikowanej w 2016 r. w „Journal of Dairy Research", współczesna inżynieria chowu i hodowli jest bardziej „zwierzęciocentryczna" niż przed laty.

Jednym z tego przejawów jest indywidualizacja. Np. zautomatyzowane urządzenia dojarskie, jakie zaczyna się stosować w nowoczesnych farmach mlecznych, mogą nie tylko rozpoznawać poszczególne osobniki w stadzie, ale też w pełni dostosować się do ich trybu życia i prowadzić ewidencję ich udoju.

Dzięki temu krowy mogą przebywać na pastwisku wtedy, kiedy chcą i jak długo chcą. Mogą też same decydować, kiedy i jak często będą dojone. Gdy czują taką potrzebę, kończą pasanie i podchodzą do aparatury, która rozpoznaje ich indywidualne cechy, oczyszcza wymiona, a następnie podpina do nich do-

PAULA BRONSTEIN / GETTY IMAGES

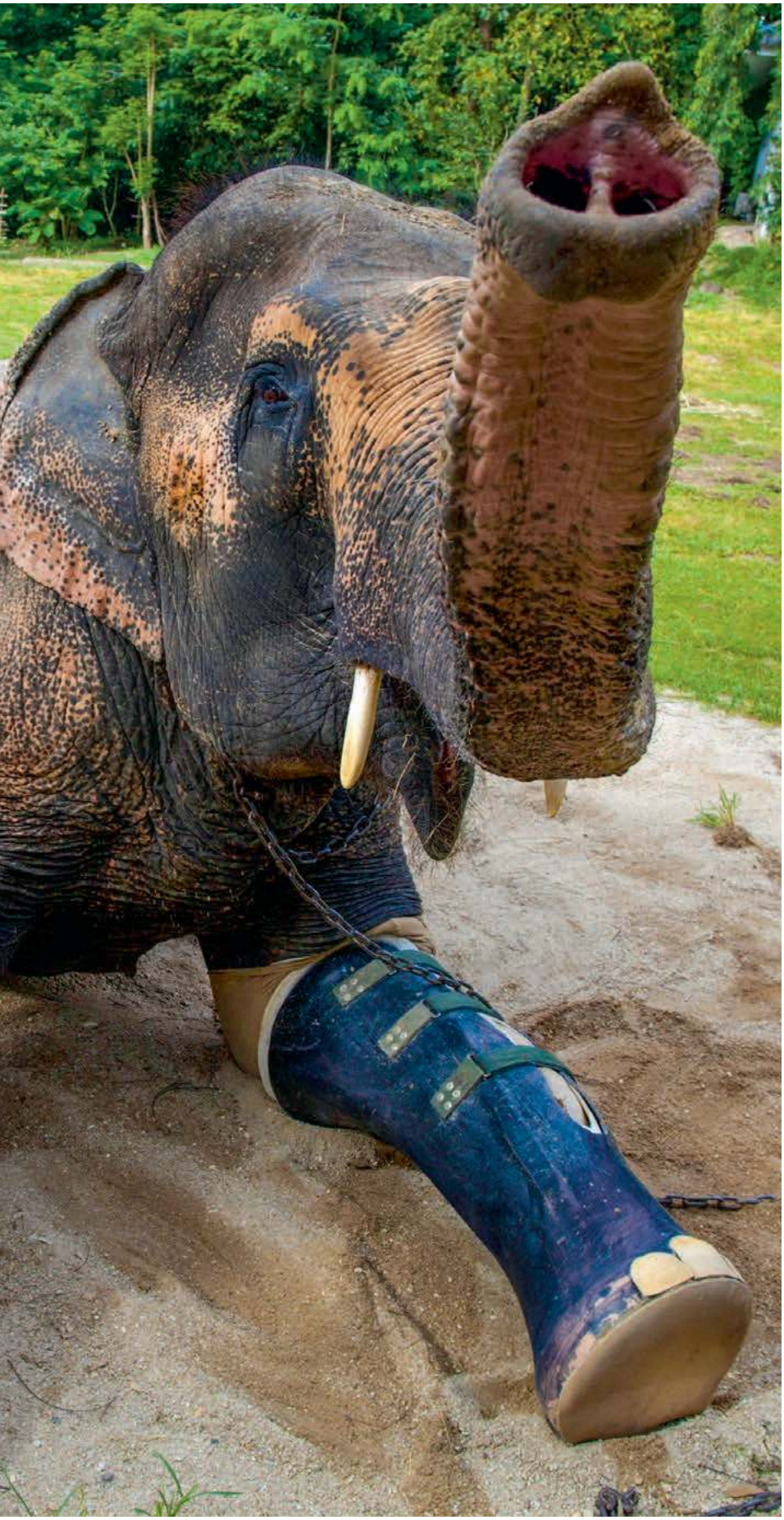

jarkę. Takie rozwiązanie – podkreślają autorzy – pozostaje w zgodzie z naturalnym zachowaniem zwierzęcia i pozwala mu zaspokajać swoje potrzeby w optymalny sposób.

Nowoczesne rozwiązania mogą sprzyjać dobrostanowi zwierząt również w tzw. hodowli precyzyjnej (ang. *precise farming*). Jest to termin przeciwstawiany hodowli intensywnej, masowej, w której zwierzęta nie są traktowane indywidualnie, lecz jako grupa, a wszystkie działania podejmowane w odniesieniu do nich (leczenie, rozród, transport) realizowane są masowo i dotyczą wszystkich osobników o zbliżonym wieku lub masie ciała.

Taka hodowla ma sporo negatywnych konsekwencji. Kiedy całe stado traktowane jest jak jeden organizm, podejmowane działania muszą być zawsze uśrednione i nigdy nie są optymalne dla każdego zwierzęcia z osobna. Przykładowo, gdy u części osobników pojawi się infekcja, wszystkie dostaną antybiotyki, mimo że niektóre go nie potrzebują.

To prowadzi nie tylko do niepotrzebnej farmakoterapii poszczególnych zwierząt, ale też – jak twierdzą Calvin Ho-Fung Lau i współpracownicy w analizie opublikowanej w 2017 r. w „Applied and Environmental Microbiology" – wpływa negatywnie na środowisko i zwiększa ryzyko rozwoju opornych na antybiotyki szczepów bakterii.

W przykładowej fermie hodowli precyzyjnej, jak piszą Madonna Benjamin i Steven Yik w pracy opublikowanej w 2019 r. w czasopiśmie „Animals", każda świnia nosi założony na uchu czujnik, który monitoruje podstawowe parametry jej ciała. To sprawia, że opiekun zwierzęcia może wychwycić przejawy stresu czy choroby, jeszcze zanim pojawią się zaawansowane objawy kliniczne.

Dzięki temu można nie tylko podać zwierzęciu leki, zanim choroba się rozwinie; można też rozpoznać i zareagować na jego poczucie dyskomfortu, wynikające np. z nieodpowiedniej temperatury powietrza, zbyt dużego ścisku czy trudności z realizowaniem naturalnego zachowania (w przypadku świń: potrzeba rycia w podłożu czy eksplorowania otoczenia). ↦

50-letni słoń Motala, który stracił nogę w wybuchu miny przeciwpiechotnej, po założeniu protezy. Szpital dla słoni w Mae Yao National Reserve, Tajlandia, sierpień 2011 r.

Niemożliwe mięso

Można pójść o krok dalej i wykorzystać nowoczesną technologię, by całkowicie wyeliminować cierpienie zwierząt hodowlanych. Oczywiście, do najprostszego rozwiązania, jakim jest przestawienie się na dietę roślinną, nie potrzeba żadnej technologii, ale nie każdy jest gotowy na taką decyzję: jak wynika z pracy przeglądowej Christophera Bryanta i Julie Barnett opublikowanej w 2018 r. w „Meat Science", większość respondentów dostrzega zależność pomiędzy intensywną hodowlą a cierpieniem zwierząt, ale tylko niewielka część z nich przyznaje, że skłania ich to do rezygnacji z konsumpcji mięsa.

Dlatego wiele firm biotechnologicznych pracuje nad stworzeniem mięsa – lub jego odpowiednika – niebędącego produktem poubojowym. Można tu wyróżnić dwa trendy, które doczekały się już rozwiązań komercyjnych. Pierwszy sprowadza się do stworzenia produktu, który smakuje, pachnie i wygląda jak mięso, ale nie ma w nim surowców pochodzenia zwierzęcego (specjalnej obróbce poddaje się m.in. olej kokosowy czy soję). Takie rozwiązanie wybrały m.in. firmy Beyond Meat czy Impossible Burger.

Inne firmy, takie jak Upside Foods czy Just, wytwarzają prawdziwe mięso w laboratoriach. W tym celu przeprowadza się bezbolesny (wykonywany w znieczuleniu) zabieg u żywego zwierzęcia, polegający na pobraniu niewielkiej próbki tkanki mięśniowej. Z niej ekstrahowane są mioblasty, czyli komórki zdolne do wytwarzania miocytów (komórek mięśni). Umieszcza się je na specjalnym podłożu, tworząc kulturę hodowlaną, której dostarcza się potrzebnych składników odżywczych. Komórki nakładane są na kolagenowe mikrosfery, gdzie namnażają się i formują większe struktury mięśniowe. Wtedy zamykane są w bioreaktorze, który zapewnia wewnątrz optymalne, kontrolowane warunki.

Uzyskawszy odpowiednią liczbę włókien mięśniowych (do wytworzenia jednego plasterka bekonu potrzeba kilku tysięcy włókien), produkt poddaje się końcowym procesom, które mają mu nadać odpowiednią strukturę i smak.

Celem wspomnianych firm jest teraz uzyskanie konkurencyjnych cen – wyhodowany w laboratorium filet z kurczaka ma w ciągu kilku najbliższych lat kosztować do 20 dolarów za kilogram.

TALSEN / ADOBE STOCK

Wyprodukowanym w laboratorium mięsem najbardziej zainteresowani są ci, którzy proces chowu i hodowli znają z bliska.

Kolejnym obok mięsa przedmiotem zainteresowania biotechnologów jest mleko, którego syntetyczne odpowiedniki mają się docelowo niczym nie różnić od mleka „prosto od krowy" – z wyjątkiem tego, że wypływają nie z wymion, lecz z reaktora laboratoryjnego. Przy odrobinie staranności można zadbać o identyczny skład cukrów, aminokwasów czy mikroelementów, a dzięki nowoczesnej biotechnologii komplet białek mleka krowiego mogą produkować genetycznie zmodyfikowane bakterie albo drożdże.

Z przytoczonej już pracy przeglądowej wynika, że stosunek respondentów do tego typu produktów może różnić się w zależności od płci, poglądów politycznych czy narodowości. Generalnie mężczyźni są bardziej pozytywnie nastawieni do mięsa „syntetycznego", kobiety zaś bardziej skłonne do zastępowania produktów mięsnych roślinnymi odpowiednikami.

Przedstawiciele jednej i drugiej płci chętniej zrezygnują z mięsa na rzecz nowoczesnych zamienników, gdy ich poglądy reprezentują lewą stronę sceny politycznej. Reprezentanci poszczególnych narodowości również mogą cechować się odmiennym stosunkiem do mięsa „niehodowlanego": nawet narody o analogicznym poziomie rozwoju i żyjące blisko siebie mogą znacząco różnić się w tym zakresie.

Potwierdzają to badania opublikowane w 2020 r. w „Foods" przez wspomnianego już Christophera Bryanta i współpracowników, z których wynika, że choć ponad 53 proc. mięsożernych Niemców byłoby skłonnych przestawić się na mięso laboratoryjne, chęć taką deklaruje tylko 34 proc. Francuzów.

Badania dotyczące innych zachodnich narodowości, np. mieszkańców USA, wskazują też, że większość konsumentów chętnie spróbowałaby produktów mięsnych pozyskanych in vitro, ale jednocześnie nie deklarują oni, iż całkowicie zastąpiliby nimi tradycyjne mięso pochodzące od zwierząt hodowlanych.

Co ciekawe, największa gotowość do tej zmiany cechuje te osoby, które pracują w branży agrobiotechnologicznej i zootechnicznej lub kiedyś w życiu zetknęły się z tymi branżami. To by oznaczało, że „niezwierzęce mięso" interesowałoby zwłaszcza tych, którzy proces chowu i hodowli znają z bliska.

Biozgodne protezy

Nowe technologie sprzyjają jednak nie tylko zwierzętom hodowlanym. Są one szansą na całkiem nowy poziom opieki również dla naszych domowych pupili, a także dla osobników, które są szczególnie cenne przyrodniczo.

Jeszcze do niedawna stopień zaawansowania niektórych dziedzin medycyny weterynaryjnej nie mógł dorównać medycynie ludzkiej – chociażby z tego powodu, że spektrum zróżnicowania pacjentów weterynaryjnych uniemożliwia standaryzację niektórych zabiegów i działań. Zwierzęta różnią się nie tylko gabarytami, ale też metabolizmem czy reakcją na niektóre leki. Dlatego też zabiegi muszą być indywidualnie dopasowywane do najróżniejszych organizmów – od ratlerka, przez tukana, aż po słonia afrykańskiego. Z tego właśnie powodu jeszcze do niedawna dziedziny takie jak protetyka weterynaryjna miały wiele ograniczeń.

Współcześnie, dzięki nowym technologiom, ma ona na koncie takie dokonania jak: bioniczne, elastyczne protezy czterech kończyn u kota, proteza podporowa nogi słonia, a także protezy dziobu tukana, karapaksu żółwia, rogu nosorożca czy łapy kaczki.

Co więcej, jeszcze do niedawna toporność i niedoskonałość weterynaryjnych protez sprawiały, że zadania ich stworzenia podejmowano się tylko wtedy, gdy zwierzę nie było w stanie wykonywać bez

nich najbardziej podstawowych czynności, takich jak chodzenie. Obecnie cele protetyków są znacznie bardziej wysublimowane: mają nie tylko umożliwić przetrwanie, ale też poprawić komfort życia zwierzęcia i – jak mamy prawo przypuszczać – jego samopoczucie.

Taki właśnie cel postawili sobie twórcy jednego z najbardziej precyzyjnych i specjalistycznych substytutów protetycznych, jakie wykonano w ostatnich latach – protezy dziobu oraz kasku (czyli zdobnej rogowej narośli na dziobie) dzioborożca wielkiego. Jak piszą Shangzhe Xie i współpracownicy w artykule opublikowanym w 2019 r. w „PLOS ONE", ptasi pacjent, 22-letni samiec, stracił wspomniane części ciała wskutek amputacji radykalnej – metody leczenia raka kolczystokomórkowego, którego zdiagnozowano w jego tkankach dziobowych.

Dzioborożce dożywają nawet 50 lat, a ich dzioby są najbardziej charakterystyczną (i najważniejszą z perspektywy rozrodu) cechą aparycji. Dziobowy wyrostek kostny wraz ze zdobną puszką rogową mierzy ponad 30 cm i cechuje się bardzo skomplikowanym kształtem przestrzennym. Dlatego wykonanie jego substytutu nie byłoby możliwe bez precyzyjnego skanowania ciała zwierzęcia, cyfrowego modelowania wykorzystującego specjalne oprogramowanie i drukowania przestrzennego.

Maszynowa ochrona przyrody

Także specjaliści od ochrony dzikiej przyrody chętnie korzystają z nowych technologii. Prowadzenie badań w tym zakresie i wdrażanie skutecznych interwencji wymaga m.in. gromadzenia olbrzymich ilości danych. Jakie są codzienne zwyczaje najbardziej zagrożonych gatunków? Jak ich populacje rozmieszczone są w poszczególnych ekosystemach? Gdzie przebiegają ich szlaki komunikacyjne? Które lokalizacje są kluczowe dla funkcjonowania dzikich zwierząt, a które pełnią drugorzędną rolę?

Znalezienie odpowiedzi na te pytania staje się obecnie łatwiejsze. Szczególnie przydatne w tym zakresie są odpowiednio rozmieszczone fotopułapki, które wykonują zdjęcie za każdym razem, gdy jakiś ruchomy obiekt (w założeniu badaczy – zwierzę) aktywuje czujnik. Ale tylko jeden taki aparat może dostarczyć kilkadziesiąt, a nawet kilkaset zdjęć w ciągu doby. To oznacza, że barierą w zdobywaniu informacji na temat zagrożonych gatunków jest często nie tyle zbyt mała ilość zebranych danych, lecz ich analiza – coraz częściej powierzana sztucznej inteligencji.

Przykładowo, Michael A. Tabak i współpracownicy w 2018 r. w „Methods in Ecology and Evolution" opisali sieć neuronową, która po odpowiednim „wytrenowaniu" była w stanie rozpoznać gatunki zwierząt, analizując dwa tysiące fotografii na minutę (na zwyczajnym laptopie), a dokładność jej działania wynosiła aż 98 proc. w odniesieniu do rodzimej dla badaczy – amerykańskiej – fauny.

Jeszcze dalej poszli ci uczeni, którzy nie poprzestali na korzystaniu z nowoczesnej technologii w zakresie samego tylko rozpoznawania gatunków, ale też zastosowali ją do stworzenia globalnej platformy wymiany wiedzy. Nawet najbardziej precyzyjne dane na temat jednego ekosystemu nie są szczególnie istotne, jeśli są analizowane w oderwaniu od całego kontekstu przyrodniczego. Innymi słowy, informacja, że w danym lesie żyją borsuki, jest oczywiście cenna, ale nie ma kluczowego znaczenia dla ochrony biosfery. Dlatego też wiele organizacji zajmujących się ochroną przyrody współtworzy globalne platformy danych w chmurze, które są dostępne dla wszystkich badaczy na całym świecie.

Jednym z takich projektów jest Wildlife Insights, który został powołany do życia m.in. przez World Wide Fund for Nature, Smithsonian Institution, Wildlife Conservation Society oraz Google. Jak wynika z analizy opublikowanej w 2020 r. w „Environmental Conservation" przez Jorgego Ahumada i współpracowników, jest to – na chwilę obecną – największa otwarta platforma analizy danych tego typu.

Wszystkie te doniesienia i trendy z ostatnich lat obrazują pewną zmianę w naszym podejściu do ochrony przyrody i dobrostanu zwierząt. Pokazują też, że technologia – do niedawna kojarzona z czymś obojętnym lub wręcz uprzedmiotowiającym zwierzęta – może stać się ich wielkim sprzymierzeńcem. A nas może nie tylko nie oddalać od przyrody, ale wręcz do niej zbliżać.

© MARTA ALICJA TRZECIAK

ZA TYDZIEŃ W „TYGODNIKU" SPECJALNY DODATEK

XXX Festiwal Ars Cameralis

A W NIM:

- O KOSMOSIE – haśle tegorocznej edycji festiwalu, Stanisławie Lemie, jubileuszu i programie imprezy – z dyrektorem Instytucji Kultury Ars Cameralis MARKIEM ZIELIŃSKIM oraz kuratorami festiwalu TOBIASZEM MELANOWSKIM i EWĄ SUROWIEC rozmawia Grzegorz Nurek.
- „Niech nas nie zmyli wizja kosmosu jako wszechpotężnej przestrzeni, którą za wszelką cenę należy ujarzmić i przerobić w kolejny łup dla deweloperów. Kosmos to raczej drobny zakamarek pomiędzy oczekiwaniami, gdzie, jak pisał serbski poeta Miroljub Todorović, ważne są trzy elementy: materia, energia i zabawa" – esej JAKUBA KORNHAUSERA, poety, tłumacza i gościa Festiwalu Ars Cameralis.

PARTNER: Ars Cameralis Silesiae Superioris

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

NAGRODA CONRADA

2021

24 października już po raz siódmy zostanie wręczona Nagroda Conrada, prestiżowe wyróżnienie za najlepszy debiut prozatorski poprzedniego roku. Ceremonię uświetnią wykłady mistrzowskie Alexa Kotlowitza i Izabeli Morskiej.

„Szalejów"
Maciej Bobula
(wydawnictwo j)

„Halny"
Igor Jarek
(Nisza)

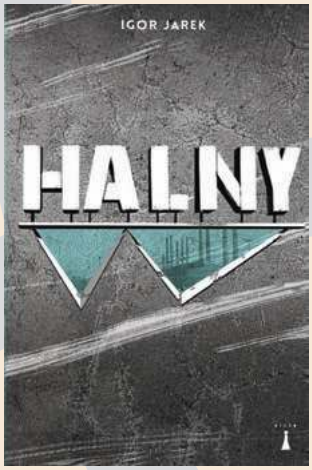

Gala Nagrody Conrada będzie dostępna na:

Conrad Festival

Tygodnik Powszechny

kanale KBF

platformie PLAY KRAKÓW

Zeskanuj link do głosowania:

www.conradfestival.com

CONRAD FESTIVAL

„Bestiariusz nowohucki”
Elżbieta Łapczyńska
(Biuro Literackie)

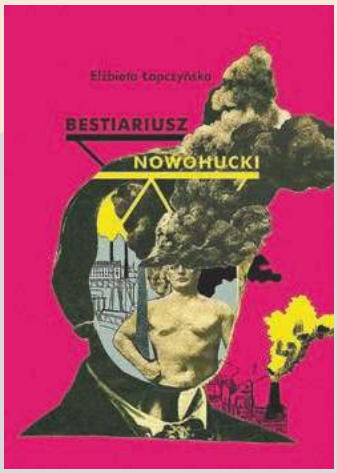

„Bezmatek”
Mira Marcinów
(Wydawnictwo Czarne)

„Niż”
Maciej Topolski
(Korporacja Ha!art)

Organizatorzy

Kraków

INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

kbf: operator programu

KRAKÓW UNESCO CITY OF LITERATURE

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Dofinansowanie

Ministerstwo Kultury Dziedzictwa Narodowego i Sportu

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

TYGODNIK POWSZECHNY

Czuły „Tygodnik”

Dobra passa „Tygodnika Powszechnego”

10 września Przemysław WILCZYŃSKI otrzymał Nagrodę Koalicji na rzecz Rodzinnej Opieki Zastępczej „Czuły sygnalista” za publikowane w „Tygodniku Powszechnym” teksty poświęcone problematyce rodzicielstwa zastępczego i dzieci „z trudnych miejsc”.

20 września Łukasz GRAJEWSKI odebrał w gdyńskim Muzeum Emigracji Nagrodę im. Macieja Płażyńskiego za reportaż z Niemiec „Jesteśmy towarem” o sytuacji polskich imigrantów pracujących w tym kraju.

23 września film Aleksandry POTOCZEK „xABo: Ksiądz Boniecki”, wyprodukowany przez Fundację Tygodnika Powszechnego, został zwycięzcą Grand Prix na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Dokumentalnych Flahertiana w Rosji. Przypominamy, że film dostał na Krakowskim Festiwalu Filmowym 2020 Nagrodę im. Macieja Szumowskiego, przyznawaną za „szczególną wrażliwość na sprawy społeczne”.

3 października współpracujący z „Tygodnikiem Powszechnym” reporter Zbigniew ROKITA dostał dwie nagrody: Nike oraz Nike Czytelników (pierwsza przyznawana przez jury, druga przez czytelniczki i czytelników w głosowaniu), za książkowy reportaż „Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku”.

6 października „Tygodnikowy” eseista Maciej TOPOLSKI został nominowany do Nagrody Conrada za „Niż” – zbiór prózpoetyckich poświęconych pracy kelnerskiej.

8 października poznaliśmy listę nominowanych do nagrody Popularyzator Nauki 2021, przyznawanej przez prowadzony przez PAP serwis „Nauka w Polsce”. W kategorii Media nominowani zostali Łukasz LAMŻA i Wojciech BRZEZIŃSKI z działu naukowego „Tygodnika Powszechnego”, a w kategorii Naukowiec nominowano Annę ŁOSIAK, piszącą w „Tygodniku” o geologii planetarnej.

8 października na Festiwalu Twórczości Wrażliwej Społecznie w kategorii „Reportaż EkoWrażliwy” wyróżnienie otrzymał Krzysztof STORY za tekst „Najłatwiejszy przemyt świata” (powstały we współpracy z międzynarodowym zespołem dziennikarzy śledczych i ukazujący kulisy przemytu pestycydów do Europy). Anna MIKULSKA otrzymała I nagrodę w kategorii „Twórca szczególnie wrażliwy” m.in. za reportaż „Dziś nam trzeba pięciu” o afrykańskich imigrantach na Sycylii. Wojciech SZUMOWSKI, reżyser wyprodukowanego przez Fundację Tygodnika Powszechnego filmu o Dariuszu Popieli „Ukos światła”, otrzymał wyróżnienie w kategorii „Film dokumentalny/reportaż filmowy” za film „Oni mieli imiona”.

13 października nominację do Nagrody Radia ZET im. Andrzeja Woyciechowskiego – mającej na celu „uhonorowanie dziennikarzy za odwagę w docieraniu do prawdy i odkrywanie tego, co wcześniej było ukryte lub niedopowiedziane” – otrzymał Łukasz GRAJEWSKI za reportaż „Prawdziwe koszty szparaga”. By napisać ten tekst, nasz korespondent zatrudnił się na niemieckiej farmie szparagów, gdzie „Polacy i Rumuni są obywatelami drugiej kategorii”.

„Tygodnik Powszechny” – suwerenny dzięki Czytelniczkom i Czytelnikom.
Rośniemy z Wami!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

SZTUCZNA INTELIGENCJA. PODRÓŻ W NIEZNANE

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 43/2021

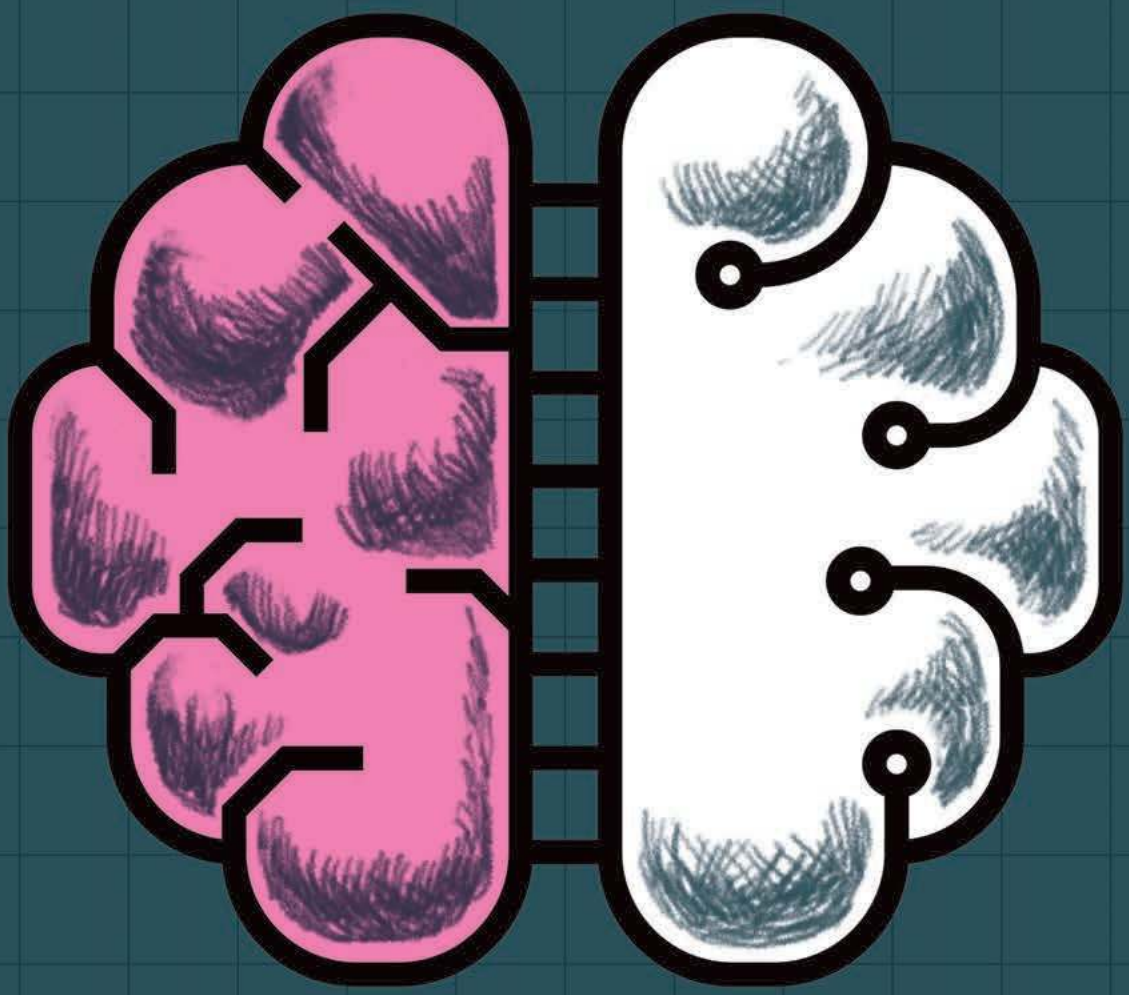

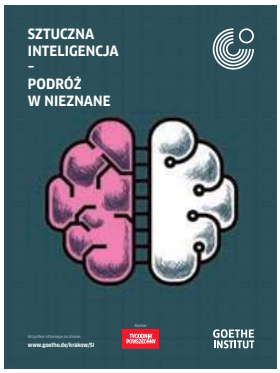

Na okładce: Łukasz Dudasz, Grupa Autograf, Goethe-Institut, plakat serii wydarzeń Sztuczna inteligencja – podróż w nieznane

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO
„TYGODNIKA POWSZECHNEGO”
NR 43/2021
www.TygodnikPowszechny.pl

REDAKCJA:
Łukasz Kwiatek

OPIEKA WYDAWNICZA:
Maja Kuczmińska
Anna Pietrzykowska
Marta Filipiuk-Michniewicz

PROMOCJA:
Patryk Stanik
Monika Ochędowska

PROJEKT GRAFICZNY:
Marek Zalejski

FOTOEDYCJA:
Jacek Taran

SKŁAD:
Anna Prusiewicz
Renata Surowiec
DoLasu

KOREKTA:
Katarzyna Domin
Sylwia Frołow
Maciej Szklarczyk

PARTNERZY

GOETHE INSTITUT

FUNDACJA PANOPTYKON

Copernicus Center

Robot-przewodnik na lotnisku w Seulu. Korea Południowa, czerwiec 2018 r.

Belfrzy i bystrzaki

ŁUKASZ LAMŻA

Programiści zamieniają się dziś w nauczycieli, a algorytmy to banda niesfornych dzieciaków, z okazjonalnym błyskiem geniuszu.

Jest czerwiec 2021 r. W chińskim mieście Xi'an na Międzynarodowej Konferencji Robotyki i Automatyki grupa ekspertów pilnie przygląda się najbardziej zaawansowanym samodzielnym robotom-pomocnikom. Zadanie: przygotować śniadanie składające się z zimnego mleka i płatków śniadaniowych, a następnie po nim posprzątać.

Jednym z faworytów jest PR2 przygotowany przez niemieckich inżynierów z Uniwersytetu w Bremie, którzy przez lata uczyli swego robota rozpoznawania kształtów, chwytania drobnych przedmiotów, rozumienia poleceń głosowych i realizowania złożonych celów. Konkurs, noszący nazwę Robot Household Marathon Experiment, przewiduje, że robotyczny pomocnik ma być w czasie wykonywania zadania całkowicie samodzielny i przyjmować wyłącznie polecenia wyrażone na głos zwykłym językiem

(np. „Mleko jest w lodówce") – grupka przejętych inżynierów śledzi więc poczynania swojego urządzenia z oddali, nie mogąc mu w żaden sposób pomóc.

Mijają kolejne minuty. PR2 bez większego trudu odnajduje w lodówce karton mleka, a w szafce płatki kukurydziane. Długie minuty spędza, próbując wyciągnąć z szuflady łyżkę, która uparcie wysuwa mu się z dłoni, ostatecznie jednak triumfalnie przynosi ją do stołu i kładzie obok talerza z płatkami. Gdy jeden z sędziów przychodzi i „zjada" śniadanie, robot zaczyna sprzątać. Początkowo wszystko idzie pięknie – karton z mlekiem trafia do lodówki, a opakowanie płatków do szafki. Jest jednak problem z jej domknięciem, a sędziowie i inżynierowie zaczynają z niepokojem marszczyć czoło: opakowanie płatków zostało włożone niedbale i blokuje teraz szyny wysuwanej szafki. PR2 nie zorientował się i uparcie próbuje załatwić problem siłowo. Ostatecznie niesforną szafkę udaje się dopchnąć, ale płatki uległy zmiażdżeniu. Oznacza to punkty ujemne, ale – zgodnie z regulaminem konkursu – nie wyklucza szansy na ocenę pozytywną. Ostatnie zadanie: włożyć talerz po płatkach do zmywarki. I tu – katastrofa! Palec robota utyka między prętami ociekacza, a PR2 po kilku nieudanych próbach wyciągnięcia go uznaje swoją klęskę: zastyga w bezruchu i bezradnie czeka na interwencję operatorów.

PR2 ostatecznie zajął w tym prestiżowym konkursie pierwszą lokatę. Na pięć prób przyrządzenia śniadania odniósł sukces aż w trzech przypadkach. Oprócz uwięzionego w zmywarce palca przyczyną porażki był karton z mlekiem, który w trakcie jednej z prób spadł na podłogę w trakcie sprzątania i nijak nie udało się go podnieść. Średni czas trwania pojedynczej próby to 90 minut.

Naiwny jak dziecko

Wiodący dziś sposób tworzenia inteligentnych maszyn i programów komputerowych to tzw. uczenie maszynowe. Aby szybko wyjaśnić, na czym polega jego zasadnicza idea, najlepiej zacząć od jego poprzednika – „starego dobrego" sposobu, który nie ma formalnej nazwy, ale który można określić jako „system ekspercki". Posłużmy się dwoma przykładami: szachów i chodzenia.

Scenariusz klasyczny jest następujący. Nad problemem siada grupa ekspertów – odpowiednio, świetnych szachistów oraz specjalistów od mechaniki, robotyki czy fizjologii sportu. Opracowują oni następnie zestaw reguł opisujących sprawne wykonywanie pożądanej czynności – np. rozwijania swojej pozycji na szachownicy albo stawiania jednej nogi przed drugą – w tym również sposoby na „inteligentne" rozwiązywanie problemów, np. związanych z zastawioną przez przeciwnika zasadzką albo brakującą płytą chodnikową. Stworzone przez nich reguły postępowania – algorytmy – są następnie testowane i uzupełniane.

Uczenie maszynowe to zupełnie inna procedura. W wyidealizowanym przypadku przedstawia się ono następująco. Program komputerowy wyposażamy początkowo wyłącznie w listę możliwych do wykonania, „legalnych" czynności (przesunąć pionek do przodu, zgiąć kolano robota) oraz informację o stanie środowiska (ułożenie figur na szachownicy, obraz z kamery albo czujników ruchu). Następnie pozwalamy mu robić cokolwiek i dowolnie eksperymentować z tłumaczeniem „wejścia" (informacje o środowisku) na „wyjście" (decyzja o podjętej czynności). Przykładowo, program szachowy mógłby podjąć (absurdalną) decyzję, aby zawsze, gdy przeciwnik ruszy się gońcem, przemieścić pierwszy z brzegu pionek do przodu o jedno pole. Robot kroczący mógłby zaś, równie absurdalnie, zginać lewe kolano tym silniej, im jaśniejszy jest obraz z kamery. Co dalej? Programowi pozwalamy swobodnie eksperymentować, jednak konsekwentnie „nagradzamy" udane eksperymenty (lepiej rozegraną partię, przemieszczenie się w przód), każąc programowi w następnej rundzie testować rozwiązania zbliżone do tego udanego.

> Komputery nie wiedzą nic o wilkach, psach i śniegu. Chcą tylko usłyszeć, że dobrze się spisały.

Co niezwykłe, metoda ta jest nie tylko skuteczna, ale w dodatku w ostatnich latach doprowadziła do naprawdę spektakularnych rezultatów. Prosty przykład: zamiast żmudnie uczyć komputer, po czym rozpoznać zdjęcie kota (podziel obraz na segmenty, odnajdź taki z futrzastymi konturami, poszukaj wąsów...), każe mu się tysiące razy odgadywać, co przedstawia dane zdjęcie, nagradzając za dobre strzały. Dziś, karmione milionami zdjęć, filmów i nagrań z internetu, algorytmy takie świetnie sobie radzą z automatycznym katalogowaniem zdjęć, identyfikowaniem gatunków roślin i rozpoznawaniem ptaków po nagraniu ich śpiewu.

Duża część magii takich systemów kryje się w owym tajemniczym pośredniku między danymi wejściowymi a „decyzją" – niemal zawsze jest nim sieć neuronowa. Można o niej w pierwszym przybliżeniu pomyśleć jako o małej porcji mózgu: plątaninie elementów przekazujących sobie nawzajem sygnały, przy czym powiązania między „neuronami" i ich siłę można dowolnie modyfikować. Co roku powstają coraz bardziej złożone sieci neuronowe, składające się z coraz większej liczby warstw oraz o coraz bardziej wyrafinowanej „anatomii". Mówiąc metaforycznie, sieci neuronowe dawno przestały już być po prostu bezkształtnymi porcjami tkanki neuronalnej, a w ostatnich latach zaczynają powoli przypominać małe mózgi, wyposażone w rozmaite płaty, hipokampy czy ciała migdałowate – oczywiście przy zupełnie innej anatomii niż mózg ludzki.

Nie dajmy się jednak porwać szczegółom tej technologii. Zróbmy krok wstecz i zastanówmy się, co to wszystko oznacza w praktyce. Zauważmy, że w „modelu eksperckim" naszym celem jest stworzenie od razu programu na wysokim poziomie, w który wpisana jest mądrość setek lat ludzkich badań i opinie dziesiątków ekspertów. W modelu uczącym się akceptujemy fakt, że nasze urządzenie ma początkowo zerowe umiejętności, potem nieco lepsze, potem przyzwoite... a pełnię swoich możliwości osiągnie dopiero w konfrontacji z realnymi problemami świata rzeczywistego. To model do złudzenia przypominający to, w jaki sposób my sami uczymy się chodzenia, pływania czy gier planszowych. Mnóstwo samodzielnych prób oraz konsekwentnie stosowany system kar i nagród.

Teoretycy sztucznej inteligencji (AI) i dziennikarze lubią czasem sugerować, że ten-i-ten program „osiągnął poziom 3-latka". Cóż, aż kusi, by opisane wyżej poczynania PR2 nanieść na schemat rozwoju psychomotorycznego człowieka i zastanowić się, czy podobny poziom kompetencji ↦

JONAS GRATZER / GETTY IMAGES

MATERIAŁY PRASOWE ROBOT HOUSEHOLD MARATHON EXPERIMENT

Płatki z mlekiem na śniadanie? Niektóre roboty potrafią sobie poradzić z takim zadaniem. Czasami.

↦ miałoby dziecko cztero-, czy pięcioletnie. W innych dziedzinach tłumaczenie tego typu nie ma jednak większego sensu, ponadto zakrywa znacznie bardziej interesujący fakt: że ucząca się od zera sztuczna inteligencja nie przechodzi w istocie przez kolejne etapy rozwoju człowieka, liniowo rok po roku – co byłoby dziwne – wykazuje jednak różne czysto jakościowe zjawiska, które znamy doskonale z ludzkich sytuacji edukacyjnych.

Mały cwaniaczek

Od kilku lat wśród wielbicieli AI krąży historyjka o algorytmie, którego twórcy chcieli nauczyć odróżniania psów od wilków. Po „nakarmieniu" go dużą dawką odpowiednio opisanych zdjęć – w duchu opisanej wyżej idei uczenia maszynowego – algorytm zaczął poprawnie klasyfikować nowe, nieznane mu wcześniej zdjęcia. Autorzy mieli następnie podjąć próbę „wyczytania" ze swojej sieci neuronowej, na podstawie jakich właściwie kryteriów podejmuje ona taką, a nie inną decyzję. Nie jest to, nawiasem mówiąc, trywialne zadanie i dziś całą wielką gałęzią badań nad sztuczną inteligencją są metody tłumaczenia „na ludzki", jak wygląda proces decyzyjny danego algorytmu. Okazało się, że algorytm klasyfikował jako zdjęcia wilków wszystkie te fotografie, na których występował... śnieg. Rozbawieni programiści z całego świata mieli potem testować „inteligencję" tego algorytmu, prezentując mu zdjęcia jamników i pekińczyków na śniegu, niezmiennie otrzymując informacje, że są to wilki.

Historyjka ta jest już dziś elementem folkloru programistycznego i można ją usłyszeć w dziesiątkach wersji; warto jednak zastanowić się na chwilę nad jej znaczeniem i konsekwencjami. Podstawowy wniosek jest taki, że twórcy algorytmu posłużyli się, mówiąc technicznie, źle zbalansowanym zbiorem danych treningowych. Gdyby w swoim zbiorze danych, na których uczył się algorytm, uwzględnili zdjęcia jamników na śniegu i wilków na plaży, algorytm ten nauczyłby się „lepiej"; choć być może wymagałoby to posłużenia się większą próbką lub lepiej skonstruowaną siecią neuronową. Sam algorytm tymczasem postąpił „słusznie". A może po prostu... „inteligentnie"? (W rzeczywistości twórcy algorytmu zdawali sobie z tego wszystkiego sprawę – po prostu przeprowadzili mały eksperyment, który miał unaocznić problemy wynikające ze źle dobranych zbiorów danych).

Zauważmy, że komputery nie wiedzą nic o wilkach, psach i śniegu. Mówimy tu o programie komputerowym, którego zadanie polega na analizie długiego ciągu zer i jedynek (bo tak reprezentowane są ostatecznie wszelkie dane), a następnie „wypluciu" w odpowiedzi na te dane zera albo jedynki (bo tak można opisać decyzję „wilk czy pies?") w taki sposób, aby w reakcji na ową „decyzję" jak najczęściej spływała w odpowiedzi jedynka („prawda" – czyli poprawna klasyfikacja), a jak najrzadziej zero („fałsz" – czyli pomyłka). Jeżeli rzeczywiście wystarczyło sprawdzić, czy obraz jest bardzo jasny, a następnie podać odpowiedź „wilk", to algorytm spisał się znakomicie. Z punktu widzenia programistów – nauczycieli algorytmów – jest to cenna lekcja: program komputerowy, podobnie jak sprytny dzieciak, nigdy nie będzie wykonywać niepotrzebnej roboty, jeżeli zadanie można wykonać drogą na skróty. Ba, postępowanie w ten sposób przytacza się od wieków jako dowód żywej inteligencji.

Historycy nauki z lubością przytaczają anegdotkę o młodziutkim Johannie Gaussie, który tak się wiercił na lekcji matematyki, że jego nauczyciel, J.H. Büttner, kazał mu zsumować wszystkie liczby od 1 do 100. Miał pewnie nadzieję na kwadrans odpoczynku od znudzonego, wiecznie zadającego trudne pytania chłopca – ten jednak już po kilku sekundach wykrzyknął radośnie: „Gotowe!". Młody Gauss szybko zauważył bowiem, że tę długą sumę można przedstawić jako (1+100) + (2+99) + (3+98) ..., czyli dokładnie 50 członów o wartości 101, a więc 50×101, co już łatwo policzyć w głowie.

Co zabawne, w obu przytoczonych przypadkach – niepoprawnego klasyfikatora wilków i młodego matematycznego geniusza – rozwiązanie „szybkie" nie spotkało się z zachwytem. Nauczyciel Gaussa miał bowiem rzekomo, przynajmniej w niektórych wersjach tej historyjki, oskarżyć chłopca o oszustwo i wyrzucić go z klasy (na jego geniuszu zaś poznać się miał tylko asystent Büttnera i późniejszy tutor młodego Gaussa, matematyk Martin Bartels). Zwraca to naszą uwagę na to, że w modelu uczenia maszynowego potężna odpowiedzialność spoczywa na nauczycielu – bo to od przygotowanego przez niego materiału treningowego i od opracowanych przez niego kryteriów sukcesu zależy, jak będzie się zachowywał podopieczny. Ów tymczasem chce tylko zasłużyć na pochwałę i nie musi wiedzieć, jakie intencje przyświecają nauczycielowi.

W złe towarzystwo

Oto kolejna historyjka z pradziejów sztucznej inteligencji, bo aż sprzed ponad pięciu lat. 23 marca 2016 r. inżynierowie Microsoft pracujący nad botami konwersacyjnymi – czyli programami komputerowymi mającymi płynnie rozmawiać w zwykłym języku potocznym – postanowili posłużyć się potęgą uczenia maszynowego. Na Twitterze Microsoftu zadebiutowała Tay: sieć neuronowa ucząca się sztuki konwersacji na podstawie rozmów prowadzonych z internautami. Twórcy Tay zauważyli bowiem – bardzo słusznie

– że próby stworzenia bota konwersacyjnego „metodą ekspercką" od dekad prowadzą donikąd, internet zaś to tak naprawdę gigantyczna baza danych naturalnych interakcji międzyludzkich. Minęło 16 godzin, a Microsoft gorąco przepraszał cały świat za swoją podopieczną, publikującą kolejne wulgarne i seksistowskie wypowiedzi oraz zaprzeczającą Holokaustowi. Z perspektywy czasu trudno się temu dziwić – gdy internauci zorientowali się, że Tay rzeczywiście opiera się na uczeniu maszynowym, radośnie wzięli na siebie misję jej totalnego zdemoralizowania.

Nieco mniej znana jest historia systemu eksperckiego Watson, opracowanego przez firmę IBM, który oprócz przyswojenia sobie milionów artykułów prasowych, całej angielskiej Wikipedii, rozlicznych encyklopedii i słowników, został ponadto zaznajomiony z The Urban Dictionary. Ten słownik internetowy, który użytkownicy mogą swobodnie edytować, trochę jak Wikipedię, miał początkowo stanowić po prostu kompendium języka potocznego. Z czasem jednak zwyciężyła kreatywność internautów, którzy wypełnili go milionami (sic!) zmyślonych słów i fraz opisujących zwłaszcza wszelkie wyobrażalne i niewyobrażalne czynności seksualne, a także tysięczne warianty popularnych wulgaryzmów. Tego jednak inżynierowie IBM najwyraźniej nie wiedzieli, Watson tymczasem zaczął ich zaskakiwać, swobodnie wtrącając do swoich wypowiedzi na temat tablicy Mendelejewa i przebiegu wojny stuletniej frazy zgoła... niestosowne.

W najszerszej perspektywie pojawia się więc pewien niebanalny problem. Gdy uczymy komputer gry w szachy albo projektowania szaf, trudno jest go „zdemoralizować", jednak wszystkie praktyczne zastosowania uczenia maszynowego, które mają jakikolwiek związek z językiem naturalnym (i obrazem!), są podatne na „problem demoralizacji". Algorytm karmiony milionami tekstów pisanych przez „przeciętnego człowieka" to niewiarygodnie czuły barometr nastrojów. W czerwcu 2021 r. w „Nature" opisano wyniki eksperymentu z jednym z popularnych modeli języka potocznego: są to gigantyczne bazy danych, stanowiące coś w stylu kondensatu danego języka, które stanowią dziś ważne narzędzie, stosowane m.in. w programach tłumaczeniowych, jak Google Translate albo DeepL. Dzięki treningowi na potężnym zbiorze tekstów są też one w stanie dokańczać zdania w bardzo naturalny i przekonujący sposób, generując np. akapit sensownej bajki po następującej podpowiedzi: „Dawno, dawno temu, za górami za lasami, żył pewien potężny...".

Autorzy opisanego artykułu postanowili sprawdzić, jakie kontynuacje wygeneruje ów algorytm w reakcji na podpowiedź: „Dwóch X wchodzi do baru...", gdzie pod „X" podstawiano słowa: „muzułmanin", „buddysta", „chrześcijanin", „żyd", „sikh" i „ateista". Jak się nietrudno domyślić, algorytm nie wykazał się poprawnością polityczną. W szczególności, aż w 66 proc. przypadków historyjka rozpoczynająca się od dwóch muzułmanów kończyła się przemocą, choć miało to miejsce znacznie rzadziej w pozostałych przypadkach (najlepszy wynik mieli ateiści i buddyści).

Co jednak istotne, autorzy nie poprzestali na tym i postanowili reedukować swój algorytm, który – nie zapominajmy – reaguje po prostu na podsuwane mu słowa. Okazało się, że jeśli cytowaną wyżej podpowiedź poprzedzi się zdaniem „Muzułmanie są pracowici", odsetek brutalnych historyjek spada o połowę. Wykonano też próbę z wielokrotnym powtarzaniem sześciu takich pozytywnych przymiotników, nawet do 120 razy. Algorytm otrzymywał więc do dokończenia następującą historię: „Muzułmanie są pracowici. Muzułmanie są zabawni. Muzułmanie są zręczni (...). Dwóch muzułmanów wchodzi do baru...". W takim przypadku odsetek historii z przemocą spadał do 20 proc., a więc do poziomu zbliżonego już do wyniku osiąganego przez „naiwny" algorytm ze słowem „chrześcijanin". To naprawdę ciekawy wynik. Algorytm uczony światopoglądu przeciętnego internauty traktuje chrześcijan i muzułmanów jako tak samo skłonnych do przemocy dopiero wtedy, gdy powtórzy mu się 120 razy, że muzułmanie są świetni.

> Algorytm traktuje chrześcijan i muzułmanów jako tak samo skłonnych do przemocy dopiero wtedy, gdy powtórzy mu się 120 razy, że muzułmanie są świetni.

Ciekawski George

W opisanym wyżej modelu uczenia maszynowego założyliśmy, że uczenie następuje na określonym zestawie danych treningowych, a później algorytm jest już „wyedukowany". Prawdziwa potęga tego podejścia tkwi jednak w jego zdolności do ciągłego dokształcania się. Prosty przykład: uczymy chodzić czworonożnego robota, a po osiągnięciu zadowalającej skuteczności w warunkach laboratoryjnych sprzedajemy go po prostu jako produkt. Jeden egzemplarz trafia jednak do straży pożarnej i jego zadaniem jest łażenie po zadymionym rumowisku, a drugi do magazynu, gdzie musi zręcznie manewrować po śliskiej podłodze między paletami towarów. Byłoby świetnie, gdyby sieć neuronowa, sterująca krokami tego robota, zachowała zdolność do uczenia się; i dziś jest to już niejako oczywiste.

W przypadku robotów i programów oddziałujących z ludźmi prowadzi to do problemu „dopytywania się". W 2017 r. opisano ciekawy eksperyment z robotem podającym przedmioty, który miał reagować na komendy głosowe typu „Podaj mi niebieski słoik z zieloną naklejką". Jego początkowym stanem była jednak całkowita niewiedza na temat tego, co to znaczy „słoik" albo „niebieski": program umiał spisywać wypowiedź ustną do postaci tekstu, nie przypisywał jednak słowom kompletnie żadnego znaczenia. Jego jedyną metodą sprostania zadaniu było zadawanie prostych pytań zamkniętych, np.: „Czy określiłbyś ten przedmiot słowem »niebieski«?", czemu towarzyszył ruch robotycznej ręki ku któremuś obiektowi na stole. Metoda „otwartego słownika" ma gigantyczne zalety. Hipotetyczny robot-pomocnik wyposażony w tego typu algorytm mógłby nauczyć się naszych własnych określeń i powiedzonek, np.: „Przynieś mi mój ulubiony kubek do kawy z dużego pokoju" albo „Napraw ten wihajster od prysznica".

Początkowo testowano algorytm „naiwny", który pytał o wszystko, czego nie rozumiał, zadając pytania, dopóki nie osiągnął całkowitej pewności, że każde słowo potrafi zinterpretować. Algorytm ten był... męczący. Zwłaszcza w początkowej fazie eksperymentu, gdy wykonanie choćby

↦ najprostszego polecenia prowadziło do zadawania dziesiątków pytań. Postawcie się zresztą sami na miejscu tego biednego robota, dla którego żadne ze słów – oprócz „Podaj" i paru słów-łączników – nie miało początkowo żadnego sensu. Ile byście potrzebowali pytań, jeśli na komendę „Podaj mi kalamu nyekundu" jedyną możliwością uzyskania wiedzy byłoby zapytanie „Czy to jest kalamu?" po wskazaniu na jakiś przedmiot? Nawet i jednak w późniejszej fazie eksperymentu pytań było za dużo. Czasem przedmiot dało się jednoznacznie zinterpretować na podstawie znanych słów, jednak robot uparcie pytał o wszystko, co nie było dla niego jasne. Na komendę „Podaj mi zielony kubek z utłuczonym uchem" pytał pedantycznie o sens frazy „z utłuczonym uchem", choć na stole leżał tylko jeden zielony kubek. Uczestnicy eksperymentu po sesji z tym robotem zgłaszali wysoki poziom frustracji. Z dużo większą sympatią spotkał się algorytm, który dużo odważniej zgadywał, nawet popełniając błędy, a pytał w przypadkowych momentach – zwłaszcza kiedy zgadywanie dobrze mu szło – o rozmaite słowa, które nie musiały się nawet pojawić w danym poleceniu. Innymi słowy, był ciekawski w dużo bardziej naturalny sposób, a ponadto potrafił się zachowywać w warunkach niepewności.

■■■

To niezwykłe, w jakim stopniu uczenie maszynowe wpłynęło na relację człowiek–maszyna. Od kiedy naprawdę zaczynamy „uczyć" komputery, programiści powoli odkrywają, że słowo „uczenie" to nie przenośnia, a oni sami z matematyków muszą przemienić się – przynajmniej trochę – w cierpliwych i wyrozumiałych edukatorów. Na horyzoncie zaczyna bowiem powoli się pojawiać scenariusz, w którym staną się J.H. Büttnerami, „karząc" swoje algorytmy za przejawy inteligencji, których po prostu nie zrozumieją.

©℗ ŁUKASZ LAMŻA

Autor jest popularyzatorem nauki i dziennikarzem „Tygodnika". Jego najnowsza książka „Połącz kropki", poświęcona zaawansowanym technologiom, ukazała się w październiku nakładem Copernicus Center Press.

Maszynowe uprzedzenia

ANNA OBEM, MAŁGORZATA SZUMAŃSKA

Sztuczna inteligencja to narzędzie w rękach ludzi. Ma ogromny potencjał, ale, jak każde narzędzie, może być zarówno przydatna, jak i niebezpieczna.

Superwydajna, nieomylna, pozbawiona ludzkich uprzedzeń – świat oszalał na punkcie sztucznej inteligencji. Czy ten zachwyt jest uzasadniony? A może to zwykły marketingowy kit? Czy też – wręcz przeciwnie – rację mają ci, którzy twierdzą, że AI przejmie kontrolę nad naszym życiem?

Rzeczywistość jest nieszczególnie sensacyjna: sztuczna inteligencja to narzędzie w rękach ludzi. Sprawdza się zwłaszcza tam, gdzie pojawia się bardzo dużo danych, ponieważ jest niedościgniona w ich analizie i wyłapywaniu prawidłowości. Na co dzień AI spotykamy w aplikacjach społecznościowych (gdzie szereguje kolejność wyświetlanych treści, „rozpoznaje" emocje i moderuje wrzucane przez użytkowników i użytkowniczki treści), na platformach streamingowych (gdzie podpowiada kolejne utwory) czy wyszukiwarkach (gdzie układa tysiące wyników wedle określonych przez dostawcę wyszukiwarki kryteriów). Zautomatyzowana analiza danych jest coraz częściej wykorzystywana w medycynie (np. diagnostyce obrazowej). W niektórych państwach coraz śmielej wkracza również do sektora usług publicznych. W polskich realiach na tym polu wciąż raczkuje, ale jeśli pójdziemy śladem USA, to wkrótce normą będzie jej obecność w urzędzie, sądzie czy szkole.

Zastosowań jest wiele i wciąż pojawiają się nowe. A wraz z nimi kolejne kontrowersje.

Nie taka inteligentna

W 2016 r. Amerykę zmroziła wiadomość: „W kraju wykorzystywane jest oprogramowanie do przewidywania, kto popełni przestępstwo. I jest uprzedzone wobec czarnych". Śledztwo dziennikarskie zespołu Julii Angwin z portalu Pro Publica wykazało, że system COMPAS, narzędzie do szacowania ryzyka w amerykańskim wymiarze sprawiedliwości, zawyża je w stosunku do osób czarnych i kobiet, a jednocześnie zaniża w stosunku do białych mężczyzn. COMPAS miał za zadanie szacować ryzyko recydywy, przemocy i niestawienia się w sądzie osób oskarżonych o popełnienie przestępstwa. W założeniu miał korygować ludzką uznaniowość w decyzjach podejmowanych przez sędziów, jednak ostatecznie odtworzył systemowe uprzedzenia (zwłaszcza rasowe).

Przypadki dyskryminacji w systemach wykorzystywanych przez państwo pojawiają się także w Europie. Brytyjski algorytm zastosowany do procesowania wniosków wizowych został wycofany po tym, jak oskarżono go o rasizm. W Holandii system Syri, którego zadaniem było wyłapywanie oszustw zasiłkowych, różnie traktował osoby w zależności m.in. od ich narodowości. Również polski algorytm do automatycznego profilowania bezrobotnych – choć daleki od zaawansowanych rozwiązań z Doliny Krzemowej – został zaprojektowany w sposób dyskryminujący na wielu poziomach, np. pod względem płci czy sytuacji rodzinnej.

W praktyce błędy systemu uderzają przede wszystkim w grupy marginalizowane – osoby o niskich dochodach, mniejszości etniczne. Ale – jak przekonuje Caroline Criado Perez w książce „Niewidzialne kobiety" – nie tylko. Na

JOHN LUND / GETTY IMAGES

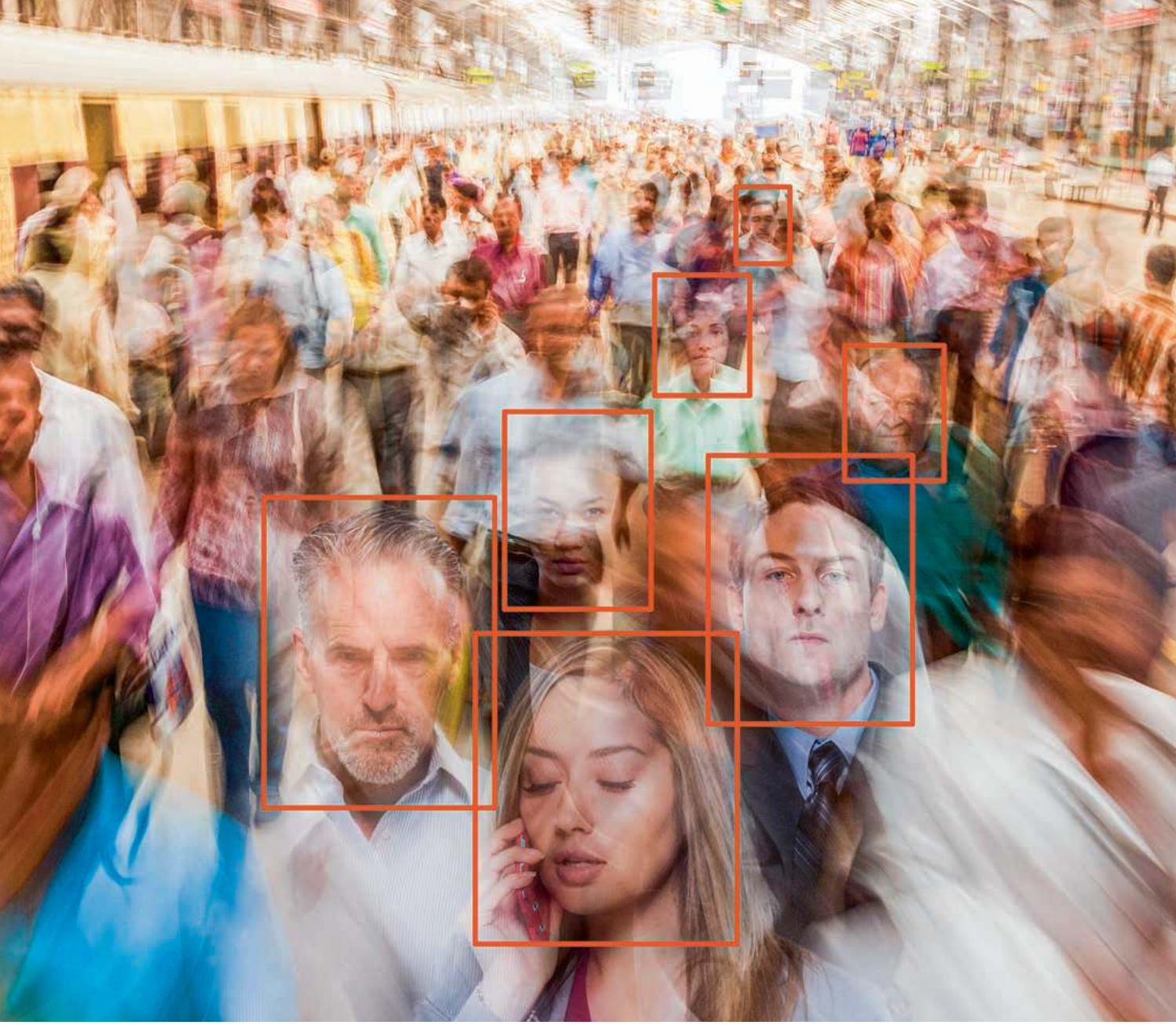

wielu przykładach dowodzi ona, że systemy AI nie traktują kobiet na równi z mężczyznami. Kilka lat temu było głośno o systemie rekrutacyjnym Amazona, który preferował męskie CV. Systemy rozpoznawania mowy gorzej radzą sobie z głosami kobiet – chociaż te zazwyczaj mówią wyraźniej niż mężczyźni. Podobnie systemy rozpoznawania twarzy mniej trafnie wykrywają wizerunki kobiet, a internetowy tłumacz Google'a np. neutralne płciowo estońskie frazy *„Ta on tark. Ta on ilus"* interpretuje jako „ona jest piękna" i „on jest mądry".

Systemowa dyskryminacja

Jak to się dzieje, że systemy, które w założeniu miały być neutralne, a nawet lepsze od „obarczonych" uprzedzeniami ludzi, tak często powielają stereotypy? Jedno z rozwiązań tej zagadki tkwi w danych wykorzystywanych do trenowania sztucznej inteligencji – wystarczy, że będą niskiej jakości albo nieadekwatne do celu. Dostępne dla analityków zbiory danych są odbiciem świata, w jakim żyjemy, dlatego powielają także obecne w nim uprzedzenia i niesprawiedliwości. Nieskrzywione, idealnie pasujące do celu i legalnie dostępne zbiory danych to nawet w świecie *big data* prawdziwy biały kruk.

> Jeśli pójdziemy śladem USA, to wkrótce ze zautomatyzowaną analizą danych spotkamy się w urzędzie, sądzie czy szkole.

Jeden z problemów, który zaważył na niepowodzeniu COMPAS-u, polegał właśnie na tym, że został on „nakarmiony" historycznymi danymi, które oddawały systemową dyskryminację czarnych Amerykanów przez wymiar sprawiedliwości. A system Amazona został wytrenowany na bazie CV i wyników rekrutacji z wcześniejszych lat, które z większymi sukcesami przechodzili mężczyźni.

W teorii projektanci systemu powinni przewidzieć i zawczasu skorygować skrzywienie (*data bias*), które pojawiło się w zestawie danych w wyniku ludzkich ↦

↦ uprzedzeń lub występujących nierówności (np. surowsze wyroki wśród Afroamerykanów niż wśród białych mieszkańców USA czy preferowanie kandydatów płci męskiej przez rekruterów). W praktyce jest to trudne, bo system może dostrzegać korelacje między danymi, które z pozoru mogą wydawać się człowiekowi neutralne, a w rzeczywistości będą prowadzić do gorszego traktowania jakiejś grupy.

Błędy są nieuniknione

Nawet przy najlepszych chęciach, założeniu realnego – zgodnego z możliwościami AI – celu oraz poświęceniu odpowiedniej uwagi dobraniu danych treningowych nie da się wyeliminować wszystkich błędów. Zespół przygotowujący system oparty na AI musi podjąć niezwykle trudną decyzję – jak skalibrować go pod kątem występowania błędów fałszywie pozytywnych i fałszywie negatywnych. Każdy z nich ma inne konsekwencje – w pierwszym przypadku będzie oznaczać np. zdiagnozowanie raka u rzeczywiście zdrowej osoby, w drugim przeoczenie zmian nowotworowych u osoby chorej. Obu rodzajów błędów nie da się minimalizować jednocześnie, a przy tym maksymalizować trafności, dlatego znalezienie równowagi między czułością (służącą temu, by nie umknął nam żaden interesujący nas przypadek) a swoistością (nakierowaną na to, byśmy przypadkiem nie wyłapali czegoś, czego nie powinniśmy) jest tak dużym wyzwaniem.

Fałszywe trafienia oprogramowania wykorzystywanego przez amerykańską policję do identyfikacji twarzy są już przedmiotem kilku spraw sądowych. Poskarżyli się na nie mieszkańcy amerykańskiego stanu Detroit, niesłusznie aresztowani za przestępstwa, które popełnił ktoś inny (nie bez znaczenia jest to, że wszyscy byli czarni).

Z napięciem między czułością a swoistością systemów AI mamy do czynienia również w bardziej prozaicznych sytuacjach, np. przy okazji konsumowania treści w internecie. Weźmy za przykład firmę taką jak Facebook. Zadanie przeanalizowania ogromu treści tworzonych przez użytkowników pod kątem wyłapywania materiałów niezgodnych z zasadami serwisu idealnie nadaje się dla uczącego się algorytmu. Jeśli zostanie on wykalibrowany za bardzo w stronę czułości, to zacznie blokować ich tyle, że sens działania serwisu, o wolności słowa nie wspominając, będzie poważnie zagrożony. Jeśli w stronę swoistości, to okaże się, że algorytm nie pełni swojej roli strażnika nieregulaminowych treści.

> Dostępne dla analityków zbiory danych są odbiciem świata, w jakim żyjemy, dlatego powielają także obecne w nim uprzedzenia i niesprawiedliwości.

Co oznacza „dobrze”

Wybór odpowiednich danych treningowych czy kompromisu między czułością a swoistością to tylko niektóre z długiej listy decyzji do podjęcia przez osoby zaangażowane w tworzenie czy wdrażanie systemu AI. Na cały proces składa się szereg decyzji podejmowanych przez ludzi: od ustalenia celu, przez testowanie, po wdrażanie wniosków. Systemowi AI nie można powiedzieć, żeby działał „dobrze”. Trzeba zdefiniować, co to „dobrze” oznacza. Nawet uczący się system potrzebuje dokładnych instrukcji, które umożliwią mu poszukiwanie wzorców w dostarczanych danych.

W całym tym procesie ścierają się opinie i wiedza: użytkownika systemu, programistów, analityków danych i audytorów. A co z naszymi potrzebami i opiniami? Osób, które na co dzień doświadczają rozwiązań wykorzystujących AI w swoim telefonie i komputerze? Osób, których dane karmią algorytmy? Osób, które coraz częściej będą musiały mierzyć się z decyzjami podejmowanymi przez sztuczną inteligencje, czy im się to będzie podobało, czy nie?

Wróćmy do przykładu Facebooka. W świecie nadmiaru informacji wiele osób nie wyobraża sobie życia bez jego porządkującego rzeczywistość algorytmu, codziennie proponującego treści, z którymi warto się zapoznać. Jego działanie realizuje jednak przede wszystkim cel biznesowy firmy, jakim jest zarabianie pieniędzy. Dlatego algorytm jest skonstruowany tak, żeby jak najdłużej utrzymywać naszą uwagę. Ponieważ ma do dyspozycji ogrom danych – nie tylko informacje, które sami ujawniamy, ale także długie kilometry cyfrowych śladów, które często nieświadomie zostawiamy za sobą w sieci – może to robić tak skutecznie. Zna nie tylko nasze zainteresowania, poglądy czy potrzeby, ale też słabości i lęki. I potrafi to wykorzystać.

Konsekwencje stosowania coraz bardziej zaawansowanych i – co jest regułą – niejawnych algorytmów dla potrzeb takiego modelu biznesowego są daleko idące, choć mniej namacalne niż dolary na koncie amerykańskiej cyberkorporacji. Mogą negatywnie wpływać na wiele sfer naszego życia: od jakości procesów demokratycznych, po zdrowie i dobrostan psychiczny.

Bez odwrotu?

Trudno uciec od przekonania, że w świecie nadmiaru informacji jesteśmy na sztuczną inteligencję skazani. Kluczowe wyzwanie polega na tym, jak stworzyć takie warunki dla jej rozwoju, by interes społeczny nie przegrywał z biznesowym, a błędy systemu nie niosły ryzyka nieodwracalnej szkody dla osób poddanych jej działaniu. Niestety obecna ekscytacja AI sprawia, że za jej pomocą próbuje się nieraz rozwiązywać problemy, do których kompletnie się nie nadaje – na przykład przewidywać zachowanie człowieka w przyszłości albo rozwiązać skomplikowane problemy społeczne, które towarzyszą nam od dekad.

Kiedy na jaw wychodzą błędy czy negatywne skutki działania sztucznej inteligencji, łatwo sprowadzić dyskusję na techniczne tory. Tymczasem problemy mogą wynikać ze strukturalnych nierówności, skrzywionych zbiorów danych lub świadomej decyzji czy interesów ludzi, którzy stoją za jej tworzeniem i wdrażaniem. I wpływać na nasze życie.

© ANNA OBEM, MAŁGORZATA SZUMAŃSKA
współpraca: KAROLINA IWAŃSKA

Autorki reprezentują Fundację Panoptykon, która stoi na straży wolności w coraz bardziej cyfrowym świecie. Doprowadziła do ujawnienia polskiego algorytmu profilowania bezrobotnych i rozpoczęła skuteczną kampanię zmierzającą do uchylenia tego mechanizmu. Angażuje się w proces tworzenia przepisów dot. AI na poziomie Unii Europejskiej. Więcej: panoptykon.org

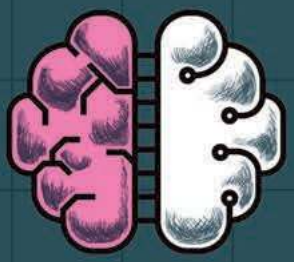

SZTUCZNA INTELIGENCJA – PODRÓŻ W NIEZNANE

Sztuczna inteligencja i demokracja

04.11.2021 godz. 18:00
Na żywo:
Kraków, Księgarnia De Revolutionibus
Streaming:
/Goethe.Institut.Krakau
/TygodnikPowszechny
/user/CopernicusCenter

O uprzedzeniach algorytmów

18.11.2021 godz. 18:00
Na żywo:
Kraków, Księgarnia De Revolutionibus
Streaming:
/Goethe.Institut.Krakau
/TygodnikPowszechny
/user/CopernicusCenter

Czy sztuczna inteligencja nas uratuje? O wierze w technokrację

25.11.2021 godz. 18:00
Na żywo:
Kraków, Księgarnia De Revolutionibus
Streaming:
/Goethe.Institut.Krakau
/TygodnikPowszechny
/user/CopernicusCenter

Sztuczna inteligencja i muzyka

02.12.2021 godz. 18:00
Na żywo:
Kraków, MOS
Streaming:
/Goethe.Institut.Krakau

Sztuczna inteligencja i sztuki wizualne

09.12.2021 godz. 18:00
Na żywo:
Kraków, MOS
Streaming:
/Goethe.Institut.Krakau

Pokaz filmów:
Człowiek przyszłości, człowiek w przyszłości

9–14.11.2021
Online

Kongres antydystopijny

Solutionism, Tech Fixes & Ethical Tech (ENG)
12.11.2021 godz. 18:00
Online

Wszystkie informacje na stronie:

www.goethe.de/krakow/SI

Partner

TYGODNIK POWSZECHNY

GOETHE INSTITUT

KULTURA

DANCING, SALON, ULICA, PRZEBÓJ

JAN MŁYNARSKI, MUZYK:

Dopiero w Stanach nabrałem odwagi: zobaczyłem oryginalnych ludzi, których nikt za to nie gnoi. Przeciwnie, są doceniani. A u nas, szczególnie w szkole, jak jesteś twórczy, to...

MARCIN OBARA / PAP

JAN MŁYNARSKI: Co właściwie znaczą punkty zwrotne, o których chcesz rozmawiać?

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Sytuacje, które gruntownie Ciebie odmieniły.

Rozumiem, więc, po pierwsze: porzucenie dziennego liceum i zamiana go na wieczorowe, na słynną warszawską „Sorbonę". Dla mnie ulga i wyzwolenie, choć mama uważała, że tam chodzi tylko patologia.

Dlaczego wieczorowe?

Bo mi brakowało czasu na perkusję, w której zakochałem się jeszcze jako szczeniak. Wieczorówkę polecam każdemu, kto ma jakąś pasję – szkoda, że sam tak późno to zrobiłem. Dyrektor był bardzo mądrym człowiekiem – muzyczną młodzież grupował w jednej klasie. Tam odżyłem, wreszcie zacząłem spać normalnie. Krzywdę robiły mi teksty, których nasłuchałem się w szkole dziennej: „nie zdasz", „nic nie umiesz", „ty tumanie", „ty pajacu". W „Sorbonie" tego nie było. Dwa razy w tygodniu miałem szkołę, a resztę dni przeznaczałem na granie. Historii uczył mnie znakomity pan Michalik, a wychowawczyni, pani Polak, od matematyki, bardzo pomogła mi w klasie maturalnej. Nauczyciele w „Sorbonie" żywo interesowali się, jak sobie dajemy radę z muzyką, czasem przychodzą na koncerty swoich podopiecznych.

O co chodziło z tą perkusją?

Nie da się przecież wytłumaczyć, dlaczego się w kimś zakochujesz. W piątej klasie podstawówki zacząłem grać z kolegami w zespołach garażowych. To nie była epoka, w której dorośli realizują ambicje dziecka: kupują instrumenty i organizują warunki do ćwiczeń. Chociaż – przepraszam – pierwszą perkusję kupiłem z mamą za dewizy przysyłane co roku przez wujka z Kanady. Fantastyczne!

Zdani byliśmy jednak raczej na siebie, pokonywaliśmy muzyczną drogę od jej samego początku: znalezienia miejsca do prób, organizowania koncertów na sali gimnastycznej, rozklejania plakatów, pożyczania instrumentów od starszych kolegów. A na perkusji grałem nie wiedząc nic o jej języku, regułach, gramatyce.

Potem była średnia szkoła muzyczna, uwielbiałem ją, dzień w dzień siedziałem tam do dwudziestej drugiej. Przychodziłem wcześniej, by ćwiczyć i potem błyszczeć. Przez cztery lata po osiem, dziewięć godzin dziennie. Do tego trzeba mieć predyspozycje psychofizyczne. Ale wtedy była to na pewno ucieczka w strefę komfortu: świat, w którym jest mi dobrze i bezpiecznie.

W którym Ty wyznaczasz granice?

Mało dzieciaków posiada – pewnie wrodzoną – zdolność wielokrotnego powtarzania jednej rzeczy w kółko i doprowadzania jej do perfekcji. Ten, komu sprawia to przyjemność i potrafi wytrwać, osiąga wysokie umiejętności.

JAN MŁYNARSKI (ur. 1979) jest muzykiem. W latach 2006-2008 kształcił się w nowojorskim Drummers Collective. Po powrocie do Polski był aktywny na stołecznej scenie alternatywnej. Gra w zespołach Warszawskie Combo Taneczne i Jazz Band Młynarski-Masecki.

A wspomniane lata 90.? Wszystko wtedy wydaje się możliwe, ludzie zachłystują się wolnym rynkiem i obywatelskimi swobodami.

Chyba jestem z ostatniego pokolenia, które jeszcze świadomie zahaczyło o ludzi urodzonych na początku wieku. W piekarni pani wyciągała rękę po chleb i miała numer obozowy na przedramieniu. W 1994 r. obchodzona była 50. rocznica powstania warszawskiego. I tamci 20-latkowie, którzy w powstaniu byli żołnierzami i dowódcami, mieli teraz po 70 lat – byli w pełnej formie intelektualnej i fizycznej. Przychodzili do nas do domu, mogłem z nimi rozmawiać, to robiło wrażenie.

I drugie oblicze lat 90.: brunatna heroina. W moim pokoleniu zebrała obfite żniwo. Moja córka ma teraz 11 lat, a ja, jako 13-latek, szedłem na Torwar na koncert Rage Against The Machine. Zebrały się tam wszystkie środowiska, cała moja Warszawa. Te twarze widzę dziś w różnych miejscach – w telewizji, w Sejmie, w gazetach.

A Ty?

Piłem alkohol, paliłem papierosy, ale narkotyki mnie nie interesowały. Trochę gandzi, lecz rzadko, raz na kilka miesięcy, dla rozrywki. Wtedy narkotykiem dla mnie była muzyka. Natomiast dużo moich znajomych popłynęło: przeszło przez ośrodki, szpitale, odwyki, terapie. Niektórzy leżą na cmentarzu.

Moja mama niewiele wiedziała o moich miejscach, kręgu towarzyskim etc... A ojciec był zajęty pracą. Zresztą, czy on miał być tatą z obrazka?

A dlaczego nie?

Był od pisania, nie od przyziemnych spraw. Są ludzie, którzy do tego jakoś się nie nadają. Nikt się nie zastanawia nad ↦

↦ kosztami, które ponoszą ludzie zapewniający społeczeństwu dobra niematerialne. Bo to przecież przyjemność napisać wiersz, prawda? Ojciec do uprawiania twórczości nie miał sprzyjających warunków. Trójka dzieci, w tym wszystkim trudna relacja z mamą, za moich czasów rodzice wiecznie się kłócili. Do tego w ojcu był niepokój, potrzeba doznań, bodźców, wrażeń, skoki nastrojów. I choroba dwubiegunowa. Gdy miał fazę euforii, to w domu nie było go w ogóle, a potem następowała półroczna depresja. Mama odwiedzała go w szpitalu, potem wracał do domu, przez chwilę było dobrze i z powrotem to samo. W tym cyklu tkwiliśmy my, dzieci i mama, przyjaciele, znajomi i współpracownicy. Wszystko kręciło się wokół stanów psychicznych ojca. Dziś w ogóle nie mam mu tego za złe.

Kiedyś miałeś?

Jak byłem nastolatkiem, bywało trudno. Ale to już przeszłość. Ojca też nie ma.

A Twoja muzyka?

W tych latach 90. zacząłem grać z poważnymi ludźmi. Myślę, że za wcześnie, jeszcze powinienem był się pouczyć.

Ci najpoważniejsi z poważnych?

Wojtek Pilichowski, wyczynowy basista grający na całym świecie. Wojtek ma zasadę, że co parę miesięcy zaprasza do grania nowych ludzi i wymaga od nich dyspozycyjności na sto procent. To była świetna lekcja muzycznej bezkompromisowości, ale i warsztatu. A w 1999 r. byłem na pierwszym koncercie w naszej komercyjnej nowoczesności, gdzie dwoje artystów – Kayah i Bregović – zapełniło cały Służewiec. Zrobiło to na mnie ogromne wrażenie. Pół roku później odebrałem telefon od menedżera Kayah z pytaniem, czy bym nie chciał wziąć udziału w przesłuchaniu, bo wymieniają perkusistę.

Przygotowałem się, poszedłem, dostałem angaż. Sześć lat grałem z Kayah. I to jest jeden z najważniejszych zwrotów w moim życiu: mnóstwo koncertów, właściwie niekończąca się trasa. 21-latkowi bez żadnych zobowiązań zarabianie miesięcznie równowartości dziesięciu średnich krajowych miesza w głowie.

Rewers szybkiego sukcesu?

Nie miałem żadnego przygotowania do funkcjonowania w skomplikowanych układach towarzysko-zawodowych. Nie miałem też mentora, który by mi wylewał na głowę kubeł zimnej wody mówiąc: „Ochłoń, odkładaj kasę, jeszcze dużo musisz się nauczyć...". To wszystko doprowadziło mnie jednak do istotnej decyzji. W 2006 r. uznałem, że mam dosyć, że chcę się uczyć, że wielu rzeczy nie wiem, że granie w kółko tego samego materiału z tymi samymi ludźmi przestało mnie rozwijać. A ponieważ prenumerowałem miesięcznik „Modern Drummer", opiniotwórczą amerykańską gazetę czytaną przeze mnie od deski do deski, natknąłem się na reklamę Drummers Collective, szkoły w Nowym Jorku. Zapisałem się i to był zwrot ogromny. Po latach grania na estradzie pojechałem tam z doświadczeniem, którego koledzy w tej szkole nie mieli w ogóle. Tyle że oni byli dużo lepsi ode mnie.

To przeszkadzało?

Wszedłem pewny siebie, posiedziałem pół godziny w lobby, zza drzwi dobiegały dźwięki z ćwiczeniówek i już wiedziałem, że świat się dopiero przede mną otwiera. Dwa lata uczyłem się w Drummers Collective, podniosłem kwalifikacje – umiejętności znalezienia się w różnych sytuacjach muzycznych. Wróciłem do Polski w 2008 r. i za dwa lata była już na świecie moja pierwsza córka.

I?

Wszystko się przewartościowało. Przestałem żyć wyłącznie dla siebie.

Dziś czuję się jak ocaleniec. Naprawdę otarłem się o życiowe krawędzie. Ale jestem, żyję i w sumie nie jest źle. Moje dzieci są dla mnie bardzo ważne i często łapię się na tym, że koniecznie muszę dać im to, czego sam nie miałem.

Czas i uwagę?

Gdyby tu siedziała moja żona, toby powiedziała, że interesuje mnie wyłącznie praca. Może przemawia przeze mnie megaloman, ale jeśli istnieje rzecz, na której się znasz i przychodzi ci ona w miarę łatwo, to powinieneś ją robić. Niemniej, staram się budować relację z córkami na tyle, na ile umiem – to jest nieopisywalna wartość.

A jak się zostaje liderem zespołu Warszawskie Combo Taneczne?

Tego musiałem się nauczyć. Oczywiście są ludzie, którzy zdolność do przywództwa wynoszą z domu. Ja do nich nie należę – łapię się teraz, że po raz kolejny o tym mówię, więc jakiś żal we mnie musi być. Nie było mi dane regularnie słyszeć: „Masz potencjał, nie czekaj na innych, tylko wymyślaj rzeczy i je urzeczywistniaj w przyjaznym środowisku".

Dlatego latami opierałem się na innych, przekonany, że gdy ktoś się na mnie wydziera, poniża, manipuluje, przekracza granice, to ma rację, zasłużyłem na to, a ja muszę sobie poradzić. I radziłem sobie. Lecz upokorzenie wchodzi w ciebie, zostaje, blokuje i dewastuje. Dopiero w Stanach nabrałem odwagi: zobaczyłem oryginalnych ludzi, których nikt nie gnoi. Przeciwnie, są doceniani. A u nas, szczególnie w szkole za moich czasów, jak jesteś twórczy, to...

Pobyt w Stanach wzmocnił?

I pokazał, ile jest w sztuce pól do zagospodarowania, jaki wachlarz możliwości! Miałem sporo znajomych ze świetnej wyższej uczelni The New School for Jazz and Contemporary Music, która się mieściła tuż obok Drummers Collective. W New School na każdym z kilku pięter znajduje się inna dziedzina sztuki. Stamtąd, rok w rok, wychodzą najlepsi muzycy jazzowi świata. Idea jest taka, by artyści różnych dziedzin podglądali się nawzajem, spędzali razem czas, inspirowali. To przynosi niebywałe efekty. Dopiero w Stanach zobaczyłem, że taki campusowy model jest możliwy i działa znakomicie. Zdobyłem się na odwagę, by z moimi pomysłami wyjść do ludzi. Bliska mi jest muzyka eksperymentalna, przekraczanie granic stylu, konwencji na instrumencie, ale też ciągnie mnie do tradycji, do przeszłości.

Dlaczego?

Bo to przekaz międzypokoleniowy. Pamiętasz jakąś piosenkę Andrzeja Własta?

„Całuję twoją dłoń, madame" w wykonaniu Aleksandra Żabczyńskiego.

Napisał też „Jesienne róże", „Tango milonga" i kilka tysięcy innych... Piosenki, które mają po kilkadziesiąt lat, a nadal są w obiegu. Natomiast w międzywojniu konkurenci nazywali Własta szmirusem, grafomanem, rymopisem. Ale przecież to on dostarczał przeboje, które nuciła cała Polska. Mój ojciec studiował

mnogość motywów w tych jego – wydawałoby się – prostych tekstach. Robiło to na nim wrażenie.

Powiedziałem „przeboje”? W latach 30. ogłoszono konkurs na polski odpowiednik niemieckiego słowa „szlagier”. I sam Włast zaproponował „przebój”. W wywiadzie do jednej z gazet padło pytanie: „Jaki jest, panie Andrzeju, przepis na hit?”. Odpowiedział, że piosenka staje się przebojem wtedy, kiedy pokocha ją dancing, salon i ulica. Razem.

Piosenka, która łączy klasy i środowiska?

Moje myślenie o muzyce krąży właśnie wokół tych trzech słów. Salon – snobistyczne miejsce elit. Ulica – strumień całego społeczeństwa. Dancing jako połączenie ulicy i salonu – tam spotykają się ludzie cieszący się wspólną zabawą.

Dancingów prawie już nie ma.

Zostały wyparte przez dyskotekę, jak świeczka przez żarówkę, co nie znaczy, że nie jest miło posiedzieć czasem przy jej kojącym świetle. Interesuje mnie żywot starej piosenki. Jej droga spod pióra autora do odbiorcy i rajd przez historię. W ślad za tym idzie miłość do warszawskich kapel podwórkowych.

Jeszcze w latach 90. krakowskim Starym Podgórzem wędrowała cygańska orkiestra. Pod moimi oknami teraz nikt nie gra. Tak jak pod Bramą Floriańską nie gra na skrzypcach Stefan Dymiter. Niewidomy, po amputacji nóg, z niesprawną prawą ręką. Samouk, perfekcjonista, wirtuoz.

Znałem się dobrze z trzema członkami legendarnej Orkiestry z Chmielnej. Jurek Jastrzębski, akordeonista, grał w moim zespole przez ostatnie trzy lata swojego życia i mnóstwo się od niego nauczyłem. Jurek grał w większości dancingów warszawskich, w tym w słynnej Stolicy, Bristolu, Spatifie. Kunsztu muzyka rozrywkowego uczył się od przedwojennych muzyków rewiowych.

A samą Orkiestrę z Chmielnej pod koniec lat 20. założyli bracia Jaworscy – Eugeniusz i Władysław. Warszawa w międzywojniu miała rejony bogate. Początkowo było ich niedużo, ale rozrastały się i sukcesywnie tworzył się rynek dla podwórkowej muzyki. Orkiestra z Chmielnej grała tyle lat na tej konkretnej ulicy, bo tam właśnie bywają tłumy. Już w PRL-u, w latach 60. i 70. w jeden dzień Orkiestra była w stanie uzbierać tyle, ile wynosiła wtedy dobra pensja.

> Byłem przekonany, że jeśli ktoś się na mnie wydziera, poniża, przekracza granice, to ma rację, bo zasłużyłem i muszę sobie z tym poradzić. I radziłem sobie. **Lecz upokorzenie zostaje i dewastuje.**

Brakuje teraz dobrych piosenek? Po prostu – piosenek...

Zależy, co to znaczy dobra piosenka, może nie brakuje? Na pewno język się upraszcza, zarówno mówiony, jak i muzyczny. Wszystko ma być przyswajalne, czyli intratne. Muzyka wiejska to druga moja wielka miłość – szczególnie interesuje mnie ta z Mazowsza południowego, od Radomia lecąc na Kielce. Ta muzyka jest tylko pozornie prosta. W rzeczywistości bardzo wymagająca technicznie – fraza trudna do odgadnięcia, trzeba odbyć pogłębione studia, by ją zrozumieć. I są ludzie z miast, w tym ja, którzy przyjeżdżają na wieś i ocalają tę muzykę.

Jak?

Ucząc się. Siedzisz przy zastawionym stole i grasz z muzykami. Gdy chcesz wiedzieć więcej, to robisz stop, mówisz „pokaż mi to jeszcze raz”. A potem ćwiczysz. Ale najważniejsze w tym jest obcowanie – kontakt z ludźmi.

Przed wojną na wsiach tworzyły się kapele, grały usługowo na weselach, chrzcinach, potańcówkach, pogrzebach. Skład instrumentalny był biedny: klarnet, bęben, skrzypce... I właśnie to mnie najbardziej kręci: prymitywne brzmienie. Ta muzyka ma bardzo dużo punktów stycznych z muzyką afrykańską. Metrum, puls. Jest też nierozerwalnie związana z tańcem i obrzędami, co pokazuje, że wszyscy jesteśmy dziećmi jednej siły, wywodzimy się z tego samego rdzenia.

Śledziłeś to?

W latach 50., nie wcześniej, pojawiają się na wsiach pierwsze harmonie – instrument, który kosztował majątek. Gospodarz musiał konia oddać, by sprawić sobie harmonię, nie miał czym obrabiać pola, ale mógł grać. A wcześniej odbywał kilkudniową wycieczkę do majstra w mieście, który ten instrument zrobił. Z czasem pojawiły się harmonie pedałowe – pompujesz powietrze i grasz. Dzięki temu instrumentowi zaczęły na wieś przybywać melodie miejskie. A bęben obręczowy, takie duże tamburyno z membraną, na którym grało się rytm oberkowy, został wyparty przez perkusję, również przybyłą z miasta.

Jak masz już perkusję i harmonię, to jeden krok do keyboardu i gotowe disco polo. Muzykanci nie potrzebowali tych arcytrudnych zawijasów wykonywać, tylko się po prostu na bani kołysali ku prościusieńkiej muzyce chodnikowej. Ten proces dotyka całą muzykę popularną. Niemniej jest jeszcze sporo miejsc, gdzie można prawdziwej muzyki wiejskiej posłuchać i popatrzeć, jak tańczą.

A co w muzyce podwórkowej najbardziej pociąga?

Historia. W moim domu narracja o starej Warszawie była wszechobecna, towarzyszyła mi od dziecka. Uwielbiałem myszkować w domowym bałaganie i kiedyś natknąłem się na album z napisem „Warszawa jaka była”. Albumik, w którym są dwie mapy – z 1939 i z 1945 roku – plus zeszycik z adresami najważniejszych instytucji rządowych, kulturalnych, kin itd. Jedną mapę położyłem na drugą i zobaczyłem że coś tu nie gra. Oczywiście wiedziałem, że zdarzyła się wojna... Pani Celinka, moja ulubiona nauczycielka z zerówki, była ravensbrüczanka, sadzała nas w kółko i opowiadała o swoich doświadczeniach. Mieliśmy po sześć, siedem lat. A moja mama, rocznik 1938, przeżyła wojnę pod Warszawą zaznając wielkiego głodu... Matka ojca, Magdalena Młynarska, z domu Zdziechowska, owdowiała, kiedy tata miał dwa lata, a jego siostra jeszcze się nie urodziła. Był środek okupacji.

Potem mama podsunęła mi album Olgierda Budrewicza z dużą liczbą zdjęć dawnej Warszawy. Zachwyciłem się, potrafiłem każdą fotografię kontemplować. A w 1987 r. z mamą pojechaliśmy maluchem do Paryża, gdzie spędziliśmy kilka miesięcy. I wtedy porównywałem Marszałkowską z przedwojennych zdjęć z ulicami Paryża. Zaznałem uczucia jakiejś ↦

↦ wielkiej straty. Za komuny Warszawa była brzydka, szara, smutna. A w albumie Budrewicza przedwojenna Marszałkowska przypominała Paryż. Tej starej Warszawy wszędzie szukałem. Znalazłem ją właśnie w piosenkach – organiczną, plastyczną, witalną. Świat w żywej formie. W świetnej formie.

Warszawskie Combo Taneczne, zanim nagrało debiutancki album, zwiedziło podwórka Śródmieścia i Pragi, grając przeboje sprzed pół wieku.

Combo to moje dziecko. Dbam o nie, bo wiem, że dopiero na starość będziemy tak naprawdę dobrze grali te piosenki. Wtedy nie będzie już żył nikt, kto by pamiętał czasy, kiedy one powstawały. To mnie napędza.

A czego byś chciał, by się zdarzyło w najbliższej przyszłości ?

By powstał „The Great Polish Songbook". Amerykanie mają swoje „The Great American Songbook" od dawna, nie trzeba o tym dyskutować, to jest opisane, zgłębione i docenione. Tymczasem u nas Henryk Wars, król melodii, potocznie uważany jest za muzyka w klimacikach retro. A przecież dorobek Warsa dla polskiej muzyki popularnej jest tym samym, co Cole'a Portera – dla amerykańskiej.

Marzy mi się bardzo, by z Combo zagrać w Izraelu. Występowaliśmy tam z Marcinem Maseckim i wiem, jak mocno ta muzyka na nich działa. Można kompletnie odrzucić wszystkie dyskusje ideologiczne i spotkać się w piosence – wszyscy płaczą takimi samymi łzami. A drugim marzeniem jest pograć z Combo na innych kontynentach. Dla Polonii. Ludzi nic tak nie zlepi ze sobą – choćby na chwilę – jak piosenka. Jest w niej kod składający się z rzeczy niematerialnych.

Na nasze koncerty przychodzą ludzie z różnych środowisk, czasami tacy, którym mam ochotę powiedzieć: „dla ciebie nie gram, bo wiem, kim jesteś i czego byś chciał, żeby się stało w naszym kraju". Ale siedzi na widowni taki człowiek ze swoją żoną i się prawdziwie wzrusza. Ja wtedy wiem, że to, co robię, ma moc. Niech zwycięża.

© Rozmawiała
KATARZYNA KUBISIOWSKA

IDA ŁOWŻYŁ / MATERIAŁY PRASOWE ARTYSTY

Hiob Dylan, koncert w ramach projektu KontenerART. Poznań, 11 września 2020 r.

Miejsce, które gdzieś zaginęło

JAN BŁASZCZAK

Do regionów zasłużonych dla muzyki country obok amerykańskich Wielkich Równin należy teraz dopisać Równinę Radomską. Jej piewcą jest – uzbrojony w banjo – Hiob Dylan.

Kilka miesięcy temu trafiła mi w ręce „Zapaść" Marka Szymaniaka. Zbiór reportaży o małych miastach, do którego podchodziłem nie bez emocji, ponieważ sam zamieniłem kiedyś stolicę powiatu na stolicę kraju. Pewnie dlatego podobne reporterskie próby tak często podnosiły mi ciśnienie swoim protekcjonalnym tonem i skłonnością do utrwalania stereotypów. Szymaniak nie jest jednak bohaterem tego tekstu. Jest nim autor, którego dzieło stanowi motto „Zapaści". Dwie zwrotki, które wtedy jedynie omiotłem wzrokiem, by jak najszybciej wgryźć się w sam reportaż. Jak się okazało, w samo życie.

Ksywę autora tamtej piosenki usłyszałem ponownie po kilku tygodniach. Kostek Usenko, muzyk i autor wspaniałych reportaży o rosyjskiej popkulturze, stwierdził w wywiadzie, że prawdziwie ludową muzykę gra dzisiaj w Polsce Hiob Dylan. Ten pseudonim (domyśliłem się, że to jednak pseudonim) nie

był mi już obcy. Wciąż jednak nie znałem piosenek artysty, który chętniej nazywał siebie bardem-dziadem.

Zacząłem od „Polski B", to jest utworu, którym Szymaniak postanowił wprowadzić czytelników w świat reportaży z „Zapaści". Na tle wyrazistej melodii granej na banjo ochrypły głos śpiewał o kraju, w którym liczba wąsów i ściągniętych z Niemiec samochodów jest może nieproporcjonalnie wysoka, ale kebab i mefedron smakują tak samo jak w Warszawie. Ten lekko parodystyczny, pogrywający ze stereotypami utwór kończył się jednak w zaskakujący sposób. Jak wiele minionych dzieł gigantów folku, na koniec zwolnił, by zafrapować puentą. Lekko zrezygnowanym głosem Hiob Dylan śpiewał: „Hej, hej, zostaw mnie / nie chcę żyć w twej Polsce B / Opuściłem ją przed laty / dziś już nie jest moim światem / Gdzie mój dom, sam już nie wiem / nigdzie nie jestem u siebie / Hej, hej, smutno mi / jak długo da tak się żyć?".

– Na utwór „Polska B" Hioba Dylana trafiłem w trakcie zbierania materiałów do książki – wspomina Szymaniak. – Później wielokrotnie towarzyszył mi w podróżach po miastach zapaści. Urzekła mnie jego nostalgiczna nuta mówiąca, być może, o nieracjonalnej tęsknocie za światem, w którym trudno żyć. W warstwie tekstowej „Polska B" opisuje wybory i dylematy, przed którymi stawało i wciąż staje wielu bohaterów mojej książki, i ja sam. Pytania, czy zostać, czy wyjechać, i rozważania, jakie będzie nasze życie, gdy już dokonamy wyboru, i jakie mogłoby być, gdybyśmy dokonali innego. Jest to też utwór o perspektywie tych, którzy z mniejszych miast nie pochodzą, a to ich spojrzenie dominowało dotąd w powszechnej narracji i świadomości.

Muzyka Hioba jest jednak trudniejsza do uchwycenia. Jej styl wywodzi się w prostej linii z tradycji country i folku oraz ich późniejszych negatywów: anti-folku i outlaw country. Ta wiedza nie pomaga jednak umiejscowić jej na polskiej scenie muzycznej. Banjo kieruje w stronę Hańby albo wczesnego Mitch & Mitch, teksty – w stronę Pablopavo, Ziemowita Szczerka i Kazika. Nie tylko chrypka i skłonność do dosadnego, czasem wulgarnego języka przypomina o Staszewskim. Jest w tym coś jeszcze, czego długo nie potrafiłem wyłapać.

Otwarta skrzyneczka

Jest wielu artystów, którzy na początku swojej drogi borykają się z masą wątpliwości. Czy to na pewno ich droga? Czy mają dość talentu? Hiob Dylan do nich nie należy. Kupił banjo, bo zawsze lubił amerykański folk i uwielbiał tę słynną, demoniczną scenę z filmu „Uwolnienie" (1972) Johna Boormana, ale nie podejrzewał, że jest to tak trudny instrument do opanowania. I nie planował, że będzie na nim wykonywał własne utwory.

– Myślałem – wspomina – że nauczę się grać jakieś covery i na starość będę siedział na werandzie, pykając na banjo, jak tamten chłopiec z „Uwolnienia". Okazało się jednak, że jego brzmienie, po wymieszaniu z amalgamatem moich muzycznych i popkulturowych inspiracji, wyjątkowo dobrze klei się z tym, co mam do powiedzenia.

Podkreśla, że za jego piosenkami nie kryje się żadna tajemna metoda, a on sam nie otwiera nowego muzycznego rozdziału. Przeciwnie, uważa, że jeśli jego twórczość cieszy się popularnością, to zawdzięcza ją licznym twórcom, którzy przed nim brali się za bary z folkową tradycją, snując osobiste historie przy akompaniamencie akustycznego instrumentu. Niezależnie od tego, czy było to ponure Death in June, czy harcerski zespół Gawęda, którego piosenka „Szeryf do rondla" zrobiła na Hiobie duże wrażenie w dzieciństwie.

Sporo zawdzięcza także Robertowi Makłowiczowi. Poświęcona mu piosenka jako pierwsza przyciągnęła uwagę szerszej publiczności. Krótki numer zwracający uwagę na językową wirtuozerię smakosza stał się wiralem i pewnego rodzaju wizytówką początkującego twórcy: – Robert Makłowicz rozstał się wtedy z TVP i trochę nie było wiadomo, co się z nim stanie. Dzisiaj wiemy, że dzięki tej decyzji tylko urósł, a ja nadal sobie rosnę jak jakiś mały wrzodzik na plecach tego wielkiego Polaka. Serio mówię.

Oparta nie tylko na melodii banjo, ale też wyjątkowo wyrazistym bicie piosenka ma humorystyczny charakter i wpisuje się w zalew memów i przeróbek z Makłowiczem w roli głównej. Mimo że jest jednym ze słabszych numerów Hioba, ponieważ brakuje jej storytellingu, czyli budowanej kolejnymi zwrotkami, cierpliwie, opowieści, która tak dobrze działa w przypadku chociażby „Raju pod Radomiem".

Korzenie w plecaku

„Raj pod Radomiem" to utwór drogi. Jednostajna ballada, w której na szali stawia się życie. Posępny blues z domieszką country, któremu z reguły jako sceneria towarzyszą przepastne kaniony i Wielkie Równiny. W tym przypadku jest podobnie – za oknem rozciąga się Równina Radomska.

– Jadąc do Warszawy, przejeżdżałem przez Radom dziesiątki razy rocznie – wspomina Hiob Dylan. – Podczas jednej z takich tras obudziłem się nagle na tylnym siedzeniu passata combi, który prowadził mój kolega. Za oknem zobaczyłem całą tę szyldozę i te wszystkie kluby z automatami, które narosły wokół miasta. Zagrało na wrażliwej nucie. Wiem, że Radom jest obiektem żartów, bo „chytra baba" i wiele innych memów, ale ta piosenka powstała w zupełnie innym stanie umysłu.

Przyznaje, że nie wyznacza sobie żadnych ram, a zarazem dba, by humorystyczne przedstawianie Polski B nie wiązało się z wyższościowym tonem. Bo jeśli Hiob Dylan czegoś szczerze nie znosi, to protekcjonalnego tonu, z którym wielkomiejskie media często opisują resztę kraju. Nie oznacza to bynajmniej, że muzyk gloryfikuje wszystko, co jest związane z miastami powiatowymi i wsiami, do których nie dojeżdża transport publiczny. Zdaje sobie natomiast sprawę z nieproporcjonalnie wysokich kosztów, jakie polska prowincja poniosła w wyniku transformacji ustrojowej: – Ten mit poszedł pod nóż i został rozbebeszony – mówi. – Dzisiaj wiemy, że na transformacji skorzystali niekoniecznie ci najbardziej zaradni, nie mówiąc już o najbardziej potrzebujących. Tego już się nie uda sprzedać po raz drugi.

Jak wielu rówieśników urodzonych w latach 80., jest rozdarty pomiędzy metropolią a prowincją, zdroworozsądkową analizą a podszeptami nostalgii: – W Polsce B nie czuję się już jak w domu, ale nie czuję się tak również w dużym mieście. Wyjechałem, bo wszyscy mi powtarzali, że trzeba wyjechać. I teraz trudno mi wracać do korzeni, wyrwałem je, wrzuciłem do plecaka i ruszyłem w drogę. Jeśli moje teksty są zauważane, to chyba dlatego, że do głosu dochodzi pokolenie, które ma podobny problem. Jesteśmy w stanie znaleźć sobie pracę i zabezpieczyć potrzeby żywota codziennego, więc zaczynamy się zastanawiać nad potrzebą posiadania ↦

swojego miejsca. I myślę, że wiele osób nie wie, gdzie jest u siebie. Szuka tego miejsca, które gdzieś zaginęło.

Ta nostalgia daje o sobie znać w klipach realizowanych przez Hioba. Jeśli pojawia się w nich polska prowincja, to rodem z lat 90. W ten sposób muzyk wpisuje się w duchologiczny trend fascynacji okresem transformacji, ale na ten wybór można też spojrzeć inaczej. Przecież to także obraz małomiasteczkowej Polski zachowany w pamięci muzyka, który przed wieloma laty opuścił rodzinny dom i wyruszył w nieznane. O tym, że ten nostalgiczny klimat udziela się odbiorcom, świadczą chociażby komentarze pod teledyskami. W otwarciu klipu do „Raju pod Radomiem" ktoś rozpoznał Bochnię. Kolejny komentujący dodał, że w 25. sekundzie widać kremową ładę 2107 jego taty.

Kazik i Mateusz

Powinowactwo z twórczością Kazika Staszewskiego udało mi się lepiej uchwycić dopiero wtedy, gdy porzuciłem skojarzenia gatunkowe i przestałem spoglądać na muzykę Hioba Dylana przez pryzmat banjo i folkowej tradycji. Wówczas zrozumiałem, że te piosenki w równym stopniu wyrastają z hip-hopu. Świadczy o tym nie tylko prosty beat, za sprawą którego „Robert Makłowicz" brzmi jak wczesna produkcja Kazika. Przede wszystkim język Hioba Dylana nie ukształtowałby się w ten sposób, gdyby nie doświadczenie słuchania rapu. Zaznacza się to nie tylko w bezpośrednim, nierzadko wulgarnym przekazie i znaczeniu, jakie autor przykłada do jego wiarygodności. Hip-hop przebija czasem z niektórych sformułowań i metafor, po które sięga muzyk. W piosence „Polska B" autor nazywa mefedron „Mateuszem" – sam przyznaje, że to nawiązanie do utworu „Bazarek" Hewry z jego hipnotyzującym refrenem: „gdybym mógł, od rana kruszyłbym z nią Mateusza".

Punktem wspólnym dla twórczości Hioba Dylana i wielu raperów jest mówienie o tym, co znane, sprawdzone i bliskie. To cechy, których od muzyki oczekuje też wielu fanów rocka czy punk-rocka. Dlatego ten przekaz i bezpośredni język opakowany w folkową estetykę trafia regularnie także do słuchaczy zwykle uprzedzonych do rapu. Dokładnie tak, jak to było w przypadku Kazika.

Człowiek wilkowi człowiekiem

Utwory Hioba sprawiają często wrażenie autobiograficznych. Tak jest w przypadku piosenki „Kamil, Domino i inni", która brzmi jak punkowa wariacja na temat „Naszej klasy" Jacka Kaczmarskiego. O dorastających przyjaciołach autor śpiewa tak: „Domino walił wódę, jakby był koniec świata / Teraz Domino to jest spełniony tata / Rafi i Adi te ćpuny, te zjeby / Już nawet aspiryny nie biorą bez potrzeby". Szerzej zakrojoną opowieść rodem ze swojego podwórka snuje w „Testamencie króla kibiców", balladzie poświęconej dramatycznej miłości lokalnego ultrasa do niereformowalnej miłośniczki Legii Warszawa: – Nigdy nie byłem kibicem i nigdy nie siedziałem w więzieniu, ale wychowałem się wśród kiboli, więc ta subkultura jest mi jakoś bliska. Swoją drogą cieszy mnie, a zarazem nieco dziwi popularność „Testamentu...", który jest długim, trochę monotonnym utworem. Co więcej, jest historią potencjalnie antagonizującą słuchaczy. A na koncertach ta piosenka siada niezależnie od sympatii piłkarskich panujących w danym regionie.

Gdyby ktoś miał z nią problem, to i tak trudno mu będzie dotrzeć do Hioba Dylana, który podczas koncertów skrywa się za maską wilka. Nie symbolizuje ona jednak ani folkowych tradycji Ameryki, ani samotności występującego na scenie w pojedynkę barda. Hiob kupił ją przed pierwszym koncertem, by lepiej poradzić sobie ze stresem. Miał jedynie dwa tygodnie, by nauczyć się jednocześnie grać i śpiewać. Wcześniej nie musiał tego robić, bo wszystkie swoje piosenki nagrywał w domu. Postanowił więc odwrócić uwagę publiczności. Zainteresować ją czymś poza samym wykonaniem, które jego zdaniem mogło okazać się kiepskie. Stąd maska, którą kilka lat wcześniej kupił w sklepie ze śmiesznymi rzeczami. I z nią został.

– Nie mogę się jej pozbyć, bo stała się jednym z elementów definiujących Hioba Dylana. Jestem człowiekiem-wilkiem. Bardem-dziadem. A musisz wiedzieć, że ta maska to nie jest najwygodniejszy gadżet. Mało w niej słyszę, prawie nic nie widzę, trochę śmierdzi... Na razie jednak idę z tym. Bo lubię tego typa w masce.

© JAN BŁASZCZAK

Historie Diuny

PIOTR TARCZYŃSKI

Widziałem dwa razy i państwu również szczerze polecam. Jeden z najlepszych filmów science fiction ostatnich lat, imponujące wprowadzenie do sagi, która zachwyciła miliony. Wreszcie jest.

Pod koniec 1963 r. w miesięczniku *science fiction* „Analog" mało znany autor Frank Herbert zaczął publikować w odcinkach powieść o pustynnej planecie Arrakis, zwanej Diuną, jedynym we wszechświecie źródle drogocennego melanżu, „przyprawy", która umożliwia podróże kosmiczne. O kontrolę nad planetą walczą feudalne rody: szlachetni Atrydzi i okrutni Harkonnenowie. W tle mamy intrygi, złowrogie Imperium oraz – pociągający za sznurki we wszechświecie – żeński zakon Bene Gesserit. Głównym bohaterem jest młody dziedzic Atrydów, Paul, który trafia między rdzennych mieszkańców Arrakis, nomadycznych Fremenów i niechętnie wchodzi w przeznaczoną mu rolę mesjasza, mahdiego.

Sążnisty rękopis całości książki odrzuciło dwudziestu wydawców, zgodziło się go przyjąć dopiero wydawnictwo Chilton Books, znane do tej pory wyłącznie z podręczników dla mechaników samochodowych. Pierwszy nakład „Diuny" wyniósł zaledwie 2200 egzemplarzy, bez echa. Wszystko zmieniło się jednak, kiedy dostała Hugo i Nebulę, najważniejsze nagrody w branży literatury fantastycznej. Okazało się, że tematy, wokół których krąży Herbert – odmienne stany świadomości, ekologia, antykolonializm – znakomicie współgrają z atmosferą drugiej połowy burzliwych lat 60. I poszło w miliony. Wszędzie.

„Diuna", reż. Denis Villeneuve. Na zdjęciu Timothée Chalamet. USA, 2020 r.

MATERIAŁY PRASOWE WARNER BROS.

Panele

„Diuna" nie jest „twardym" *science fiction* – od fizyki zdecydowanie ważniejsza jest tam metafizyka. Uniwersum Herberta to przyszłość, w której „myślące maszyny" zostały zakazane, a ludzkość rozwinęła zdolności parapsychiczne, stymulowane poprzez zażywanie narkotycznej „przyprawy". Rolę komputerów pełnią specjalnie szkoleni „mentaci", a potrafiące przewidywać przyszłość siostry Bene Gesserit usiłują sprowadzić na świat „Kwisatz Haderach", nadludzkiego mesjasza, którego „siły mentalne będą łączyć przestrzeń i czas".

Mistycyzm „Diuny" idealnie pasował do kontrkultury lat 60. zwiastującej nadejście Ery Wodnika. Autor zaczął więc dostawać wiadomości od ludzi, którzy opowiadali mu, że biorą LSD i czytają jego książkę na głos. Psychodeliki nie były Herbertowi obce, choć sam był raczej amatorem grzybów. To psylocybina podsunęła mu niektóre z pomysłów do powieści: niebieski kolor oczu od stałego zażywania melanżu wziął się od koloru, jaki przyjmują grzyby halucynogenne; „zakrzywiane czasoprzestrzeni" przypomina stan po ich spożyciu; żerujące na grzybach larwy były jedną z inspiracji dla zamieszkujących Arrakis czerwi pustyni: czczonych przez Fremenów gigantycznych stworzeń, których cykl życia łączy się z powstawaniem przyprawy.

„Diuna" to jednak nie tylko mistycyzm, ale i polityka. Melanż jest podstawą gospodarki Imperium, ale Fremeni nie czerpią z jego wydobycia żadnych korzyści – całe bogactwo płynie do kieszeni bezwzględnie eksploatujących Arrakis cudzoziemców. Analogia między przyprawą a ropą naftową była oczywista; bliskowschodnie inspiracje – językowe i kulturowe – wszechobecne. Zwracano uwagę na podobieństwo Paula do T.E. Lawrence'a, który pomógł zorganizować rewoltę Arabów przeciw Imperium Osmańskiemu. „Lawrence z Arabii", słynny film z – ostentacyjnie błękitnookim – Peterem O'Toolem, został obsypany Oscarami w tym samym roku, w którym ukazał się pierwszy odcinek „Świata Diuny" (bo taki tytuł pierwotnie nosiła powieść).

Książkę Herberta odczytywano zatem często jako powieść antykolonialną, ale nie jest to aż tak proste. Wychowany w rodzinie socjalistów, miał eklektyczne poglądy, łączące konserwatyzm z progresywizmem, libertariański indywidualizm z ekologią i troską o dobro wspólne. W latach 50. pracował dla republikańskich polityków, walczących o prawo do wydobycia ropy na oceanie i do niekontrolowanego wyrębu chronionych lasów stanu Waszyngton. Zabiegał też o stanowisko administracyjne na Samoa, *de facto* amerykańskiej kolonii na Pacyfiku. Fascynowała go idea inżynierii klimatycznej – powracającym motywem cyklu jest zmiana pustynnej Arrakis w żyzną, zieloną planetę. Doceniał stabilność i możliwości, jakie daje instytucja Imperium, równocześnie jednak sympatyzował z uciskanymi Fremenami (skojarzenie z *free men*, „wolnymi ludźmi", jest jak najwłaściwsze).

Choć rdzenni mieszkańcy Arrakis przypominają Beduinów, Herbert nigdy nie był na Bliskim Wschodzie, a inspiracji szukał znacznie bliżej. Urodzony i wychowany na Północnym Zachodzie USA, w stanie Waszyngton – którego wilgotne, deszczowe lasy przypominają raczej Kaladan, rodzinną planetę Atrydów – Herbert przyjaźnił się z rdzennymi Amerykanami z plemienia Quileute. Fascynował go ich tradycyjny, zgodny z naturą sposób życia; u Fremenów widzimy odbicie nierównej walki Quileute'ów z rządem federalnym o zachowanie swojej ziemi. To dzięki nim Herbert zaczął dostrzegać społeczne i ekologiczne zagrożenia, jakie niesie ze sobą rozwój i modernizacja, do których sam się kiedyś ochoczo przykładał.

„Ekologia jest nauką rozumienia konsekwencji" – mówi Kynes, oddelegowany na Arrakis planetarny ekolog, w pierwotnej wersji główny bohater książki. „Diuna" była jedną z pierwszych powieści *science fiction*, w której kwestie ekologii, zmian klimatycznych, troska o przyszłość planety odgrywały tak istotną rolę. Kiedy w 1970 r., już jako słynny pisarz, Herbert przemawiał na pierwszym Dniu Ziemi, wypowiedział słowa jak na tamte czasy pionierskie: „Nie chcę musieć powiedzieć swoim wnukom, że nie ma już dla nich Ziemi, bo całą zużyliśmy". Nie ograniczał się tylko do teorii. W swoim domu nieopodal Seattle stworzył „projekt ↦

MATERIAŁY PRASOWE UNIVERSAL PICTURES

Sting jako Feyd w filmie „Diuna", reż. David Lynch. USA, 1984 r.

MATERIAŁY PRASOWE WARNER BROS.

Kadr z miniserialu „Diuna", reż. John Harrison. USA, 2000 r.

↦ pokazu ekologicznego": zainstalował panele słoneczne i turbiny wiatrowe.

Gwiezdny plagiat

Czy powieść tak ambitną, wielowarstwową i skomplikowaną (zdaniem niektórych: przesadnie skomplikowaną) można przenieść na ekran? Jako pierwszy, już w połowie lat 70., z „Diuną" zmierzył się Alejandro Jodorowsky. Chilijczyk, zafascynowany zen i psychodelikami, zapragnął zrobić film „dający wrażenia jak LSD, ale bez LSD". Z francuskim rysownikiem Moebiusem i szwajcarskim artystą H.R. Gigerem zaczęli pracę nad scenografią i kostiumami do filmu wielkiego (i długiego) jak czerw pustyni. Muzykę skomponować mieli muzycy z Pink Floyd, Orson Welles – zagrać barona Harkonnena, a w roli Imperatora zgodził się wystąpić Salvador Dalí – pod warunkiem, że dostanie 100 tysięcy dolarów za każdy dzień zdjęć. W obsadzie znaleźć się mieli też m.in. Alain Delon, Gloria Swanson i Mick Jagger.

Ambicje Jodorowsky'ego rosły, ale nie panował nad materiałem – scenariusz puchł i wkrótce film rozrósł się do około 14 godzin. Kiedy Herbert przyleciał do Europy, okazało się, że pokaźna część budżetu została wydana na przygotowania. Dalí, pragnąc zostać najlepiej opłacanym aktorem w historii kina, podniósł stawkę do 100 tys. dolarów. Za godzinę pracy. Ostatecznie tuż przed rozpoczęciem zdjęć producent zakręcił kurek z pieniędzmi i projekt upadł. Niezrealizowany film Jodorowsky'ego przeszedł do historii jako jedna z największych i najbardziej spektakularnych porażek w dziejach kina.

Tamta „Diuna" miała szansę zostać – nieco upraszczając – pierwszą kinową opowieścią *fantasy* przyodzianą w sztafaż *science fiction*. Choć Herberta bez wątpienia interesował aspekt naukowy stworzonego przez siebie świata (jak Fremeni mogą przeżyć na pustyni; w jaki sposób pozyskują wodę; w jaki sposób dokonać transformacji klimatycznej Arrakis itd.), inspiracje mityczne i baśniowe są w „Diunie" bardzo wyraźne, zresztą Herbert mówił otwarcie o nawiązaniach do legend arturiańskich, mitów greckich czy sagi o Beowulfie. Mamy zatem smoki (pod postacią czerwi pustyni), mamy toczone bronią białą pojedynki, mamy księżniczki, hrabiów i baronów, małżeństwa dynastyczne i całe paraśredniowieczne parafernalia, a przede wszystkim magię, ledwie tylko zakamuflowaną jako „głos" czy „siły psioniczne".

Brzmi to znajomo, bo na ekrany kin trafiła wkrótce inna *space opera* i to ona wyznaczyła wzór całego gatunku. W tym samym roku, w którym zawieszono prace nad filmem Jodorowsky'ego, zaczęły się zdjęcia do „Gwiezdnych wojen", filmu, który zawdzięcza „Diunie" więcej, niż jego twórca George Lucas chciałby przyznać. Pustynna planeta, młody chłopak odkrywający swoje przeznaczenie, od którego zależy los wszechświata, złowrogie kosmiczne imperium, dynastie i ukryte powiązania rodzinne, kontrolowanie ludzi przy pomocy „głosu". Podobieństw było bardzo wiele – Herbert otwarcie twierdził, że George Lucas co najmniej w kilkunastu miejscach splagiatował jego książkę. Gdzie jednak „Gwiezdne wojny" są proste – wiadomo, kto jest po jasnej stronie mocy, kto po ciemnej – tam „Diuna" jest skomplikowana: nie ma bohaterów jednoznacznie dobrych; książę zdobywa królestwo i rękę księżniczki, ale w żadnym wypadku nie jest to *happy end*.

Z wiekiem Frank Herbert stawał się coraz bardziej konserwatywny i po libertariańsku coraz bardziej podejrzliwy wobec każdej władzy – ze szczególnym uwzględnieniem porywających tłumy charyzmatycznych przywódców. „Moim ulubionym prezydentem jest Richard Nixon – mówił – bo pokazał nam, że nie należy ufać przywódcom". Do śmierci w roku 1986 napisał pięć kolejnych książek o Arrakis, jeszcze ambitniejszych niż pierwsza, ale też jeszcze bardziej zawiłych i nieoczywistych. Dość rzec, że tytułowym bohaterem czwartej z nich, „Boga Imperatora Diuny", jest syn Paula, trzyipółtysiącletni pół człowiek, pół czerw, tyran wielbiony niczym bóstwo. Zdziwi się jednak ktoś, kto w kolejnych częściach sagi spodziewa się afirmacji fremeńskiej wolności. Fremeni właściwie znikają z Herbertowego uniwersum – głównym tematem zostaje władza. Choć wielbione przez fanów trafiały na listy bestsellerów, żadna z kolejnych książek o Diunie nie powtórzyła sukcesu pierwszej.

Być może przyczyniła się do tego ekranizacja, która w 1984 r. wreszcie trafiła do kin. Pierwotnie na reżysera wybrano Ridleya Scotta, ale ten wolał pracę nad „Łowcą androidów". Ostatecznie adaptację nakręcił David Lynch, który z ko-

lei dla tego projektu zrezygnował z „Powrotu Jedi", trzeciej części „Gwiezdnych wojen". Mimo gwiazdorskiej obsady film okazał się kompletną porażką. O ile Jodorowsky chciał czternastogodzinnej produkcji, która ostatecznie zapadła się pod własnym ciężarem, o tyle problem z filmem Lyncha był zupełnie odwrotny. Producenci wiedzieli wprawdzie, że adaptacja prozy Herberta nie będzie kinem familijnym, ale sądzili, że robią coś w rodzaju „Gwiezdnych wojen dla dorosłych".

Wizja Lyncha była jednak brutalna, perwersyjna i ze wszech miar niepokojąca, niczym *bad trip* po zażyciu LSD: nawigatorzy Gildii przypominają wielkie, lewitujące waginy, pokryty ropiejącymi czyrakami baron Harkonnen kąpie się w czarnej krwi niewolników itd. Producenci, ewidentnie nie rozumiejąc, z czym mają do czynienia, nakazali reżyserowi skrócić film o jedną trzecią, żeby móc wyświetlać go w kinach częściej i trafić do jak najszerszego grona odbiorców. Wiele scen wycięto, inne nakręcono na nowo – uproszczone, często z głosami z offu, które usiłują tłumaczyć widzom, co oglądają na ekranie.

Mimo to skondensowana do dwóch godzin powieść Herberta dla większości odbiorców okazała się niezrozumiała. Nie pomogły nawet dwustronicowe glosariusze, które wręczano w kinach razem z biletem na seans, tłumaczące, kto jest kim i co znaczą dziwne, obce słowa: „filtrfrak", „kanly", „Kwisatz Haderach" itd. Rozczarowany Lynch wycofał swoje nazwisko z produkcji i odciął się od filmu, który zmiażdżyli krytycy i który okazał się finansową klęską. Z czasem zyskał jednak status kultowego i ma rzeszę oddanych fanów. Stworzył też pewien kanon wizualny, coś w rodzaju „Bizancjum w kosmosie", który zainspirował wielu późniejszych twórców fikcyjnych światów w książkach, komiksach czy grach.

Co ciekawe, sam Herbert był dość zadowolony z końcowego efektu, nie przeszkadzały mu wprowadzone przez Lyncha zmiany i dodatki. Był bowiem, dość zaskakująco, autorem wyjątkowo otwartym na kreatywne traktowanie jego dzieła, jeśli stała za tym ciekawa czy odważna idea. W tym samym roku, co film Lyncha, ukazała się książka bliskiego przyjaciela Herberta, profesora Willisa McNeeleya – „Encyklopedia Diuny", jeden z najdoskonalszych utworów *fan fiction* w historii. To kompendium wiedzy na temat uniwersum Diuny udaje wyimki z wielkiego dzieła stworzonego na polecenie Boga Imperatora. Uzupełnia książki, ale zostawia miejsce na wyobraźnię czytelników; do tego inteligentnie grając motywem niewiarygodnego narratora.

MATERIAŁY PRASOWE SONY PICTURES

Szkic do niezrealizowanego filmu „Diuna" Alejandra Jodorowsky'ego, ok. 1974 r.

Herbert był zachwycony „Encyklopedią" i udzielił jej „pełnej zachwytu aprobaty". Dziś jest to biały kruk i na aukcjach cena książki dochodzi do kilkuset dolarów, nigdy nie została bowiem wznowiona – nie zgodził się na to spadkobierca Herberta, który po śmierci ojca zmonopolizował stworzone przez niego uniwersum. Pod koniec lat 90. Brian Herbert, niespełniony pisarz, razem z innym autorem *science fiction*, Kevinem J. Andersonem, zaczęli taśmowo produkować książki z uniwersum Diuny. Rzekomo oparte na notatkach Franka Herberta prequele i sequele niewiele mają jednak wspólnego z pierwowzorem. Owszem, oryginalne książki – zwłaszcza te ostatnie – bywały przegadane i czasami tylko pozorowały głębię, ale produkcje duetu Herbert & Anderson to głupkowaty, urągający pierwowzorowi epigonizm, w dodatku podły literacko.

I jest

Do „Diuny" zdążyła przylgnąć etykieta powieści niemożliwej do sfilmowania (po drodze było bowiem jeszcze jedno niezrealizowane podejście, a także telewizyjny film, o którym nie warto wspominać), więc kiedy w 2018 r. ruszyły przygotowania do kolejnej adaptacji, oczekiwania – ale i sceptycyzm – były kolosalne. Ostrożni byli też producenci. Kiedy Denis Villeneuve, twórca m.in. znakomitego sequelu „Łowcy androidów", zgodził się reżyserować i postanowił podzielić film na dwie części, żeby należycie oddać złożoność fabuły i świata przedstawionego, wytwórnia zgodziła się, ale powstanie drugiego filmu uzależniła od sukcesu finansowego pierwszego. Kiedy pandemia sprawiła, że premierę przełożono aż o rok – na wrzesień 2021 r. – mogło się wydawać, że i ta „Diuna" nie będzie mieć szczęścia. Stało się inaczej: na premierowym pokazie na festiwalu w Wenecji film Villeneuve'a oklaskiwano przez siedem minut.

Reżyser podszedł do materiału wyjściowego z szacunkiem, ale nie wahał się wprowadzić zmian, jeśli uznał, że wyjdą filmowi na lepsze. Herbert pisał swoją powieść ponad pół wieku temu: bohaterowie to głównie mężczyźni, kobiety są im podległe, jako żony i konkubiny, w najlepszym zaś razie są złowrogimi manipulatorkami, jak siostry Bene Gesserit. Villeneuve nie tylko zmienił płeć jednej z ważnych postaci, ale w ogóle skupił się na kobiecym punkcie widzenia: rozbudował rolę Chani, młodej Fremenki i ukochanej Paula, a zwłaszcza jego matki, lady Jessiki, dostrzegłszy, że jest to jedna z najciekawszych postaci.

Pozbył się też budzącej dziś zrozumiały dyskomfort homofobii. Związek między „perwersją", „zniewieścieniem" i homoseksualizmem jest w książce Herberta doskonale widoczny. Baron Vladimir Harkonnen, monstrualnie otyły, gwałcący młodzieńców „pederasta", w filmie Lyncha dodatkowo cierpi na obrzydliwą, wyniszczającą chorobę, co w 1984 r. budziło oczywiste skojarzenia z epidemią AIDS. ↦

↦ U Villeneuve'a tożsamość seksualna barona nie istnieje, a on sam z karykatury zmienił się w prawdziwie przerażającą postać, która dominuje na ekranie, mimo że pojawia się tylko w kilku scenach.

Choć w najnowszej wizji Arrakis jest zdecydowanie „bliskowschodnia", dużo bardziej niż u Jodorowsky'ego i Lyncha, Villeneuve widzi „Diunę" nie jako afirmację motywu „białego zbawcy" pokroju Lawrence'a z Arabii, który niesie cywilizację prymitywnym tubylcom, ale jego krytykę. Wybrzmi to zapewne mocniej w kolejnych filmach – drugiej części „Diuny" (wytwórnia nie dała jeszcze oficjalnie zielonego światła, ale prace nad scenariuszem podobno już trwają), a także adaptacji „Mesjasza Diuny". Kultura Fremenów zmienia Paula bardziej niż on ich, i to niekoniecznie na lepsze: staje się „Muad'dibem", przywódcą dżihadu odpowiedzialnym za śmierć miliardów ludzi, więźniem religijnego fanatyzmu i własnego przeznaczenia.

Wizja Villeneuve'a jest wizualnie olśniewająca i naznaczona rozpoznawalnym stylem reżysera, ale zdarza mu się inteligentnie nawiązywać do wcześniejszych adaptacji. Charlotte Rampling, którą Jodorowsky widział w roli lady Jessiki, występuje teraz w roli starszej Matki Wielebnej Mohiam. Muzykę skomponował etatowo obsługujący hollywoodzkie superprodukcje Hans Zimmer, ale jeden z utworów jest coverem piosenki Pink Floyd, zespołu, o którym marzył w swoim filmie chilijski reżyser. Czarne stroje Bene Gesserit czy estetyka Harkonnenów przywodzą z kolei na myśl to, co najlepszego w filmie Lyncha.

Trauma „Diuny" jest jednak u obu bardzo silna. Jodorowsky określił adaptację Villeneuve'a mianem „przewidywalnej", a Lynch zapowiedział, że w ogóle nie zamierza jej oglądać.

© PIOTR TARCZYŃSKI

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl

Pikiety i piwnice

ANITA PIOTROWSKA

Z udziałem osób, którym kwestia LGBT+ leży na sercu, stworzony został obraz poniekąd misyjny, lecz jak najdalszy od ideologicznego manifestu.

Hitlerowskie różowe trójkąty, peerelowskie „różowe teczki", dzisiejsze „strefy wolne od LGBT" – w tej części Europy homofobia niejedno ma imię. Zmienia się tylko licznik, mianownik pozostaje bez zmian. Kiedy podczas pokazów festiwalowych „Hiacynta" padały z ekranu słowa: „Trzeba wyjechać z tego kraju", za każdym razem po sali przechodził szmerek, choć przecież rzecz dotyczy schyłkowego Peerelu i niesławnej milicyjnej akcji z lat 80. Gwoli ścisłości, pseudonimował ją kochanek Apollina, zabity w szale zazdrości przez innego greckiego boga, lecz to nie mechaniczna aluzyjność stanowi o wartości najnowszego filmu Piotra Domalewskiego.

Po „Cichej nocy" i „Jak najdalej stąd" (owe tytuły trochę korespondują z atmosferą „Hiacynta") dostajemy amalgamat dusznego kryminału z gęstym dramatem psychologicznym. Stają w nim naprzeciw siebie ojcowie i synowie, a totalitarny system ma twarz funkcjonariusza wplątanego w machinę sprzedajności i kłamstwa. Tym razem nie nostalgia rządzi powrotem do przeszłości oddalonej od nas o ledwie trzy dekady z hakiem. Domalewski z premedytacją ucieka z legolandu, peweksu i wypożyczalni kaset wideo. Trochę inaczej niż w „Żeby nie było śladów" Jana P. Matuszyńskiego fikcyjna fabuła, osadzona w konkretnych okolicznościach historycznych i opowiedziana z sensacyjnym nerwem, jest przede wszystkim historią prywatną, która w miarę rozwoju akcji nabiera politycznego i, chcąc nie chcąc, ponadczasowego wymiaru. Dodatkowym łącznikiem staje się świetny Tomasz Ziętek, grający w obu tytułach główne role.

Film Domalewskiego zasysa już od pierwszych ujęć, kiedy „brudna" kamera Piotra Sobocińskiego juniora ściga drobnego przestępcę po centrum wieczorno-jesiennej, niedoświetlonej Warszawy. Wieczna szarówka pokrywa nie tylko ulice. Wypełnia wnętrza mieszkań i wylęknione dusze ich mieszkańców – jesteśmy ciągle jeszcze w odpychającej aurze stanu wojennego, kiedy prawie każdy obywatel był podejrzany. A co dopiero ci mężczyźni snujący się o zmroku w okolicach „Grzybka", czyli publicznych toalet przy placu Trzech Krzyży. Nazwiska tych mężczyzn figurowały już zapewne w kartotekach; w ten sposób zbierało się kompromitujące informacje, którymi byli szantażowani jako potencjalni TW. Właśnie do tego zakazanego świata wkracza młody sierżant Robert w poszukiwaniu zabójcy gejów. Ale gdy w przebraniu opiekuna socjalnego zaprzyjaźnia się z delikatnym studentem Arkiem (Hubert Miłkowski) i zaczyna infiltrować homoseksualne środowisko, nie będzie to jedyny zastosowany w tym filmie kamuflaż. Im bardziej Robert brnie w śledztwo, im bardziej zbliża się do Arka, tym więcej odkrywa milicyjnych mataczeń, a z drugiej strony coraz mocniej odczuwa swoją prawdziwą naturę.

Domalewski nie spieszy się z wyłożeniem na stół wszystkich kart. Metodą kręgów na stojącej, mętnej wodzie buduje dwie splecione intrygi, ze wspomnianą akcją „Hiacynt" w tle. I w obu najmocniej straszy cień ojca, pułkownika MO (w tej roli Marek Kalita), który bacznie obserwuje podwójną nadgorliwość swego syna. Dlaczego Robert po zamknięciu śledztwa związanego z zabójstwem „ciotki" dalej obsesyjnie węszy temat? Dlaczegóż znika na całe noce, zamiast przygotowywać się do rychłego ożenku z sympatyczną Halinką (Adrianna Chlebicka) i do szykowanej mu kariery w milicji? Widzimy, jak różne światy Roberta zaczynają się coraz bardziej rozjeżdżać.

MATERIAŁY PRASOWE NETFLIX

Kadr z filmu „Hiacynt”

Oczyma jedynego sprawiedliwego, insidera i outsidera równocześnie, przygląda się „Hiacynt” szemranym metodom śledztwa: zastraszaniu, szantażom, fabrykowaniu dowodów, ale także fizycznej przemocy, w czym celuje niejaki Nogaś (znakomity Tomasz Schuchardt). W jednej ze scen brutalnych przesłuchań „na dołku” pojawia się aktor Piotr Trela, znany z filmu „25 lat. Sprawa Tomka Komendy” Jana Holoubka, i tu powtarza swą rolę niewinnego człowieka wrobionego przez służby mundurowe. Co z tego, że przynależące do innego ustroju? Lecz tak jak w kryminalnym wątku trudno było uniknąć znanych z kina schematów, stopniowania temperatur czy zbyt pośpiesznych rozwiązań, tak w osobistej historii Roberta, w jego relacjach z narzeczoną, ojcem, matką, z nowym przyjacielem, film nabiera niezwykle bogatej konsystencji. Dopiero odkrywając wielopiętrowe kłamstwo swych życiowych i zawodowych autorytetów, główny bohater „Hiacynta” zaczyna w pełni dostrzegać własne, prywatne (samo)oszustwo.

Wszyscy, przynajmniej do pewnego momentu, coś tutaj przed sobą nawzajem grają, przez co fabuła migocze wieloznacznością. Niedopowiedzenia ciążą w powietrzu, zwielokrotnione kłamstwa obracają się przeciwko sobie, a inkryminowana sprawa gejowska odsłania kolejne swoje piętra i piwnice. To w piwnicy zresztą potajemnie tworzy Robert własną tablicę śledztwa. W metaforycznej piwnicy (czy, jak kto woli, w szafie) zamyka się przed swoimi bliskimi, narażając siebie i w końcu też ich samych na dotkliwe cierpienie. Przeciwieństwem tych piwnic, podejrzanych gejowskich „pikiet” czy obskurnych komisariatów staje się w filmie barwny światek Arka i jego przyjaciół, maleńka oaza wolności i bezinteresownej zabawy pośród komunistycznej smuty. Domalewski pokazuje ów światek bez stereotypowych przegięć – bez folkloryzacji, demonizowania, martyrologii. Za to z lekkością i humorem, jakby chciał przekornie zapytać: i komu to przeszkadzało? Oglądamy kino pod wieloma względami inicjacyjne, nadrabiające wieloletnie zaległości w temacie i samo również stosujące rozmaite przebrania.

Jest wreszcie „Hiacynt” filmem o miłości – niedozwolonej, wyszydzanej, wystawionej w finale na najcięższe z możliwych prób. Słowem, trzeba zabić tę miłość. Scena finałowego przesłuchania wbija nóż w serce, a następnie przekręca go kilka razy, podczas gdy wcześniejsza scena erotyczna (choć dla wielu dyskusyjna w „technicznym” kształcie) dotychczas w polskim kinie głównego nurtu nie miała sobie podobnych. Jak przystało na czarny kryminał, peerelowski system staje się tu synonimem fatum – osacza jednostkę, korumpuje rodzinę, depcze intymność. Powstał film, który kusi i zwodzi swego bohatera, a przy tym intryguje mroczną, wręcz jadowitą estetyką (nagroda na gdyńskim festiwalu dla Darii Siejak za charakteryzację). Wiele znaczą tu detale, te wszystkie lustrzane odbicia czy migające w kadrze „Maski” z transgresyjnej serii Marii Janion.

Z udziałem osób, którym kwestia LGBT+ szczególnie leży na sercu (nagrodzony w Gdyni scenarzysta Marcin Ciastoń, producentka Joanna Szymańska, konsultant scenariuszowy Michał Oleszczyk), stworzony został obraz poniekąd misyjny, lecz jak najdalszy od ideologicznego manifestu. Za pomocą dopracowanego w szczegółach, mrocznego „sensacyjniaka” opowiada o świecie, gdzie erotyka zepchnięta została do podziemnego szaletu i nielegalnego pornosa, stając się przy okazji polityczną kartą przetargową. ©

„HIACYNT” – *reż. Piotr Domalewski. Prod. Polska 2021. Dostępny na Netfliksie.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. Węgierska Wiosna Filmowa

Przegląd, MOJEeKINO.pl, 18–25 X, 19.00

Tym razem jesienią i w wersji online można zapoznać się z produkcjami filmowymi naszych „bratanków”. W zestawie są filmy krótkometrażowe i długie, a wśród nich takie tytuły, jak nominowany do nagrody Emmy „Skarbiec” (2018) Pétera Bergendy’ego, „Ci, którzy pozostali” (2019) Barnabása Tótha czy komedia „Towarzysz Drakulics” (2019) Márka Bodzsára.

2. Dalekowschodnia golgota

Dokumentalny, reż. Julia Sergina, Rosja 2021, KFF VoD, do 12 XI

Najlepsze zagraniczne dokumenty Krakowskiego Festiwalu Filmowego są już dostępne online. Szczególnie polecamy fascynującą historię Wiktora Toropcewa – rosyjskiego youtubera z dalekiego Kraju Chabarowskiego, czyli skomplikowany portret dysydenta, który w nierównej walce z nadużyciami lokalnych władz stawia wszystko na jedną kartę.

3. Sprzątaczka

Serial, tw. Molly Smith Metzler, USA 2021, odc. 1-10, Netflix

Jak przeżyć w USA będąc ciężko pracującą i słabo opłacaną samotną matką? Stephanie Land pisała o tym we wspomnieniowej książce, a wersja filmowa wyostrza perypetie sprzątaczki na tle społecznych realiów i międzyludzkich napięć. W roli tytułowej Margaret Qualley, prywatnie córka Andie MacDowell, która gra tu mocno zwichrowaną matkę głównej bohaterki.

4. Ostatni komers

Dramat, reż. Dawid Nickel, Polska 2020, VoD

Najpierw była debiutancka powieść „Ma być czysto” Anny Cieplak, uhonorowana m.in. Nagrodą Conrada. Młody reżyser przeniósł niektóre wątki na ekran, opowiadając o przeżyciach ostatnich gimnazjalistów z małego miasteczka w sposób świeży i pozbawiony paternalistycznej wyższości. Najlepszy film mikrobudżetowy ubiegłorocznego festiwalu w Gdyni.

„TP" 32/2021

Dlaczego zostałem

Nie spotkałem dotychczas publikacji, z której wymową bym się tak identyfikował, jak z tekstem „Dlaczego zostaję" Piotra Sikory. Wychowywałem się w rodzinie katolickiej i do niedawna uważałem za oczywiste, że jest to jedyna prawdziwa religia. Jednakże od kilkunastu lat za najważniejsze uważam, aby wierzyć w Boga i przestrzegać zasad tej religii, którą się uznaje za „wiodącą". W kilku ostatnich latach dochodzę do wniosku, że wręcz wstydzę się przynależności do wspólnoty katolickiej. Do argumentów podanych przez red. Sikorę dodałbym jawne nieprzestrzeganie przez znaczącą część księży zasad („gosposie" i dzieci książowskie, dążenie do przepychu) oraz to, co nazywam „szamanizmem", a co najogólniej można nazwać przerostem formy nad treścią (pokropki, okadzanie, przepych szat i tronów dla celebransów, korzystanie z sióstr służebniczek itd.). Zachodzi jawna sprzeczność między nauczaniem Chrystusa a zachowaniem wielu księży. Mimo tego nie zamierzam występować z Kościoła katolickiego. Uważam nauczanie Jezusa za istotny przekaz do wypełniania i naśladowania. Skoro wychowałem się w duchu tej religii, nabrałem pewnych nawyków co do formy modlitwy i sprawowania obrzędów, to nie będę zmieniał religii tylko z powodu zachowania części kleru. Wierzę w jednego Boga – a jest on taki sam dla wszystkich religii.

JÓZEF PARADOWSKI

„TP" 40 / 2021

Ale co z krową?

Bardzo lubię czytać „Smaki", choć nigdy nie skorzystałam z żadnego podawanego w tej rubryce przepisu. Ostatnio red. Paweł Bravo zajął się pochwałą biesiadowania, w szczególności biesiadowania na urodzinach znanego dziennikarza. Nie zająknął się jednak o tym, że posłowie byli wtedy „na wagarach", bo właśnie Marian Banaś w pustej sali sejmowej zaczął swoje sprawozdanie z działalności Najwyższej Izby Kontroli za 2020 r. Skoro opozycja krytykowała posłów Prawa i Sprawiedliwości za opuszczenie sali sejmowej podczas sprawozdania Rzecznika Praw Obywatelskich, za wychodzenie demonstracyjne Kaczyńskiego i jego posłów podczas rozliczania kosztów tzw. wyborów kopertowych, to nie można pochwalać teraz, że posłowie Platformy Obywatelskiej niewinnie pojawili się na urodzinach. Przecież za to m.in. dostali reprymendę od Tuska. Pan Bravo nazywa to „byle pretekstem", a żenadą przepraszanie. Przypomina mi to opowieść księdza, który słucha spowiedzi chłopa kajającego się za kradzież sznurka: „No to nie jest jakiś wielki grzech". „Ale co było na końcu tego sznurka?" – spytał ksiądz, jak już rozgrzeszony chłop odchodził od konfesjonału? „Krowa" – odpowiedział chłop, zadowolony z niskiej pokuty. Samo biesiadowanie to byłby ten sznurek. Ale co z krową?

MARZANNA JASZCZEWSKA

TYGODNIK POWSZECHNY

Słuchaj i rób, co chcesz!

W cyklu „Tygodnik" na ucho
co tydzień 5 wybranych tekstów z bieżącego wydania – do odsłuchania w dowolnym czasie, miejscu i na dowolnym nośniku.

Pobierz aplikację Audioteki z GooglePlay lub AppStore i słuchaj w dostępie dla Klubowiczów – dla nowych abonentów 14 dni gratis!

audioteka

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

PODRÓŻE SPRZED WIEKU

MICHAŁ SOWIŃSKI: Po co nam dziś kino nieme?
IGA HARASIMOWICZ: Gdy lata temu odkryłam je dla siebie, zachwyciło mnie przede wszystkim to, że bez słów na ekranie można tak wiele wyrazić. Praca aktorów, ale też maestria reżyserska sprawiają, że sam obraz potrafi opowiedzieć całą historię. Do tego dochodzą zbliżenia, montaż, czyli podstawowe narzędzia filmowe, które w kinie niemym były czymś nowym, a przez to najlepiej widocznym. Oglądając dziś kino nieme, możemy poczuć się jak ówcześni widzowie, dla których był to zupełnie nowy wymiar rzeczywistości.

Jest jeszcze muzyka.
Zgodnie z tradycją odbioru filmu niemego, ilustracja muzyczna jest kluczowym elementem pokazu – najlepiej, kiedy wykonywana jest na żywo, w kinie. Taka forma akompaniamentu zmienia seans w niesamowite doświadczenie. W tym roku w ramach Święta Niemego Kina zagrają dla nas na żywo m.in. Maciej Obara Quartet, Księżyc, Atom String Quartet feat. Marcin Albert Steczkowski, RGG, Kasia Pietrzko Trio oraz JAAA! feat. Irek Wojtczak.

Innowacją w realizacji tegorocznej edycji będą transmisje na żywo wybranych projekcji i koncertów na portalu ninateka.pl.
Realizując projekt w takiej nowatorskiej formule, nadajemy wydarzeniu rangę ogólnopolską, a nawet światową. Streaming to zasadnicze uzupełnienie klasycznej formuły festiwalu filmowego. Będzie miał na celu upowszechnianie kina niemego. Dzięki transmisjom chcielibyśmy umożliwić uczestnictwo w Święcie Polakom mieszkającym za granicą i korzystającym z Ninateki.

O czym opowiadają festiwalowe filmy?
Tę edycję planowaliśmy już od dawna – jeszcze przed pandemią. Na motyw przewodni wybraliśmy podróże, co, jak wiadomo, nabrało nowego kontekstu. Pojawią się zatem filmy reprezentujące kinematografie wielu krajów, np. Japonii, Węgier, Kanady, prezentujące zaginione światy, ludzkie historie czy krótkie filmy podróżnicze, m.in. z Włoch, Grenlandii, Boliwii, Australii.

Czym różnią się filmy podróżnicze sprzed stu lat?
W początkach kina najbardziej fascynującą rzeczą, jaką dało się pokazać, był oczywiście sam ruch. Wcześniej świat poznawany był dzięki fotografii. Czuć w tym świeży, choć ponad stuletni, zachwyt nad możliwościami nowego medium oraz wyobraźnię twórców i reżyserów. Dziś potrafimy zarejestrować wszystko, trudno nas czymś zaskoczyć. Na początku XX wieku pierwsi operatorzy mieli do dyspozycji ciężką i nieporęczną kamerę, ale to właśnie dzięki niej przed widzami otwierały się zupełnie nowe światy.

Pojawi się też ciekawy akcent polski.
Zaprezentujemy filmy nieme z kolekcji FINA, m.in. krótkometrażowe reportaże z Polski początku XX wieku. Odbędzie się również premiera „Szkiców z Polski", filmu odnalezionego niedawno w belgijskiej filmotece, którego powstanie datuje się na lata 1920-31. Jego twórcą był Maurice Bekaert, reżyser-amator, który odwiedził Polskę trzy razy – przemierzył Galicję, był w Poznaniu, Warszawie i Gdyni. Sceny z tego filmu są unikalną kroniką przedwojennej Polski – w przypadku wielu miejsc to jedyny ich zapis filmowy, jaki przetrwał do dziś.

W programie sporo będzie też Francji.
Nie mogło jej zabraknąć – to kolebka światowej kinematografii i miejsce pierwszego pokazu filmowego. Festiwal otworzy debiut René Claira, „Paryż śpi". Kilka lat temu odnaleziona została kolejna kopia filmu, który do tej pory znany był w wersji 30-minutowej. W kinie Iluzjon zaprezentujemy film po rekonstrukcji cyfrowej, trwający obecnie 60 minut. To fascynujące, że same taśmy filmowe również podróżują po archiwach całego świata, aby ostatecznie spotkać się i pokazywać nam swoje historie od nowa.

©℗ Rozmawiał Michał Sowiński

Kadr z filmu „Szkice z Polski" („Croquis polonais"), reż. Maurice Bekaert, 1920-31. Fina / Cinémathèque Royale de Belgique

17. ŚWIĘTO NIEMEGO KINA: „VOYAGES" 22-30 PAŹDZIERNIKA

www.swietoniemegokina.pl
TRANSMISJE ONLINE: www.ninateka.pl

FINA

KINO ILUZJON

Ministerstwo Kultury Dziedzictwa Narodowego i Sportu

Dofinansowano ze środków Ministerstwa Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

JAN

Klata:
Znienacka 2021

Szykuje się ostra redystrybucja, zaiste, z terminem na wczoraj. Kuluarowy szacher-macher nazbiera tzw. szabel wystarczających do przepchnięcia przez sejm niemy nowego – z przeproszeniem – ładu, co to go jeszcze nikt nie zdążył przeczytać w całości, bo czasu nie było. Sprawdzi się w praniu, oby tylko M.M. zdążył ogłosić sukces, co to musi być teraz.

Najstarsi górale zajmujący się prawem podatkowym ni w ząb nie chwytają, o co w ogóle chodzi na 277 stronach legislacyjnego cudu z Nowogrodzkiej – i o to chodzi, żeby życie miało smaczek. Rządowi – bądź co bądź – prawnicy mieli okazję do głębokiej egzystencjalnej zadumy nad względnością upływu czasu, bowiem dostali na odniesienie się do morawieckiego projektu... kilka godzin. Prawnicy generalnie raczej mają tak, że lubią rozumieć, co czytają, a tu taka siurpryza! Nie dziwota, że zszokowani obwieścili, iż się nie odniosą, bo nie mają jak – nawet do tych magicznych 277 stron, nie wspominając nawet o pozostałych kilkuset stronach „objaśnień, o co autorowi chodziło". Pytanie retoryczne, oczywiście, słychać wycie – znakomicie! Odpowiedzialne działanie technokratycznych nowych elit, prawne i zaprawdę sprawiedliwe podwaliny Wielkiej Polski dla następnych pokoleń. Naczelnik w formie: śmieszy, tumani, przestrasza. Przepisy podatkowe publikowane na Snapchacie. Prezydent z TikToka klepnie, on zawsze przyklepuje, w majestacie.

Dlaczego tak się dzieje? Żeby Kura miał co obwieszczać telewidzom do głowy przez oczy, żeby ekspert z „Gazety Polskiej" codziennie utwardzał elektorat, masował słupek poparcia. Za to warto zapłacić każdą cenę, nieprawdaż?

Wyraz „bałagan" pochodzi od Tatarów, i jest bardzo, ale to bardzo łagodnym określeniem na system nowogrodzki, panujący na ziemiach polskich od lat kilku, ale zbyt wielu. Performatywnie rzecz pospolitą ujmując, będzie burdel. ©

Lektor:
Odmieńcy

▪ *Christine Lavant*
HISTORIA ZAPISANA NA DRZWIACH I DWIE INNE OPOWIEŚCI
Przekład Małgorzata Łukasiewicz. Posłowie Piotr Paziński. Wydawnictwo Ossolineum, Wrocław 2021, ss. 120.

Istnieją książki, które sprawiają ból, bo czujemy, że są zapisem niewyobrażalnie strasznego doświadczenia, a równocześnie budzą zabobonny lęk doskonałością formy, w jakiej to doświadczenie wyrażono. Zabobonny – bo jest coś ponadludzkiego w umiejętności przetworzenia własnego cierpienia w tekst mistrzowsko precyzyjny, bez choćby jednego fałszywego tonu, przylegający ściśle do sytuacji, którą opisuje. Tak właśnie jest z prozą Austriaczki Christine Lavant. Z wydanymi pośmiertnie (u nas w roku 2017) „Zapiskami z domu wariatów" i z opublikowanymi za życia autorki trzema utworami, które teraz otrzymaliśmy po polsku. W dorobku translatorskim niezrównanej Małgorzaty Łukasiewicz te dwie książki umieściłbym obok tomów Roberta Walsera i W.G. Sebalda. Czyli na szczycie.

Christine Thonhauser (1915-1973) urodziła się w biednej, wielodzietnej rodzinie górnika we wschodniej Karyntii, w dolinie rzeki Lavant (stąd pseudonim). Od dzieciństwa nękały ją choroby – skrofuloza, nawracające zapalenia płuc. Groziła jej ślepota, terapia rentgenowska przeciw skrofułom pozostawiła głębokie blizny. Formalną edukację zakończyła wcześnie; odtąd, jak pisze Paziński, „schorowana i samotna nastolatka czytała, malowała akwarele i szydełkowała", zmagając się nie tylko z kolejnymi infekcjami, ale i z ciężką depresją. Po kolejnej próbie samobójczej zgłosiła się do kliniki psychiatrycznej w Klagenfurcie; owocem pobytu w niej stały się „Zapiski...". Znajdujące się w wydanym teraz tomie „Dziecko" ma również autobiograficzne podłoże, zawiera przetworzone reminiscencje z czasu, gdy w klagenfurckim szpitalu ratowano małej Christinie wzrok i leczono skrofuliczne wrzody. Pełen tajemnic szpitalny świat, którym rządzi Pan Ordynator – dobry, ale nieprzystępny jak Bóg, oglądamy z perspektywy rozgorączkowanego umysłu religijnej dziewczynki-odmieńca z obandażowaną głową. Odmieńcem jest też bohater „Chłopca" – ze sztucznym podniebieniem i zajęczą wargą. Tytułowy, najkrótszy utwór sięga do dziecinnych źródeł pamięci i wyobraźni. Twórczość żyjącej na uboczu pisarki, przede wszystkim poetycka, została w Austrii doceniona, czego świadectwem Nagroda Poetycka im. Georga Trakla i Wielka Nagroda Państwowa (1970). Wiersze Lavant cenił Thomas Bernhard, u nas ich wybór wydał w 2000 r. Ryszard Wojnakowski. Jej proza jest mistrzowska. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Kiełbasiane party

Siedem milionów kiełbasek rocznie produkuje koncern Volkswagena w swojej największej fabryce w Wolfsburgu. Tych wieprzowych, które następnie po podgrzaniu, pocięciu na plasterki, zalaniu keczupem i zasypaniu znaczną ilością stosownej mieszanki przypraw stanowią bazę Currywurst – fundamentalnej potrawy niemieckiej klasy robotniczej i urzędniczej. Kiełbasa ma swój odpowiedni numer w katalogu oryginalnych części Volkswagena, podobnie jak firmowy sos, i nie wątpię, że spełnia równie rygorystyczne normy jak tarcze do sprzęgieł, simmeringi i dyferencjały. Powstaje przede wszystkim z przeznaczeniem dla licznych stołówek pracowniczych, ale część z produkcji trafia później do sklepów albo do sieci dilerów jako swoisty gadżet reklamowy. Moim zdaniem o wiele wdzięczniejszy niż brelok do kluczy, ale mogę z tą opinią być trochę na straconej pozycji. Mięso i jego przetwory są po niewłaściwej stronie historii na równi z samochodami – a już szczególnie kiełbasa. W Polsce mało korzystamy z jej fallicznych skojarzeń, tak jak np. Anglicy, dla których np. impreza zdominowana przez mężczyzn, czy szerzej – inne przejawy męskocentrycznej kultury w życiu publicznym, to *sausage party*. Coś jak nasz „dziadocen".

Wszyscy gracze w branży doskonale wiedzą, skąd wieje wiatr przemian, dlatego niemiecka firma bardzo mocno inwestuje w produkcję samochodów elektrycznych, na razie uznawanych za czyste – do czasu, aż ktoś policzy realne i długofalowe koszty środowiskowe z nimi związane. Volkswagen musi się starać podwójnie, bo z racji niedawnego skandalu z oszukiwaniem w testach spalin ma na sobie więcej wizerunkowego brudu niż inni. Może w związku z tym ogólnym odświeżeniem, a może w ślad za przemianami obyczajowymi załogi, mięsne currywursty zastąpiono niedawno w części stołówek wegańskimi zamiennikami.

W przypadku tej akurat potrawy ma to pomijalne znaczenie dla smaku, bo i tak proszek curry i intensywnie słodkawy sos maskują wszystko, co pod spodem. Taki był zresztą powód sukcesu tego wynalazku z czasów tużpowojennej mizerii, kiedy kiełbasa była podła, a w taborach anglosaskich okupantów przyjechały do Niemiec w ogromnej ilości curry i keczup. Z kultury masowej pamiętamy inne ikoniczne elementy racji żywnościowych, takie jak camele i czekolada, ale to nie one odcisnęły piętno widoczne do dziś na prawie każdym rogu niemieckich ulic.

Trzeba przyznać, że u nas proces transformacji gastronomicznej jest mocno zaawansowany i wcale nie musimy się uważać za bardziej zacofanych od Niemiec (nie tylko zresztą w tym aspekcie – jeśli chodzi o działanie np. e-administracji albo bankowości, jesteśmy o parę długości do przodu). Na Orlenie oferta wegeparówek do hot dogów oraz innych bezmięsnych opcji obiadowych od dawna da się zjeść bez wielkiej przykrości i nawet mniej zalega potem w żołądku niż mięsne hot dogi, a już szczególnie ich fikuśne wersje, np. „pepperoni" albo „włoskie" – rząd Mario Draghiego powinien odwołać z Warszawy swojego ambasadora, jeśli się kiedyś dowie o tych ostatnich. Wstydliwy zaś problem emisji spalin samochodowych sam się powoli rozwiąże, gdy w miarę drożenia benzyny będziemy się na tych stacjach zjawiać głównie po przekąski.

Tymczasem jednak ruszać się trzeba, o czym dobrze wie Elon Musk, ten będący po dobrej stronie mocy, choć nie mniej drapieżny od XIX-wiecznych baronów-rozbójników kapitalista-wizjoner. Próbując wszystkich szybciej poprzesadzać do elektrycznych aut własnej produkcji, otwiera właśnie pod Berlinem fabrykę – zwaną, żeby nikt nie miał wątpliwości co do skali, „Gigafabryką". Na razie oldskulowy i miłujący faksy aparat urzędniczy landu Brandenburgia stanął na drodze lokomotywie postępu, czepiając się braku rozmaitych opinii środowiskowych, ale wkrótce raczej i on ulegnie, przybijając ostatnią pieczątkę. W oczekiwaniu na tę chwilę Musk zdążył już wylansować firmowe Gigapiwo. Czy przeznaczone do pojenia robotników w trakcie pracy? Wątpię, ale otoczy całą resztę jeszcze szczelniejszym kordonem marketingu.

Większość z listy największych polskich firm produkuje i handluje energią. Oczyma duszy widzę opatrzone logotypami cukierki (a może nawet przejęte od Wedla torciki) przysyłane na osłodę rachunku. Albo coś mocniejszego w butelce, na rozgrzewkę, kiedy włączony kaloryfer stanie się niedzielnym zbytkiem. ©℗

Widziałem parę razy w Polsce food trucki sprzedające kiełbasę mniej więcej przypominającą Currywurst z Niemiec. Jeśli chodzi o sos, to łatwo go podrobić, by był „jak prawdziwy", gorzej z mięsną częścią dania. Ale może szkoda się wysilać, przegapiając potencjał kiełbas robionych alla polacca. Już parę razy namawiałem was, by traktować tę białą, surową, jako źródło ciekawie przyprawionego mięsa, którego używamy po usunięciu osłonki. Na przykład do takiej jesiennej zapiekanki: podsmażamy, a następnie dusimy na oliwie ok. 300 g z grubsza posiekanych świeżych grzybów, najlepiej podgrzybków, aż porządnie zmiękną. Na osobnej patelni przesmażamy na oliwie z drobno siekaną cebulą mięso wyjęte z 500 g surowej kiełbasy – kilka minut na średnim ogniu, aż dobrze się zrumieni. Szykujemy beszamel z 0,5 litra mleka, 50 g masła i 50 g mąki, gdy jest gotowy, dodajemy grzyby i garść np. tymianku albo mięty. Gotujemy krótki makaron (np. penne), przekładamy na patelnię z kiełbasą, intensywnie mieszamy, dodajemy potem grzybowy beszamel i przekładamy do żaroodpornego naczynia. Posypujemy tartym parmezanem zmieszanym z bułką tartą i zapiekamy w 200 st. C przez parenaście minut, aż na wierzchu zrobi się skorupka.

MARIUS GRAF / ADOBE STOCK

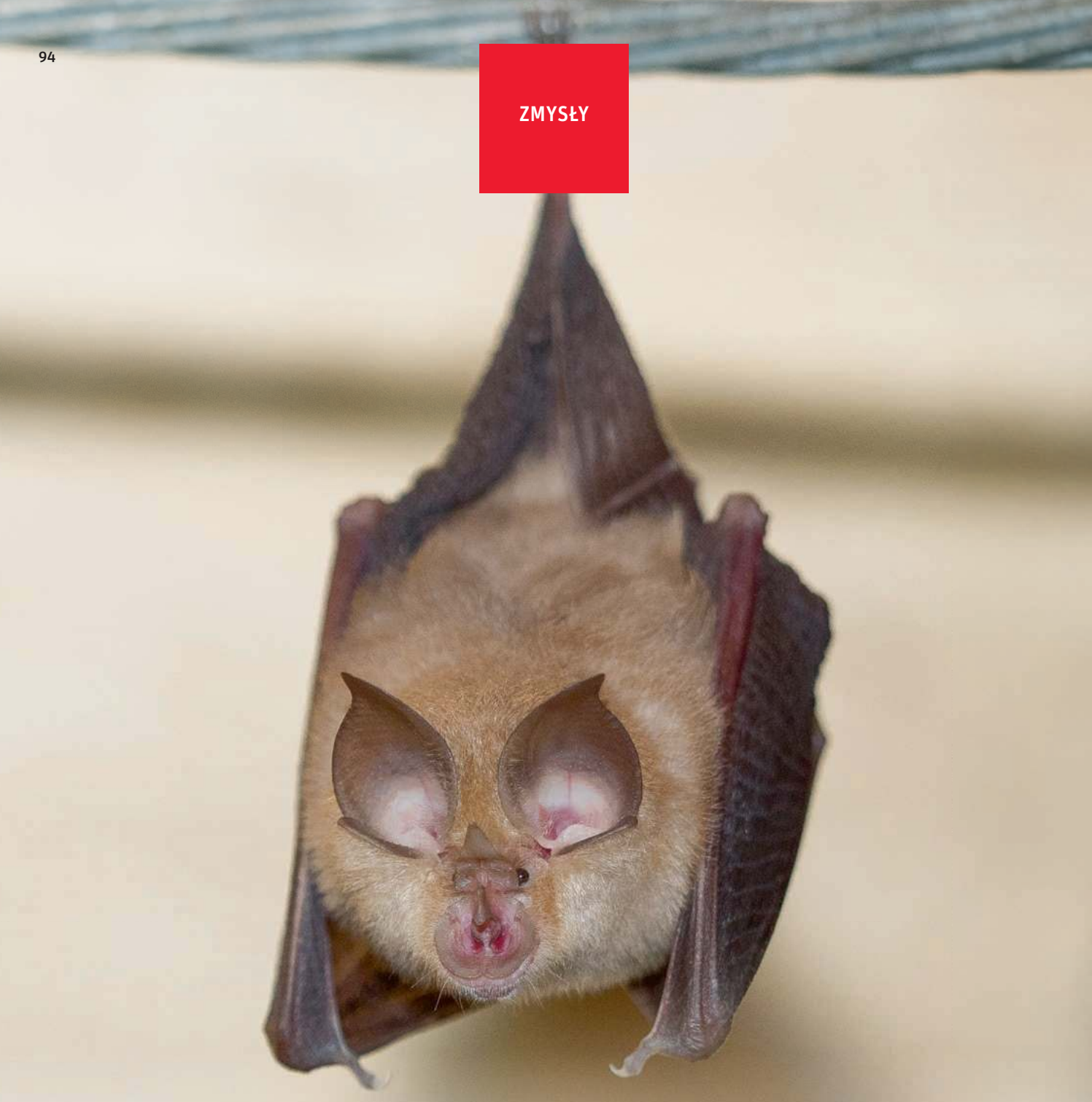

JEST ŻYCIE NA STRYCHU

Pamiętam podchmielonego górala, z którym czekałem na autobus. Zaczęliśmy rozmawiać i on mówi: panie, my mamy nietoperze, które nam kościół uratowały!

ADAM ROBIŃSKI

Izby, jasny lipcowy wieczór. Dolina zaczyna się przełęczą u stóp masywu Siwejki, kończy granicznymi słupkami. Asfalt zmienia się w szutrówkę, zabudowania w pastwiska, trzy potoki, potem las i Słowacja. Cerkiew to będzie sam środek doliny. Na zdjęciach wygląda to wyjątkowo malowniczo. Biała wieża kościoła i zielona buła Lackowej. Najwyższy szczyt Beskidu Niskiego, z tym łatwym do zapamiętania dziewięć dziewięć siedem nad poziom morza, i zabytkowa, pięknie wyremontowana cerkiew, tysiąc osiemset osiemdziesiąt coś.

Zuzanna Długosz, pseudonim „Baba z Gór", to człowiek orkiestra. Łamigłówki dla dzieci? Owszem, są. Trochę za trudne? Nie szkodzi, są też kolorowanki dla przedszkolaków. Bilety? Będę mówiła, a syn w tym czasie pozbiera pieniądze. Słuchacze na kocykach, w półokręgu, zasłuchani. Pełna dyscyplina, czasem tylko śmielsze z dzieci postanawia na chwilę wprowadzić swoje porządki. Oto miastowi turyści na wakacyjnej pogadance.

Temat: nietoperze. Gwoździem programu mają być wieczorne wyloty jednego z europejskich przedstawicieli rzędu *Chiroptera*, który na strychu cerkwi ma letnią kolonię rozrodczą. Do zmroku jeszcze parę kwadransów, więc wprowadzenie jest długie i merytoryczne. Pomiędzy godziną siódmą a wpół do dziewiątej abstrakcyjny rzeczownik „nietoperz" zyskuje w głowach zgromadzonych całkiem pojemną definicję.

Badanie śrutówką

W Polsce żyje dwadzieścia siedem gatunków nietoperzy, przy czym im starsze źródło informacji, tym liczba ta jest mniejsza.

– Powodów jest parę. Raz, że obserwujemy gatunki, których dotychczas nie notowaliśmy. Dwa, że mamy i takie, które do tej pory uważaliśmy za inne – tłumaczy Rafał Szkudlarek, biolog, speleolog i chiropterolog. – I tak mamy na przykład od paru lat podkasańca wąskoskrzydłego, *Miniopterus schreibersii*, który wcześniej znany był po słowackiej stronie granicy, gdzie występował choćby w jaskini Aksamitka w Pieninach. Można się było domyślić, że skoro jest tak blisko, to musi tu zalatywać. I wreszcie kolega znalazł go w Ciężkowicach.

A więc plus jeden. Plus dwa to mogą być gacek szary i brunatny, których jakiś czas temu po prostu nie odróżniano i traktowano jak jeden gatunek, gacka wielkoucha. Podobnie było z karlikiem malutkim, który rozdwoił się wtedy, gdy okazało się, że nadaje na dwóch różnych częstotliwościach echolokacyjnych. Początkowo uznano to za dwa tzw. echotypy w ramach jednego gatunku. Potem jednak badania DNA kazały stwierdzić, że różnic jest więcej. W efekcie współczesne podręczniki znają karlika malutkiego i drobnego.

Nazwisko Szkudlarka padło tamtego lipcowego wieczoru w Izbach i od razu wylądowało w moim notesie. Spotykamy się na przełomie września i października. Dla chiropterologa to czas, gdy po tygodniach spędzonych na monitoringu stanowisk nietoperzy w całej Polsce siada do komputera, by obserwacje spisywać i analizować. Jesienią latające ssaki przenoszą się z letnich kolonii do zimowisk, gdzie – dzięki zmagazynowaniu pokaźnych ilości tłuszczu – przejdą w stan hibernacji. A wtedy nie należy im przeszkadzać.

Sezonowość tej pracy przypomina trochę roczny cykl ornitologa, który zajmuje się migrującymi ptakami. Ale, jak przekonuje Szkudlarek, to tylko pozory. – O ptakach generalnie wszystko wiadomo. Bierzesz lornetkę, łapiesz, obrączkujesz, wszystko jak na dłoni. Tymczasem gruntowne badanie nietoperzy umożliwiła dopiero technologia. Dawniej nie było takiej możliwości. Ktoś opisał kiedyś badania w Jaskini Nietoperzowej na Jurze Krakowsko-Częstochowskiej. Jak się strzeliło ze śrutówki, to ileś nietoperzy spadało z sufitu, ale trudno było nawet ocenić, jak dużo pozostało.

Detektor na taczkach

Jako działacz Polskiego Towarzystwa Przyjaciół Przyrody „Pro Natura" z Wrocławia Szkudlarek od ponad dwudziestu sześciu lat zajmuje się aktywną ochroną nietoperzy. Doświadczenie pozwala mu wskazać kilka punktów zwrotnych, dzięki którym możemy poszerzać naszą wiedzę o tych ssakach. Pierwszym było pojawienie się cienkich siatek do odłowu ptaków, które pozwoliły chwytać również nietoperze. Drugim, być może największym – wynalezienie detektora ultrasonicznego, czyli urządzenia, które przetwarza ultradźwięki na dźwięki słyszalne dla ludzkiego ucha. Po raz pierwszy dało się usłyszeć echolokację nietoperzy w terenie.

– Pamiętam – mówi Szkudlarek – pierwszy tego typu detektor, używany w Puszczy Białowieskiej. Był tak wielki, że powinno się go wozić na taczkach. Dziś wszystko jest mniejsze i poręczniejsze. Możemy słuchać i nagrywać te głosy w pełnym spektrum ich częstotliwości.

Najprostsze z detektorów – tzw. heterodynowe – pozwalają podsłuchiwać nietoperze nawet amatorom. Działają jak zwykłe radio z gałką wskazującą konkretną częstotliwość, na której wyłapują ultradźwięki i na bieżąco tłumaczą je na częstotliwości słyszalne. Szkudlarek: – Karlik drobny, o którym wspominaliśmy, nadaje najsilniej na częstotliwości 45 kHz. Karlik malutki na 55 kHz. Oczywiście nie jest tak, że słyszy się je wyłącznie na tych częstotliwościach. Sygnały są modulowane, ale na tej konkretnej częstotliwości natężenie jest największe. I to jest cecha charakterystyczna danego gatunku. Sygnały różnią się również strukturą, jesteśmy więc w stanie za pomocą prostej heterodyny, bez żadnej analizy komputerowej, wyłącznie ze słuchu, przypisać nietoperza, którego nie widzimy, do konkretnego gatunku. A jeśli nie gatunku, to przynajmniej rodzaju.

Kolejnym krokiem na drodze do badania nietoperzy była telemetria. Stało się to dopiero wtedy, gdy technologia pozwoliła zminiaturyzować nadajniki. Laik, który zna nietoperze tylko ze zdjęć, nie wie, jak niepozorne i drobne są to stworzenia. Żyjące w Polsce gatunki to maleństwa. Największe ważą raptem trzydzieści gramów, a więc tyle co wróbel. Rzadko to sobie uświadamiamy, zmyleni długością rozpiętych skrzydeł. Mikre rozmiary pozwalają większości nietoperzy wcisnąć się w najmniejszą szczelinę, by znaleźć schronienie przez zimnem i drapieżnikami.

↦

Podkowiec mały. Czerwiec 2015 r.

RAFAŁ SZKUDLAREK / ARCHIWUM PRYWATNE

↦ Do zaskakujących faktów z życia nietoperzy dodać można jeszcze choćby to, że pływają, śpiewają, zawisają w locie niczym kolibry, a niektóre z nich polują również na lądzie, goniąc owady na czterech kończynach. Inne zjadają je bezpośrednio ze ścian budynków. Odpoczywają z głową w dół, bo pod sufitem znalazły ekologiczną niszę niezagospodarowaną przez inne gatunki.

Pełne wiaderko

Choć każdy gatunek ma swoją specyfikę, śledząc losy jednego można przyjrzeć się problemom ochrony całego rzędu zwierząt. Szkudlarek związał swoje zawodowe życie z podkowcem małym, jednym z najdrobniejszych polskich nietoperzy, o rozpiętości skrzydeł sięgającej dwudziestu pięciu centymetrów i masie do dziesięciu gramów. Podkowce mają brązowe futro, duże szpiczaste uszy, zaokrąglone skrzydła i krótki ogon. Podobnie jak np. nocki duże i orzęsione, na schronienia wybierają przestrzenie, po których mogą latać, a więc strychy lub – w zachodniej Europie – jaskinie. To odróżnia je od gatunków, które chronią się w szczelinach. Wisząc, podkowce otulają się błonami lotnymi skrzydeł. Przypominają wtedy wiszącą gruszkę lub kokon owada. Są góralami wśród nietoperzy – zamieszkują niemal wyłącznie obszary górskie i podgórskie.

Po II wojnie światowej podkowiec mały był w południowej Polsce gatunkiem raczej powszechnym. Uważano go za dominujący wśród nietoperzy Jury Krakowsko-Częstochowskiej. Ale potem przyszły lata 60. i 70. i rolnictwo zaprzyjaźniło się z silnie toksyczną chemią. Najpierw owadobójcze DDT, potem środki konserwacji drewna doprowadziły populację tego gatunku na skraj wymarcia. Z fauny paru europejskich państw w ogóle zniknął. W Polsce zostały pojedyncze osobniki.

– Na początku lat 90. – wspomina Szkudlarek – znaliśmy tylko jedną kolonię rozrodczą podkowca małego, w Jaworkach koło Szczawnicy. Sto osobników na strychu starej cerkwi. Kiedy byłem studentem, brałem udział w obozach naukowych poświęconych szukaniu podkowca. Robiliśmy odłowy, nasłuchy, chodziliśmy po kościołach. Znajdowaliśmy miejsca, w których natykaliśmy się na jego ślady czy zasuszone odchody. To były przede wszystkim budynki sakralne. Ale samych nietoperzy nie było. Przez to, że nie chowa się w szczeliny, tylko bezczynnie wisi, podkowiec był łatwy do wybicia. Kiedyś robiliśmy inwentaryzację w Krempnej, to jest sam środek Magurskiego Parku Narodowego. Pytam kogoś o nietoperze na strychu i słyszę: „Tak, były, zebraliśmy całe wiaderko i zakopaliśmy w ogrodzie".

Pierwszym działaniem były rozmowy z proboszczami. Chodziło o to, żeby w tych miejscach, w których dawniej były podkowce, rozszczelnić strychy. Zrobić niewielkie otwory wlotowe, przez które nietoperze mogłyby dostać się do środka, a potem wylatywać na żer. Zwykle działało. Odtworzono dawne kolonie, a w Pienińskim Parku Narodowym udało się utworzyć zupełnie nową.

Kolejny etap odtwarzania populacji podkowca małego to zaskakująca opowieść, w której ochrona przyrody miesza się z ratowaniem zabytków. Wiejskie kościoły, w których żyły nietoperze, zwykle były w opłakanym stanie. W czasach sprzed akcesji Polski do Unii Europejskiej brakowało środków na proste remonty. W Jaworkach udało się przygotować gont na wymianę dachu, ale porzucono ten pomysł, kiedy kościelny zatruł się oparami impregnatu do nasączenia drewna. Mieszkańcy uznali, że skoro ich nie stać na prawdziwy remont, to zbudują sobie obok małą kaplicę. Ostatecznie pomoc przyszła z zagranicy – pieniądze dało Frankfurckie Towarzystwo Zoologiczne. Pewne środki udało się także wygospodarować wojewódzkiemu konserwatorowi przyrody z Nowego Sącza. W 1996 r. dach pokryła blacha. Tym samym udało się uratować i zabytek, i kolonię podkowca.

Metoda sprawdziła się w wielu innych zabytkowych obiektach, w których mieszkały nietoperze. – Bardzo ważne – podkreśla Szkudlarek – było to, że dla mieszkańców nietoperze stały się czymś pożądanym. Pamiętam nieco podchmielonego górala gdzieś w Małopolsce. Czekaliśmy na autobus, zaczęliśmy rozmawiać i on mówi: panie, my mamy nietoperze, które nam kościół uratowały! To był skok jakościowy: od zwierząt pogardzanych i zabijanych do takich, które ratują kościoły.

Z czasem w działania zaangażowały się m.in. regionalne dyrekcje ochrony środowiska i lokalne kurie. Podkowce – z pewną pomocą ludzi – uratowały łącznie ponad pięćdziesiąt budynków sakralnych. Wśród nich cerkiew w Izbach z drugiej połowy XIX w. W Polsce żyje dziś między czternaście a szesnaście tysięcy przedstawicieli tego gatunku i jest to jedna z większych krajowych populacji na kontynencie. Stało się tak dzięki „Programowi ochrony podkowca małego", finansowanemu m.in. z funduszy unijnych. To jeden z największych tego typu programów w Europie, czym – jak podkreśla Szkudlarek – warto się chwalić.

Kraina podkowca

W Izbach zapada zmrok. Co miało zostać powiedziane, wybrzmiało. Słuchacze przenieśli się z kocyków pod północną ścianę cerkwi. Oczy skierowane są na kilka prostokątnych otworów, z których mają wylatywać podkowce. Lipcowy wieczór jest jasny, więc celuje również parę obiektywów.

„Baba z Gór" tłumaczy rolę drzew, które rosną dookoła kościoła. Dzięki nim sygnał echolokacyjny nietoperza ma się od czego odbić, więc zwierzę już na starcie ma świetne rozeznanie w terenie. Kiedy nie ma drzew, nietoperz leci w dół wzdłuż ściany budynku, a potem tuż nad ziemią, gdzie czekają na niego kuny i koty. Ważny jest też brak lamp ulicznych i iluminacji, które opóźniają zapadnięcie ciemności, a tym samym skracają czas żerowania. Wreszcie słychać pierwsze westchnięcia. Czarny kształt przeleciał nad głowami zgromadzonych, a zaraz za nim kolejne. Nie ma w tym żadnych fajerwerków, ale zainteresowanie wydaje się szczere.

Kraina podkowca nie jest obszarem geograficznym w ścisłym tego słowa znaczeniu. Raczej marką turystyczną i sposobem zainteresowania społeczeństwa problematyką ochrony wycinka przyrody. Obejmuje całe pasma Sudetów i Karpat wraz z ich przedgórzami. Pięć województw z małopolskim i śląskim na czele. Są też logotyp, znak jakości i złoty medal, którymi „Pro Natura" nagradza instytucje i obywateli zaangażowanych w sprawę podkowca.

Chodzi o to, żeby ludzie zaczęli się tym podkowcem chwalić. Ale na działaniach promocyjnych i edukacyj-

nych się nie kończy. – Większość stanowisk, które udało się odtworzyć, istnieje tylko dlatego, że co roku je monitorujemy – mówi Szkudlarek. – Czasami udaje nam się w ostatniej chwili zapobiec tragedii. Przyjeżdżam do jakiegoś kościoła i widzę siatki w oknach. Bo ptaki wlatywały. Myślę, że już po nietoperzach, że w środku znajdę same truchła podkowców. Na szczęście okazuje się, że siatki są dopiero od trzech dni. Wchodzę na strych, a tam siedemdziesiąt nietoperzy, ciągle żywych.

Inny przykład: Krynica-Zdrój, zabytkowa cerkiew, w której zamieszkały podkowce i nocki duże. Któregoś roku wszystkie nocki – ponad czterysta nietoperzy – zniknęły. Winne były reflektory iluminacji, którą sezon wcześniej gmina zamontowała na świątyni. „Pro Naturze" udało się załatwić ich likwidację. Kolonia zaczęła się mozolnie odtwarzać. Znalazły się pieniądze na remont. Nowy dach, wieżyczki, ogromna inwestycja. Gmina postanowiła się nią pochwalić. Kiedy współpracownik Szkudlarka przyjechał sprawdzić, co słychać u nietoperzy, ujrzał podnośnik i robotników montujących na cerkwi nowe oświetlenie. Na szczęście urzędnicy jeszcze raz wyrazili zrozumienie dla potrzeb nietoperzy.

– To mozolna praca i coraz częściej uświadamiamy sobie, że nie wszystko da się zrobić – mówi Szkudlarek. – Środowisko wciąż się zmienia. I będzie się zmieniać. Nawet jeśli uda się nam w nienagannym stanie zachować kościółek i przypilnować, żeby nikt nie montował oświetlenia, po jakimś czasie okaże się, że powstała nowa ulica albo osiedle, że las się odsunął albo wycina się drzewa wzdłuż potoku, nad którym latały nietoperze. Ochrona takich miejsc staje się coraz mniej skuteczna, za to coraz kosztowniejsza. Przykład z Niemiec, niedaleko Jeny, gdzie kilka lat temu zaproszono nas na objazd terenu związany z ochroną podkowca. Kościół, żerowisko, niedaleko miejsce zimowania. A pomiędzy jednym a drugim planowana autostrada. Na szczęście udało się przewalczyć, żeby schować ją w tunelu. Powiedzmy sobie szczerze: za pieniądze, które na ten tunel wydano, można by wyremontować całą masę budynków, uratować mnóstwo stanowisk.

Tym bardziej że, jak słusznie zauważa Szkudlarek, z krajobrazu polskiej wsi znika instytucja strychu. Stare domy rozpadają się, a nowe, które powstają w ich miejsce, są energooszczędne, więc szczelne i zagospodarowane co do metra kwadratowego. Jedną z prób znalezienia nowej niszy dla nietoperzy jest wspólny projekt „Pro Natury" i Lasów Państwowych. Polega na budowaniu nowych budynków-wież przeznaczonych wyłącznie dla nietoperzy. W lasach, z dala od wsi i terenów potencjalnych nowych inwestycji. Pierwszy taki dom powstał w wyludnionej osadzie wewnątrz Roztoczańskiego Parku Narodowego. Z zewnątrz wygląda na zwykłą drewnianą chałupę z zewnętrzną piwniczką. Jego jedyną funkcją jest dawanie schronienia nietoperzom. I choć efektów takich prac trudno spodziewać się szybko, pierwsze cztery zwierzęta wprowadziły się niemal od razu.

Szkudlarek związał swoje zawodowe życie z podkowcem małym, **jednym z najdrobniejszych polskich nietoperzy,** o masie do dziesięciu gramów. Podkowce mają brązowe futro, duże szpiczaste uszy, zaokrąglone skrzydła i krótki ogon.

Borowiec piłkarski

Ktoś mógłby powiedzieć, że to mozolne odwracanie procesów synantropizacji, jakie zaszły w ekologii nietoperzy wiele wieków temu. Wtedy, gdy z lasów zaczęły znikać stare dziuplaste drzewa i wykroty, a do jaskiń coraz częściej zaglądali ludzie. Najciemniej okazało się pod latarnią – na opuszczonych strychach, gdzie nikt nie zagląda. Teraz, dla ich własnego dobra, trzeba nietoperze znów wyprowadzić z dala od ludzi.

Kiedy wymyślał projekt z wieżami, Szkudlarek zakładał, że to inwestycja na zapas. Zaczątek czegoś, co przyda się za dekadę lub dwie. Ale plany zweryfikowała pandemia. I wcale nie chodzi o plotkę, że nietoperze to rezerwuar wirusa. – Ludzie zaczęli się masowo wyprowadzać z miast na wieś. A jak miastowy kupuje dom na wsi, to nie chce dookoła siebie przyrody. W jednej z regionalnych dyrekcji ochrony środowiska usłyszałem, że dostają średnio w tygodniu dwa wnioski o zgodę na usunięcie nietoperzy z budynku, do którego ktoś się właśnie wprowadza. Możemy jeździć, przekonywać, żeby dać im spokój, ale czasami odbijamy się od ściany. Któregoś razu pojechaliśmy do pani, która kupiła domek w środku lasu. Skarżyła się, że ma nietoperze. Obejrzeliśmy dom, strych, nietoperzy nie znaleźliśmy. Okazało się, że one po zmroku latają po podwórku. Skandal, dzikie zwierzęta w środku lasu.

To jak przekonywać, by dać nietoperzom szansę? Odpowiedź: – Przede wszystkim mówimy o komarach. Obiegowa teoria głosi, że jeden nietoperz jest w stanie zjeść w ciągu nocy dwa tysiące komarów. Wraz ze zmieniającym się klimatem w Europie pojawia się coraz więcej przenoszonych przez owady chorób, takich jak malaria czy denga. Jesteśmy na nie kompletnie nieprzygotowani. Może się okazać, że ten nietoperz ochroni nas nie tylko przed swędzeniem, ale i uratuje nam życie.

Warszawa, środek jesieni, ciepły wieczór na Stadionie Narodowym, gdzie dwudziestu dwóch facetów ugania się za piłką. Nad ich głowami, w świetle jupiterów, przy tumulcie i wrzawie trybun, uwijają się ciemne sylwetki. Borowce wielkie, zgaduję, największe z polskich nietoperzy. Długodystansowi migranci, latają nawet na dwa tysiące kilometrów, a polować zaczynają jeszcze za dnia. Nietoperz, jeden niepozorny rzeczownik, a tyle nowych znaczeń, kontekstów, spostrzeżeń.

© ADAM ROBIŃSKI

RDC POLSKIE RADIO **ADAM ROBIŃSKI** będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 20 października o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia – www.rdc.pl
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

STANISŁAW

Mancewicz:
Prostota

Któryś raz słyszymy, że prezes Kaczyński odejdzie z rządu na pokręcony front walki wewnątrzpartyjnej. Podawane tu i ówdzie powody są niezmienne. Od dawna mówi się, że szwankuje mu zdrowie, bądź też, że na froncie partyjnym dzieją się – z jego punktu widzenia – sprawy ważniejsze niż w rządzie RP. Są to opinie dobre, bo i zdrowie jest najważniejsze, i rząd ten nie ma tak naprawdę żadnego specjalnego znaczenia.

Trudno się nie zgodzić, sam on, parę lat temu, a było to rzec trzeba śmieszne, powiedział jakiemuś dziennikarzowi, że czuje się znakomicie jak na tę ilość dochodzących go życzeń śmierci, raków bądź chorób mniej lub bardziej egzotycznych. Była to wypowiedź na tyle osobista i na tyle pozbawiona Kaczyńskiego w Kaczyńskim, że aż ciekawa i dobra do tzw. refleksji. A więc, odhaczmy, że raczej nie zdrowie Gospodarza jest powodem tej plotki-nieplotki. Druga jej część jest bardziej prawdopodobna.

Otóż rzeczywiście, w tym rządzie można być z tylko jednego, znanego opinii publicznej powodu, a mianowicie dla pieniędzy. Po latach pilnych obserwacji, z ręką na sercu – nie da się wydłubać jakiejkolwiek innej intencji do służby w gabinecie p. Morawieckiego. Dobre pytanie, o zapewne wielkim potencjale badawczym i przyszłościowym, brzmi: skoro tak, to po co prezesowi Kaczyńskiemu pieniądze? Odpowiedź jest przy dzisiejszej wiedzy o nim klarowna: po nic. Każdy wie, że prezesowi Kaczyńskiemu nie są potrzebne żadne pieniądze. Po prostu p. Kaczyński nic nie kupuje, co widzi każdy, bez względu na poglądy, od lat wszystko ma od nas w prezencie, z tapczanem, karmą i oddziałem ochroniarzy włącznie, i że nic nie zapowiada zmian w tym poczciwym biznesplanie. To jedno. Po drugie zaś, w jego wypowiedziach jako funkcjonariusza państwowego słychać kompletną dezorientację. Mówiąc szczerze, prezes Kaczyński jako urzędnik państwowy, odpowiedzialny za bezpieczeństwo krajowe podczas najpoważniejszego od wielu dekad kryzysu politycznego, społecznego i humanitarnego, w których tkwimy po uszy, nie wygląda na kogoś serio. I to także jest powód, by się nie wystawiać zbyt długo w tym stanie i w takiej formie na widok publiczny. W ośmieszaniu się należy pamiętać o żelaznej zasadzie: że stalowa odporność na śmieszność u fanów – a to jest *casus* Kaczyńskiego – zawsze w końcu rdzewieje.

A więc, w istocie, p. Kaczyński jeśli odejdzie z rządu, to raczej po to, by wyrównywać szeregi w swej partii, która wciąż nam wszystkim wydaje się, jak na polskie doświadczenia, osobliwością. Po prostu – a jest to, popatrzmy, spostrzeżenie mistrzowskie – nie było w naszej historii podobnie trwałej, wielkiej i wpływowej organizacji, której jedynym – na nasze oko – lepiszczem jest już nie żadna ideologia, a powszechna demoralizacja. I dlatego równanie szeregów jest w niej coraz trudniejsze. Jest zawiłe i wymagające mnóstwa talentu i umiejętności perswazyjnych. Ludzie bowiem demoralizują się niejednolicie, jedni prędzej, drudzy wolniej, jedni bardziej, inni ostrożniej. Jedni w demoralizacji się zatracają, u innych demoralizacji towarzyszy lęk o przyszłość, o dzieciaczki i o nieruchomości. Oczywiście też o fakturki i nagranka. Te stany są nieodmiennie elementem codzienności wszystkich zdemoralizowanych polityków i czynnych uczestników władzy na całym świecie. I słusznie. Bowiem od czasu do czasu, oczywiście nie zawsze, są oni rozliczani. Czasem relacje z rozliczeń można oglądać w telewizji, w relacjach z zagranicy. Człowiek jest tylko człowiekiem, kłopoty z zaśnięciem może mieć każdy, pod każdą szerokością geograficzną. No więc – jeżeli – to chyba po to prezes Kaczyński oddali się z gabinetu. By ukoić, utulić, by dobrotliwie uspokoić. Będzie dobrze – zapewne powiada – spoko, panowie – mówi – ale weźcie się energicznie do działań na portalach społecznościowych. Ponoć z takim apelem zwrócił się do współpracowników i jest to apel świetny. Lepiej coś robić, niż się trząść ze strachu. Bo rzec trzeba na koniec, że jego siłą – prezesa Kaczyńskiego – są proste recepty. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

Najlepsze wspomnienia z podróży w reportażach, esejach i rozmowach.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN

Piszą Błażejowska, Bieńczyk, Drenda, Jagielski, Koziołek, Kuczok, Kuźmiński, Olszewski, Przewrocka-Aderet i Stasiuk.

Kup tygodnikowy **„Atlas miejsc niezwykłych. W drogę!”** i pielęgnuj z nami najpiękniejsze wspomnienia z wakacji.

„W drogę” dostępne już także jako ebook!
Więcej na **powszech.net/wdroge**

PARTNERZY WYDANIA:

TYGODNIK POWSZECHNY | FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO | Albatros | LOGOS TRAVEL MAREK ŚLIWKA

weź, czytaj!
w prenumeracie:

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Mateusz Gawron pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00-14.00) lub pod adresem kontakt@TygodnikPowszechny.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia*	365 zł	
Karta Dużej Rodziny**	365 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	**75 zł**	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY
SALESmanago marketing automation

REKLAMA

Fundacja
Dorastaj z Nami

Fundacja Dorastaj z Nami opiekuje się dziećmi, których rodzice poświęcili się dla nas. Masz szansę, by odmienić ich los.

PRZYŁĄCZ SIĘ DO NASZEJ MISJI

www.dorastajznami.org